

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

(NIE)OBECNI

Nr 3(44) Zielona Góra 2013 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370794

Eseje

Wiersze

Proza

Szkice krytyczne

Sztuka



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego ■

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne
Pro Libris nr 3 (44) – 2013

Prace plastyczne wykorzystane w numerze
Joanna Szczesniewska

© Copyright by Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida, Zielona Góra 2013

Redaktor naczelny
Andrzej Buck

Redaktor graficzny
Magdalena Gryśka

Sekretarz redakcji
Ewa Mielczarek

Stale współpracuje
Małgorzata Mikołajczak

Korekta
Joanna Wawryk

Fotografie:
archiwum pryw. J. Chłodnickiego, archiwum pryw. J. Kurowickiego, archiwum pryw. M. Cierniak,
archiwum WiMBP im. C. Norwida, Ewa Cichocka, Stanisław Rogala, Magdalena Zielińska

Wydawca
Pro Libris – wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. C. Norwida w Zielonej Górze

Skład komputerowy
Firma Reklamowa GRAF MEDIA

Druk i oprawa
LIGATURA

Nakład – 350 egz.

ISSN 1642-5995

Nr indeksu 370754

Adres redakcji:
WiMBP im. C. Norwida, al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris)
tel. 603 610 906, 68 45 32 637, e-mail: prolibris@wimbp.zgora.pl
www.wimbp.zgora.pl, www.prolibris.net.pl

Pro Libris

Od redakcji

Tegoroczne lato przyniosło lubuskiej kulturze tragiczne żniwo. Straciliśmy kilka silnych osobowości. Odeszli ludzie ważni, znani dzięki swoim osiągnięciom, talentom, nietuzinkowej twórczości i wielkiej woli życia.

Pożegnaliśmy Agatę Buchalik-Drzyzgę, znakomitą malarkę, graficzkę, twórczynię unikatowej tkaniny. W ubiegłym roku, jakby przewidując smutne wydarzenie, zintensyfikowaliśmy z Nią współpracę. Wspólnie z Biblioteką Norwida zorganizowana została Jej wystawa jubileuszowa, wydano katalog *Podróż w czasie*, a także poczyniliśmy – jako redakcja i wydawnictwo – szereg projektów, które wspólnie mieliśmy realizować w kolejnych latach. Nie wszystkie, niestety, bez Niej są możliwe. Postanowiliśmy kontynuować te, które są wykonalne i na które otrzymaliśmy Jej zgodę. Wśród takich przedsięwzięć znalazł się pomysł rubryki EKSLIBRIS W PRO LIBRIS, który zamierzamy kontynuować, wykorzystując przekazane przez Artystkę miniaturowe dzieła sztuki opatrzone Jej gawędami o osobach, którym zostały poświęcone. Piórem Eugeniusza Kurzawy kreśliły w numerze wspomnienie o Agacie Buchalik-Drzyzdzę.

Odszedł Zenon Polus, artysta, pedagog, organizator życia artystycznego, pomysłodawca i twórca zielonogórskiego Biennale Sztuki Nowej. Mieliśmy w Nim wielkiego przyjaciela, admiratora naszej działalności. Już na początku ukazywania się „Pro Libris” pisaliśmy o Jego twórczości, prezentując uniwersalne prace tego ważnego Artysty. Cześć Jego pamięci oddaje na łamach pisma prof. Grzegorz Dziamski.

Kolejną ważną dla środowiska lubuskiej kultury postać, którą żegnaliśmy u schyłku lata, był poeta, tłumacz, dziennikarz i animator kultury, Jerzy Chłondnicki. W materiale Alfreda Siateckiego prezentujemy

Jego sylwetkę i publikujemy wiersze udostępnione dzięki życzliwości rodziny zmarłego.

Ostatnie pożegnalne wspomnienie, autorstwa Marii Miłek, poświęcone jest poetce Emilii Grzelak. Ta śmierć porusza tym bardziej, że dotyczy osoby bardzo młodej, będącej na starcie nie tylko pisarskiej kariery, ale na starcie w każdym sensie.

Utrata tych osób napawa smutkiem, niemniej pamięć o „nieobecnych” zaowocuje niewątpliwie sięganiem do Ich ważnego dorobku, tak literackiego, jak i artystycznego, co powodować będzie Ich stałą obecność w naszych myślach i sercach.

Ponadto wydanie pisma zbiega się z jubileuszem 70. urodzin prof. Jana Kurowickiego, poety i filozofa, mocno wpisanego w nasz region, mimo że od kilkunastu lat fizycznie nieobecnego w Zielonej Górze. Zapraszamy do przeczytania wywiadu, jakiego Jubilat udzielił Tamarze Chorążyczewskiej.

Zachęcamy również do zapoznania się z interesującymi tekstami młodych autorów: szkicem dotyczącym zielonogórskiej muzyce rockowej zaprezentowanym przez Michała Cierniaka, esejem Igora Myszkiewicza, który kreśli mapę zielonogórskiej sztuki współczesnej, artykułem naszej redakcyjnej koleżanki, Joanny Wawryk, poświęconym Leśmianowskim baśniom, czy obszernym materiałem Janusza Łastowieckiego zgłębiającym zielonogórską sztukę foniczną.

Proponujemy także kontynuację opracowania dr. Roberta Rudiaka kreślącego krajobraz literatury lubuskiej dwu dekad w teńskości *Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy na Ziemi Lubuskiej w latach 1961-1981*.

W numerze zamieściliśmy sporo propozycji prozatorskich i poetyckich, także recenzji, do przeczytania których nie trzeba przecież Państwa namawiać.

Spis treści

<i>Życie w pisaniu i z filozofią</i> . [Z prof. Janem Kurowickim rozmawia Tamara Chorążyczewska]	6
Jan Kurowicki , Wiersz [Nieszczelny konkret]	11
Grzegorz Działowski , Zenon Polus (1953-2013)	14
Eugeniusz Kurzawa , Nie żyje artystka Agata Buchalik-Drzyzga	16
Alfred Siatecki , Jerzy Chłodnicki (1943-2013). Poeta, tłumacz, dziennikarz i animator kultury	18
Jerzy Chłodnicki , Wiersze [Milczenie, Milczenie..., Rupiecie]	20
Maria Miłek , Godzina do końca świata... ..	24
Witold Stankiewicz , Wiersze [Spotkanie z..., Każda wiosna ścina swoje dzieci, Skamieniały las, Bezpowrotność...]	26
Anna Kokot , Szyfry z bieliźnianego sznura	30
Aarne Puu , Wiersze [Julia i Romeo, Ostatnia czarownica, Marsz nietoperza]	37
Jerzy Szewczyk , Winnice – historia nieznana	40
Hubert Kopacz , Wiersze [Boskie rachunki, Lampa]	43
Zbigniew Masternak , Tęsknota do śladów stóp	45
Hubert Kopacz , Spotkanie	50
Konrad Krakowiak , Wiersze [Pewność, Śmierć, Dwa trudne zadania]	53
Marcin Radwański , Skok w przepaść	58
Bogumiła Różewicz , Wiersze [Liść serca, Ścieżka kropli, Autobus, Symfonia samotności]	62
Mirosław R. Kaniecki , Kto czyta, nie jest samotny	66
Marek Grewling , Transfiguracja	68

ZBLIŻENIA

Robert Rudiak , Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy na Ziemi Lubuskiej w latach 1961-1981 (część II)	70
---	----

EKSLIBRIS W PRO LIBRIS

Agata Buchalik-Drzyzga przedstawia... ..	86
---	----

PREZENTACJE

Joanna Szcześniewska	88
Norman Smużniak , Sanepid potwierdził bezterminową przydatność do spożycia – czyli kilka słów o malarstwie Joanny Szcześniewskiej	89

VARIA

Joanna Wawryk , Sto lat Leśmianowskich baśni	92
Michał Cierniak , Cudze chwalicie, swego nie znacie, czyli rockowy underground po zielonogórsku ..	99
Igor Myszkiewicz , Pięćdziesiąt lat później. W cieniu legendy	109
Janusz Łastowiecki , Historia pewnej poezji, czyli wiersz idzie do pracy. Radiowy przypadek Zenona D.	113
Jerzy Szewczyk , Zatrzymajmy chwilę	118
Ewa Mielczarek , Kargowa kulturuje dobre tradycje. XIV Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Eugeniusza Pauksztzy / Kargowa kultiviert seine guten Traditionen. 14. Polnischer Literaturwettbewerb „Eugeniusz Paukszta”	120

RECENZJE I OMÓWIENIA

Papusza po lubusku Angelika Kuźniak, Papusza (Robert Rudiak)	124
Domowe zwierzę albo <i>Absynt po polsku</i> Katarzyna Jarosz-Rabiej, Absynt po polsku (Urszula M. Benka)	125
„Trywialność i banał sięgnęły zenitu” – o zdradzie lirycznie Sylvia Baczyńska, Wieczór w garsonierze (Monika Derczyńska)	128
Kabaret Gentlemen w Zielonej Górze Kabaret Gentlemen, Lubuski Teatr im. L. Kruczkowskiego, Zielona Góra (Halina Bohuta-Stapel) ...	129
Poezja znad brzegu piaskownicy Małgorzata Stachowiak-Schreyner, Jestem, która Jesteś (Mirosława Szott)	131

KSIĄŻKI NADEŚLANE	134
--------------------------------	-----

AUTORZY NUMERU	135
-----------------------------	-----

Życie w pisaniu i z filozofią

70. rocznica urodzin prof. Jana Kurowickiego stała się okazją do przypomnienia sylwetki. Rozmowę przeprowadziła Tamara Chorążyczewska



Tamara Chorążyczewska: – W jednym z tekstów, które znalazły się w wydanej z okazji wydania księdze, Julian Bartosz pisze: „Kim jest ten Janek? Filozofem, poetą, eseistą, dramaturgiem (bo i to mu się przytrafiło), swoistym bajkopisarzem, przesiąkniętym sarkazmem satyrykiem, felietonistą, publicystą – no, zabrakło mi określeń. Tylko powieści jeszcze nie napisał, ale to go może na starość nawiedzi, jak się napije”¹. No więc kim Pan jest?

Jan Kurowicki: – Po prostu: kimś, kto uprawia humanistykę. A ona stanowi całość. Wraz z literaturą, sztuką i muzyką. Filozofia zaś to jej wewnętrzna strona, dusza. To tradycja akademicka wydzieliła z niej szacowne, niezależne od siebie dyscypliny i specjalności. Odseparowała się od praktyk artystycznych. Nigdy nie umiałem i nie

chciałem się z tym pogodzić, stąd w moim pisaniu, prócz dyskursywnych, akademickich rozpraw, znajdują się formy literackie i publicystyczne; stąd też przez dziesięciolecia uprawianie krytyki literackiej i artystycznej. A z drugiej strony – moja literacka twórczość to próba formułowania pewnych filozoficznych idei w kształcie takiego czy innego utworu literackiego, bo wiele z nich źle się czuje w świecie oschłych, prozaicznych pojęć. Powieści jednak już chyba nie napiszę, nie tylko dlatego, że od długiego już czasu piję bardzo rzadko (zdrowie nie to i czasu coraz mniej), ale z tego powodu, że wciąż mi się marzy tworzenie eseju, który byłby zarazem filozoficzną wypowiedzią i utworem literackim, jak choćby u José Ortegi y Gassetta czy Władysława Tatarkiewicza. I to pochtania mnie bez reszty.

¹ J. Bartosz, *Być pośród marności*, [w:] *Kultura jako problem filozofii. Księga jubileuszowa dedykowana Profesorowi Janowi Kurowickiemu*, red. T. Borys, A. Płachciak, Wrocław 2013, s. 254.

– I co? Jest Pan z tego tworzenia zadowolony?

– Nie! Wciąż jednak próbuję napisać taki idealny esej czy utwór. Poprawiam, zmieniam, poprawiam... A kiedy coś ukaże się w druku, widzę, ile tam rzeczy niedomyślnych, zdań koślawych i niejasności. I tak zawsze. Tylko forma pisania się zmienia, a zarazem przybywa teoretycznych wątpliwości. Jednakże już od Sokratesa i Platona wiadomo, że filozofowanie to głównie wspaniała duchowa zabawa, jak gra w szachy czy dziecięce konstruowanie budowli, którą się rozwala, by stworzyć ciekawszą i nową. Sam proces tej zabawy daje duchową radość. Może więcej tu nie trzeba?

– Skąd ten wybór filozofii? Tradycje rodzinne?

– Wręcz przeciwnie! Pochodzę z małego miasteczka, moja mama nie miała ukończonej szkoły podstawowej, była pracownikiem fizycznym niewykwalifikowanym. Tato nie dożył moich studiów. Mechanizmy awansu społecznego pozwoliły mi wszakże zdobyć maturę, potem ukończyć studia i stać się tym, kim jestem. Już od dziecka jednak dużo czytałem i tworzyłem swój osobny świat. Miałem też okazję uczestniczyć w życiu kulturalnym mego małego miasteczka. Drażniło mnie ono swym drobnomieszczańskim kołtuństwem, sakralizowanym przez Kościół. Mój młodzieńczy bunt był skierowany przeciwko temu. Pytania o „prawdy” religii, sens życia, o stosunki społeczne i moralne, zjawiska estetyczne, o ich konieczność spowodowały intelektualne szukanie. Wychynałem więc duchowo poza krąg rodzinny, bezpośrednie środowisko, a rozwiązanie swych problemów widziałem w filozofii. I się na niej znalazłem.

– Rozpoczął Pan studia w 1962 roku na Uniwersytecie Wrocławskim, skończył je w 1966 roku na Uniwersytecie Warszawskim. I co wydarzyło się dalej?

– Tak: zacząłem je we Wrocławiu, ale w ich trakcie przenieśliśmy się do Warszawy, bo chciałem posłuchać mądrych ludzi, jak Leszek Kołakowski, Zygmunt Bauman, Adam Schaff, Bronisław Baczko,

Stefan Morawski i in. U Schaffa zresztą pisałem pracę magisterską na temat *Epistemologicznych konsekwencji sporów o pojęcie ideologii*. Sytuowała się ona na pograniczu socjologii wiedzy i epistemologii (jej recenzentem był prof. Z. Bauman). Wcześniej zaś i potem chodziłem na ich seminaria i wykłady. Gdy skończyłem studia, dostałem propozycję pracy od prof. Jarosława Ładosza w Katedrze Filozofii Uniwersytetu Wrocławskiego. Podjąłem ją 1 kwietnia 1967 roku, zostałem asystentem w Katedrze Filozofii Uniwersytetu Wrocławskiego. Na początku jednak współpraca nasza układała się źle. Nawet tuż przed doktoratem wyrzucił mnie z pracy za niewłaściwą – jego zdaniem – postawę po Marcu 1968, ale potem, po latach nastąpiło ideowe i teoretyczne zbliżenie, pojawiła się przyjaźń. Stał się dla mnie kimś bardzo znaczącym: swoistym sumieniem filozoficznym. Od warszawskich zaś mędrców oddalałem się. Z czasem natomiast (poza Baumanem, z którym zdarzało mi się polemizować) stali mi się zupełnie obcy.

– W swoich esejach często Pan przywołuje postacie i problemy literackie.

– Jeszcze na studiach zacząłem pisać książkę o utworach literackich i pisarzach według mnie najistotniejszych w opisie problemów ludzkiej egzystencji. Byli to Bruno Schulz, Franz Kafka, Antoine de Saint-Exupéry i Eugène Ionesco. Potem, już w czasie pracy na uniwersytecie kończyłem rzecz – moją pierwszą książkę. Równocześnie pisałem do „Odry”, „Twórczości”, „Współczesności” eseje i recenzje literackie. I gdy poszedłem z tą swoją książką do świeżo wtedy upieczonego docenta Stanisława Pietraszki z prośbą o opinię, uznał ją nie tylko za ważne moje dokonanie naukowe, ale i gotową dysertację. Po dodaniu więc do niej metodologicznego wstępu, przypisów i jeszcze kilku akademickich elementów obroniłem ją. Miała tytuł *Literatura XX wieku w perspektywie antropologii filozoficznej*. Był rok 1969. Rok później wyszła ona w Ossolineum pt. *Człowiek i sytuacje ludzkie*.

– W chwili obrony doktoratu miał Pan 25 lat. Pięć lat później został pan doktorem habilitowanym, w 1983 roku profesorem nad-

zwyczajnym PWSSP we Wrocławiu. Pracował Pan w kilkunastu miejscach, drukował w wielu wydawnictwach, napisał Pan kilkanaście zbiorów esejów, liczne tomiki wierszy... Czy można być jednocześnie akademickim filozofem, poetą i krytykiem literackim?

– Nie tylko mój przykład pokazuje, że można. Trzeba jeno poważnie traktować renesansowe pojęcie humanistyki i narzucić sobie odpowiednią organizację pracy i samodyscyplinę. Ja od dziesiątków lat pracuję minimum dwie-cztery godziny dziennie. Od filozofii odpoczywam w poezji; gdy ta mnie znudzi, przechodzę do analiz literackich, a kiedy wszystkiego mam dosyć, bawię się pisaniem felietonów czy publicystyką. Żartobliwie mawiam niekiedy studentom, że nie piszę tylko nut i donosów. Stąd te tysiące wydrukowanych stron, choć, jak powiedziałem, wciąż jestem na początku, tzn. zawsze zaczynam moją idealną rozprawę, esej czy utwór. I... nigdy mnie w pełni nic mojego nie zadowala.

– Czy ludziom dziś potrzebni są filozofowie? Czy jest popyt na ten towar?

– Filozofowie to wytwór zapotrzebowania społecznego. Są współcześnie niezbędni – jak powiada Louis Althusser – np. w ideologicznych aparatach państwa. Ponadto bez epistemologii nie ma metodologii nauk, która leży u podstaw naukowego poznania. Ale ani filozof, ani jego wytwory bezpośrednio nie są towarami. Towar to obiekt, który posiada wartość użytkową i wymienną i – co ważne – funkcjonuje na rynku. Filozof akademicki raczej nie funkcjonuje na rynku. Ja jestem pracownikiem uczelni państwowej, która jest takim samym urzędem jak więzienie, ministerstwo lub szkoła. Natomiast to, co tworzę, może być towarem, gdy przeistoczy się w książkę. Ona może przynieść wydawcy zysk. Natomiast ja nie przynoszę zysku, otrzymuję pensję urzędniczą. Jestem urzędnikiem państwowym, chociaż sam bardzo nie lubię biurokracji. Na jej zresztą temat opublikowałem w 1983 roku książkę pt. *Biurokracizm i władza*.

– Jest Pan członkiem Polskiego Towarzystwa Hegla i Marksa.

– To w moim przypadku absolutnie zrozumiałe. Moje bowiem żmudne samokształtowanie teoretyczne wiodło od neopozytywizmu (w rozumieniu poznania), poprzez egzystencjalistyczną koncepcję człowieka, Bergsona i fenomenologię Ingardena do Hegla i Marksa, którym zawdzięczam perspektywę oglądu społecznego bytu i podstawę mojej epistemologii. Ich więc wybór nie ma w sobie nic politycznego czy ideologicznego. Stały za nim raczej intelektualne. Nikt mnie do ich przyjęcia nie zmuszał. Zresztą zawsze chodziłem własnymi drogami, choć od wielu już dziesięcioleci z *Wykładami z filozofii dziejów* i *Estetyką* Hegla oraz z *Ideologią niemiecką* i *Kapitałem* Marksa pod pachą. Na tej drodze spotkałem wielu wspaniałych filozofów, z którymi prowadziłem przyjazne spory, m.in. prof. Jerzego Kmitę, prof. Wacława Mejbauma czy prof. Leszka Nowaka (niestety, odpłynęli już na niebieskie państwiska). A kiedy po transformacji zaczęto Marksa traktować jak potwora i zacierać ślady jego obecności, nie widziałem uczciwych powodów, by od niego i dialektyki Hegla odstępować. Dlatego jestem członkiem PTHiM, zrzeszającym coraz liczniejszych humanistów. Warto dodać, co dziś może się wydać zaskakujące, że większość jego członków to ludzie młodzi.

– Ale nie jest Pan tylko akademickim uczniem i pisarzem. Przez wiele lat, jako publicysta, był Pan też aktywny ideologicznie i politycznie.

– Faktycznie. Byłem aktywny w latach 70., a zwłaszcza w 80., gdy dużo pisałem we wrocławskich „Sprawach i Ludziach” – tygodniku świetnie redagowanym przez wspomnianego przez Panią Juliana Bartosza. I aktywność ta miała zdecydowanie krytyczny charakter zarówno wobec poglądów apologetycznych w stosunku do PRL, jak i wobec antykomunistycznej opozycji. Wobec pierwszych dlatego, że aktualną praktykę polityczną i (zmienne) ideologiczne linie i zygzaki władzy utożsamiały one z socjalizmem oraz z teorią Marksa. Wobec drugich zaś dlatego, że idealizowały kapitalizm, z socjalizmu czyniły karykaturę i zbyt płytko (często w sposób ławo moralizatorski) opisywały to, co wydarzyło się po 1945 roku oraz – tak jak i apologetycy syste-

mu – politykę i ideologię panujących wyprowadzali z filozofii i ekonomii marksistowskiej. Oczywiście nie ograniczałem się do krytyki. Swą publicystyką, najkrócej mówiąc, uczestniczyłem też w dyskusjach nad społecznymi przekształceniami, które wreszcie doprowadzą do realizacji Marksowskich idei socjalistycznych. Nie wiedziałem, że szans na to nie ma, bo przegrana zimnej wojny przez blok wschodni musiała zakończyć się restauracją kapitalizmu. Moja działalność publicystyczna (i nie tylko moja) była więc donkiszoterią. Zakończyłem ją tedy po 1989 roku, nie zapisałem się do żadnej partii, by nie patrzeć zbyt blisko na nasz dziki, żalosny w swym neoliberalnym dogmatyzmie, kapitalizm. Zająłem się filozofią kultury, estetyką (m.in. fotografii) i (nie bez inspiracji prof. Tadeusza Borysa) ekologią społeczną. Napisałem też monodram o Janie Keplerze i wydałem kilka nowych tomów poezji (ostatni: *Momenty prozaiczne*, w tym roku w krakowskiej Miniaturze). Chociaż czasami ręka mnie świerzbii, by w to i owo przyłożyć.

– W wywiadzie dla tygodnika „Przegląd” pt. *Każdego można kupić* powiada Pan: „Sprawiedliwy kapitalizm okazał się tak samo realny jak usmażenie jajeczniczy bez rozbijania jajek. Zamiast niego mamy ustrój, w którym zależność od państwa została zastąpiona zależnością od kapitalistycznego pracodawcy, od siły pieniądza. Człowieczeństwo trafiło na giełdę. [...] Neoliberalizm rozbija społeczeństwo na miliony zantagonizowanych atomów. Wokół popieranego przez Kościół PiS skupiły się m.in. środowiska odwołujące się do wartości wspólnotowych. Ale przecież – paradoksalnie – tzw. moherowe berety to dawni członkowie ZMP i ZMW. Tamte organizacje socjalistyczne były dla nich takim samym przytuliskiem jak dziś Rodzina Radia Maryja”².

– No sama Pani widzi: nie wytrzymałem. Dałem się kusić red. Krzysztofowi Piławskiemu na ten wywiad i takie w nim wypowiedzi! Jednakże jego

pretekstem była moja najnowsza książka eseistyczna pt. *Figury i maski w praktykach ideologicznych*, w której wracam do filozofii społecznej i filozofii polityki, bo mnie nieco estetyka i filozofia kultury znudziły. Cóż: ciągnie wilka do lasu, choć już nie na bieżące szlaki publicystyczne, ale jednak ku takiej refleksji teoretycznej, która karmi się historią najnowszej i współczesnością. Jestem wszakże w tej książce przede wszystkim filozofem.

– Czy opłaca się dzisiaj nim być?

– Filozof to nie zawód, ale sposób podejścia do świata. A czy się opłaca, to zależy, jak się rozumie „opłacalność”. Niektórzy z nich chcą i zostają gwiazdami medialnymi, innym wystarcza, że zyskują dystans do świata i wewnętrzną autonomię; jeszcze innym, że za jej sprawą zyskują nową perspektywę poznawczą dla jakiejś konkretnej nauki. Różnie jest więc z tą opłacalnością. Ja ją uprawiam, bo tylko to potrafię, a żyję z tego, że czyniąc to, zdobyłem odpowiednie akademickie tytuły i jestem nauczycielem akademickim.

– Jak wygląda uniwersytecka strona nauczania filozofii?

– Jest ona nie tylko wewnętrzną stroną humanistyki, ale – zarazem – teoretycznym sumieniem każdej nauki. Posługiwanie się nią w praktyce teoretycznej współkształtuje wyobraźnię pojęciową. Dlatego doktoranci wszystkich kierunków zdają z niej egzamin. Jest to oczywiście niemal na całym świecie. Funkcjonuje też ona w dydaktyce akademickiej, bo jej znajomość kształtuje horyzonty poznawcze, wyprowadza poza opłatki tzw. zdrowego rozsądku. Niestety w Polsce (także na naszej uczelni) jej obecność jest coraz bardziej śladowa, bo przegrywa ona w walce o godziny. Coraz mocniej dominuje i panoszy się płaski rozsądek, który ma za nic kulturę teoretyczną, jakby ideałem było kształtowanie bezmyślnych agentów panującego systemu ekonomicznego. Umacnia ten stan rzeczy postępująca biurokratyzacja procesu dydaktycznego,

2 K. Piławski, *Każdego można kupić*, Rozmowa z prof. Janem Kurowickim, „Przegląd” 1-7.07.2013.

która ma za nic zdobywanie autentycznej kultury teoretycznej przez studentów, a ceni powierzchowne i formalne wskaźniki uczenia się i zdobywania kompetencji. Dydaktyk musi się zmieścić w odpowiedniej, ale odmóżdżonej tabelce, gdy naucza i sprawdza nabytą wiedzę. Ma się stać chodzącym liczydłem. To

jest wyrok śmierci dla faktycznej obecności filozofii w procesie uniwersyteckiego nauczania. Być może miejsce po niej zajmie katechizm i katechizacja, która bez problemu w formułkach biurokratycznych łatwo się zmieści. Na szczęście dla mnie – będę już wtedy tylko zwykłym emerytem!

Jan Kurowicki, prof. zw. dr hab., ur. 1943 Baranowicze; matura: Liceum Ogólnokształcące w Świebodzinie 1962 r.; studia: 1966, Uniwersytet Warszawski, filozofia; doktorat: 1969 Uniwersytet Wrocławski, filozofia; habilitacja: 1974 Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu; tytuł profesora: 1983; zatrudnienie w AE/UE: od 2005; miejsce zatrudnienia: Wydział Ekonomii, Zarządzania i Turystyki w Jeleniej Górze, Katedra Nauk Społecznych; stanowiska kierownicze: kierownik Katedry Nauk Społecznych (od 2007); inne: m.in. były profesor PWSSP we Wrocławiu, Uniwersytetu Opolskiego, Uniwersytetu Zielonogórskiego, Uniwersytetu Szczecińskiego³.



3 *Ludzie nauki Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu*, Wrocław 2012, s. 97.

Nieszczelny konkret

I

Rozrzucona pościel, światło sączące się przez żaluzje, kurz, tłące się
Ciepło wokół; na półce figurka Lenina z czerwonym krawatem, która
Dotrwała do tego poranka wraz z książkami i bezładem pamięci tego,
Co jest i nie jest; grafiki gruźlicy Gielniaka na ścianie, butelki po piwie,
Uśchła garść paproci w wazonie i poduszka powietrza tuż pod czaszką,
Miętko oplatająca mózg, jakby ciągle trwała obecność pustki snu.

To i tym podobne jest mną naprzeciw świata, w którym wciąż tli się
Chrystus i głód; reklamy, pokazujące, że wszystko jest baśnią;
Zabijani, zmartwiacie ze strachu kobiety i dzieci, politycy, dziennikarze,
Taplający się w gównie komunałów, narkomani i alkoholicy, robotnicy
Targujący się o cenę siły roboczej, bez żadnej już nadziei na inny byt;
Działkowcy, dziewczęta, oczekujące na urodę, głupi listopad, który zaczął
Zimę i wszystko bezwiednie zatyka chłodem.

Oddycham równomiernie i piszę ten wiersz; bawię się zapalniczką,
Oglądam swe ręce. I nigdzie tu miejsca dla dobrej metafory o tym
Wszystkim i o pięknym pożarze świata, który przyniosłby sens.

II

Każdy dzień zaczynam od niewiedzy. Gdy już wiem – żyje we mnie
Pusty sen. Budzę się i znowu idę w niewiedzę. I tak przeszedłem prawie
Całe życie, ale nie wiem, co przeszedłem. Życie też nie wie, choć każdy
Dzień drapie żyłką moją pamięć.

Właśnie się zbudziłem snem zroszony i potem. Znowu zaczął się
Dzień każdy. Śmierć zdrapuje szybko zadrapania. Ubieram się w
Nagość niewiedzy. Obok – puste koszulki snu.

I to – niestety – jest zwyczajność.

III

Patrzę wokół i myślę: skąd to się wszystko wzięło: rzeczy, życie,
Blask dnia, zmarszczki na mojej twarzy. Mój wiek nie ma pamięci i
Pewności. Poddaje się konkretem: wody, ognia, powietrza i głodu.
Aby trwać, wciąż wybiera przechadzki mimo sumienia. Ból, śmiech i
Zapaści w siebie. I tylko trwa.

Skądś to się wszystko wzięło, myślę, i pamięć wypłuwa mnie
W świat, jak resztki jedzenia.
Pamięć której nie ma.

IV

Zamykają się za mną drzwi epoki i wychodzę w słońce.
Dawni, bardzo dawni ludzie uważali, że jest radosnym bogiem.
I coś z tego przetrwało do dziś

Zostały za mną kominy fabryk, wszechmoc giełdy i banków,
Przemówienia polityków, arcydzieła Picassa i Manna, samoloty,
Mądrość ludzkości, stwarzająca każdego dnia głupotę jednostek.

Zamykają się drzwi, mrużę oczy i czuję ból przekrzywionego krzyża.
Nie mam przeszłości ani przyszłości; rodziców, boga, złota,
Tylko duszę jako więzienie ciała.

Myśl o bardzo, bardzo dawnych ludziach czerni się pustką
w jasnej metaforze, skrzypi głodem.

V

W imię Marksa, Engelsa, Lenina, Trockiego, które było Słowem.
Stworzyłem się z niego, jak stwarza się oset w kojących łańach
Pozoru, sprzeciw wobec zgody bezradnych.

I stało się to, co się stało, a właściwie niewiele: kula świata
Nadal toczyła się w łożysku sprzeczności, dłoń łączyła się z dłonią,
Zaciskała w pięść, albo w węzeł na sznurze wisielczym.

I tylko nędza stała się bardziej siebie świadoma; poślubiła ironię
W wianku z kwiatów ostu, aby działo się umieranie nie za swoją sprawę,
Za to w imię Słowa.

W imię Marksa, Engelsa, Lenina, Trockiego, którego się nie wyrzekłem
I nie wyrzekam; w imię Słowa, co jest ciałem, bytem, truchłem i obrazem,
Przesłanką i wnioskiem, wieczystym zaprzeczeniem i afirmacją,
Budzę się w ten poranek i...

VI

...Nie mogę uwierzyć, że świetlana przyszłość jest zaledwie świetlikiem,
Wyrastającym na trupach; żyje ich rozkładem, przemianą, i nie jest
Gwiazdą, a małą muszką o fosforyzującym podbrzuszu. Nie chcę
Uwierzyć i zamykam oczy, a tam migają świetlne plamy, podcięte
Czernią. Otwieram więc oczy, wygrywa czerwone na tle czerni i zieleni,
Ale tylko na chwilę, bo właśnie umiera i świetlik unosi się w powietrzu nocy.

Moja wola jest pustą obecnością

VII

Umówmy się więc, że jeszcze żyję, przynajmniej jak ten pokój, który
Zamyka mnie w świetle, jak świątynia wiare; że czasem rusza się coś
W wyobraźni, jakby szarość jadła szarość; że czasem język międli pokarm,
Ślina zamienia się w wino, a chleb w ciało; że czasem przyzwiecie trzeźwy
Umysł nie wytrzyma, jakby mogło to coś zmienić. I bawi się białymi
Myszkami sacrum, odróżniając treść od formy, futerko od flaków,
Ale tylko na niby.

Umówmy się, że wiem, co było dawniej i czekam, bo czekanie jest
W umowie o moim człowieczeństwie, przekomarzając się z wciąż
Spóźnionym ja; i że bywa ono białą ścianą z jego czcigodności,
Pod którą stoją schodzone buty, ubranie, zrzucone z nagości i
Dobre intencje, które prześwitują.

Umówmy się jednak, że żyję, przynajmniej jak ten pokój, który
Zastępuje naturę, gdzie nic nie jest na niby.

Tyle mi bowiem zostało
Między sobą i sobą.

Grzegorz Dziamski

Zenon Polus (1953–2013)



Zenek Polus, jak wielu polskich artystów jego i nie tylko jego generacji, był trochę rozdarty; był i chciał być artystą, ale także był i chciał być organizatorem życia artystycznego. W pewnym momencie ta druga rola zaczęła dominować i Polus stał się bardziej znany, przynajmniej w kraju, jako organizator życia artystycznego, jako pomysłodawca i twórca zielonogórskiego Biennale Sztuki Nowej.

Polus zaczął przygotowywać zielonogórskie Biennale pod koniec 1984. Był to trudny czas. W kraju trwał jeszcze bojkot oficjalnych instytucji artystycznych i wiele artystów nie wierzyło w powodzenie zielonogórskiej inicjatywy, ale Zenka to nie zrażało. Zapewnił sobie wsparcie artystów i wykładowców poznańskiej akademii (wówczas PWSSP), którą kilka lat wcześniej sam ukończył i wspólnie z gronem swoich zielonogórskich przyjaciół w listopadzie 1985 roku otworzył I Biennale Sztuki Nowej. Wzięło w nim udział 77 artystów, a przyjechało dużo więcej, można powiedzieć, że przyjechali wszyscy, nawet ci, któ-

rzy wcześniej byli bardzo sceptycznie nastawieni do całego projektu. Biennale pokazało różnorodność polskiej sceny artystycznej połowy lat 80., ponieważ celem Polusa było przekonanie artystów i krytyków, że polska sztuka lat 80. nie była zdominowana przez jedną tendencję, jeden kierunek, dzięki malarstwo czy neoekspresję, stąd obecność na I Biennale Sztuki Nowej Jana Berdyszaka i Izabelli Gustowskiej, ale także Łodzi Kaliskiej, Sztabińskiego, Trelińskiego, Pierzgalskiego i członków Gruppy, Klamana, Tajbera i Kaźmierczaka oraz ówczesnych debiutantów, Joanny Przybyły, Sławka Marca, Marka Modela. Zielonogórskie Biennale nie było tak wyraziste i deklaratywne jak zorganizowana rok później w Sopocie wystawa Ziarkiewicza *Ekspresja lat 80.*, dlatego było rzadziej przywoływane, ale za to było bardziej postmodernistyczne, bo postmodernizm to w gruncie rzeczy wielość, różnorodność, pluralizm, a właściwie pogodzenie się z wielością, różnorodnością i pluralizmem otaczającego nas świata.

Dwa lata później Polus zorganizował kolejne, II Biennale (maj 1987), tym razem oparte na kluczowym dla lat 80. galerijnym – do udziału w Biennale zaprosił 12 ważnych dla lat 80. galerii – Akumulatory, Dziekanka, Wielka 19, BWA Lublin, Foto-Medium-Art, AT, Galeria Działalności, Chełm 72. Była to jedna z większych i ważniejszych wystaw lat 80. Przy organizacji II Biennale Polus współpracował ze Stefanem Ficnerem, z którym stworzył dobrze rozumiejący się, bardzo zgrany i twórczy duet kuratorski. Miałem okazję z bliska przyglądać się ich pracy, ponieważ poprosiłem ich o przygotowanie niekomercyjnej wystawy na targi sztuki Internat w 1990 roku, którą zatytułowaliśmy *W stronę poznania*.

Później odbyło się jeszcze III i IV Biennale Sztuki Nowej (1991), ale Zenek zajęty był już innym projektem – zakładaniem Instytutu Wychowania Plastycznego (później Instytutu Sztuki i Kultury Plastycznej, dzisiaj Instytut Sztuk Wizualnych) w Zielonej Górze. Tutaj przyszło mu współpracować z Antonim Zydroniem. Trudno sobie wyobrazić bardziej przeciwstawne osobowości artystyczne: Zydron – surrealistą, członek międzynarodowej grupy Phases, wierzył w sztukę odwołującą się do wyobraźni, twórczej wyobraźni; Polus – wierny konceptualnej lekcji Duchampa, uważał, że w sztuce najważniejszy jest wybór, że sztuka jest sprawą wyboru, co miało charakteryzować kulturę użycia (culture of use), kulturę konsumpcyjną, kulturę zawłaszczania gotowych znaków i obrazów. Współpraca Zydronia z Polusem przypominała spotkanie surrealisty z sytuacjonistą, ale dawała dobre efekty; Instytut się rozwijał, zyskiwał uznanie wśród studentów i pedagogów ściąganych z całej Polski, wypuszczał coraz ciekawszych

absolwentów, z których najbardziej znany okazał się duet Sędzia Główny.

Na początku nowego stulecia Polus z takim samym jak wcześniej entuzjazmem zaangażował się w kolejny projekt – galerię Stara Winiarnia, która, wzorem dobrze znanych Polusowi poznańskich galerii, miała stać się przedłużeniem edukacji w Instytucie Sztuki, miejscem spotkań młodych absolwentów Instytutu z artystami o znaczącym dorobku, a także okazją do rozmowy z zielonogórską publicznością i krajową krytyką.

W rozmowie z Wojciechem Śmigielskim Polus przywołał myśl André Bretona, że artystą może być każdy, kto ma twórczy stosunek do rzeczywistości. Artysta nie musi malować obrazów ani komponować utworów muzycznych, wystarczy, że będzie twórczo reagował na świat (*Artysta jest zbudowany jak normalny człowiek*, w: *Halo...*, Zielona Góra 2009). Było to zgodne z programem sytuacjonistów, którzy mówili, że nie istnieje sytuacjonistyczne malarstwo czy muzyka, a jedynie sytuacjonistyczne wykorzystywanie tych środków. Polus przez cały czas, i jako artysta, i jako kurator, a później pedagog, szukał w sobie i innych twórczego stosunku do rzeczywistości. To cenił w sztuce najbardziej i dlatego pogodził się z rolą kuratora, która dawała mu szansę promowania innych artystów, w tym także, a może przede wszystkim młodych artystów. O tych ostatnich zawsze mówił z niekłamany entuzjazmem i wielkimi nadziejami.

Zenek Polus należał do tej generacji, która ciężką i mozolną pracą nie tylko artystyczną, ale kuratorską, dydaktyczną, popularyzatorską doprowadziła do jakościowej zmiany myślenia o sztuce.



Eugeniusz Kurzawa

Nie żyje artystka Agata Buchalik- -Drzyzga



Maria Aftanas-Jujka, *Agata*, 2011

ZIELONA GÓRA. W sobotę, 14 września, zmarła Agata Buchalik-Drzyzga. Artystka plastyk. W swej bogatej karierze była członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków, wykładowcą w Liceum Plastycznym, dyrektorką Biura Wystaw Artystycznych, a w ostatnich latach także założycielką i pierwszą szefową klubu charytatywnego Kiwanis. Niestęchająca otwarta, twórcza, przyjazna dla swego otoczenia, dobry duch środowiska. Chętnie brała udział w licznych plenerach w regionie i w kraju.

Niecały rok temu „Gazeta Lubuska” piórem Eugeniusza Kurzawy publikowała na swych łamach tzw. alfabet Agaty Buchalik-Drzyzgi. Mówiła w nim wówczas o sobie: A – artysta. Od dziecka chciałam być... chirurgiem, nie artystką. B – ból. Od paru lat zmagam się z paskudną chorobą znaną pod skrótem RZS. Są w niej okresy bardzo bolesne, są też lepsze, które staram się wykorzystać na twórczość. I walczę, cały czas walczę z bólem... C – cel. Przez całe życie twórcze moim celem były... wystawy.

Czasem swe prace wystawiałam co dwa lata, teraz wytrzymuję nawet pięć lat bez wystawy. Ostatnio miałam w Bibliotece Norwida ekspozycję z okazji 45-lecia twórczości. To była moja 45 wystawa. Prace prezentowałam m.in. w Kopenhadze, Gorzowie, oczywiście Zielonej Górze, Achim (Niemcy), Wrocławiu, ale im jestem starsza, tym bardziej do prezentacji dzieł pociągają mnie „bliskie okolice”. E – ekslibris. Udało mi się stworzyć ponad czterysta znaków książkowych, zwanych popularnie ekslibrisami. Większość dla rodziny, przyjaciół, znajomych, których sobie cenię. Ot, siadałam i tworzyłam. Chęć zebrać wszystkie ekslibrisy w... książce. Będzie to pozycja o moich przyjaciółach, którym podarowałam znaki książkowe. Na jednej stronie ekslibris, obok zaś gawęda. G – galeria. Żaden plastyk nie może funkcjonować bez galerii. H – historia. Zawsze mnie interesowała. Przeczytałam *Historię Zielonej Góry*. Nie przypuszczałam, że takie małe ongiś miasteczko ma tak barwną, momentami nieprawdopodobną

historię! Dzięki temu jeszcze bardziej polubiłam to nasze miasto. I – igła. To ważne narzędzie z dwóch powodów, artystycznego i życiowego. Wymyśliłam nową technikę tkacką nakładania nitki na tkaninę. I tu igła jest niezbędna. Ale potrzebna jest też, gdy muszę wziąć zastrzyk z powodu bólu nasilającego się w mojej chorobie. Często bez serii zastrzyków się nie obejdzę. Stosuję też akupunkturę. J – jestem! Zawsze usiłowałam zrobić więcej, niż mogłam. Takie było całe moje życie. Odkrywałam wciąż „nowe lądy” artystyczne. Wchodziłam w nowe techniki plastyczne. Realizowałam się praktycznie we wszystkich: w malarstwie i to w akwareli, gwaszu, oleju, akrylu, w grafice klasycznej, akwaforcie, akwatincie, drzeworycie, tkaninie, papierze. Ostatnio stosuję nową technikę – folareks, do tworzenia ekslibrisów. Ł – łatwość. Powinnałam dziękować niebiosom i rodzicom za ten dar. Za łatwość, z jaką w życiu przychodzi mi realizacja zamierzeń artystycznych. Właściwie każdy pomysł mi się udaje. Aż mnie to peszy. M – miniatura. Kiedy w 2007 r. z powodu choroby wysiadła mi prawa ręka i nie mogłam tworzyć, bo pędzel po prostu z niej wypadł, mimo wszystko zaczęłam tą ręką malować. Chociażby obrazy – miniaturki. I wychodziły! To dało mi napęd do życia, bo już myślałam, że koniec z tworzeniem. Potem ręka doszła do

siebie, a miniatury pozostały. Sprzedaję ich mało, bo większość traktuję jako prezenty dla przyjaciół. N – nieobecność. Nieobecni nie mają racji bytu. Trzymam się tej zasady i dlatego staram się być na wystawach, uczestniczyć w różnych zdarzeniach kulturalnych, społecznych. Istnieć. To też mądrość babci, że nieprawdziwe jest powiedzenie: „siedź w kącie, a znajdą cię”. P – papier. To miłość moich ostatnich dwudziestu lat. Oszalałam na tym punkcie. R – rysunek. Bez rysunku nie ma mojej twórczości. Wszystko, co robię w życiu, nie tylko artystycznym, zaczyna się od rysunku. Zawsze na początku musi być szkic. Przy sobie mam nieodłączny notatnik, ołówek, cienkopis i nawet idąc po mieście, coś tam sobie szkicuję. W – wolny zawód. Całe życie chciałam być wolnym człowiekiem i to mi się udało. Tylko dwukrotnie i to na krótko dałam się związać etatami. Raz na cztery lata z BWA, potem dwa lata pracowałam na uczelni. Wolność to jest coś! Z – zapiski. Od 21 lat, od śmierci mojego męża, prowadzę codzienne zapiski. Kupuję duży kalendarz i każdy dzień dokładnie odnotowuję. Zdarzenia, ludzi, spotkania, o, nasze dzisiejsze też już odnotowałam. Czasem na marginesach coś narysuję. Gdyby to wszystko wydać drukiem, to w Zielonej Górze nie obyłoby się bez skandalu. Ż – życie. Udań.



Alfred Siatecki

Jerzy Chłodnicki (1943–2013)

Poeta, tłumacz,
dziennikarz
i animator kultury



Mówił o sobie, że z urodzenia i charakteru jest krakusem, wszak przyszedł na świat w Limanowej i związał się z małopolskim ruchem młodzieżowej wiejskiej. Potem przeniósł się do podlubelskich Gardzienic, gdzie był wykładowcą w uniwersytecie ludowym. Stamtąd w połowie lat 70. ubiegłego wieku trochę na prośbę Związku Młodzieży Wiejskiej, trochę z własnej woli Gardzienice zamienił na podulechowską Klenicę, gdzie od 1957 roku był Lubuski Uniwersytet Ludowy. Jego żona została dyrektorką placówki, on wykładowcą i zaraz włączył się w życie kulturalne gminy Bojadła i lubuskiej młodzieży wiejskiej.

Klenicki pałac, który zajmował uniwersytet, miał szczęście do osobowości utrwalonych w historii. Powstał w drugiej połowie XIX w. letniej rezydencji Radziwiłłów z linii poznańsko-berlińskiej nie drasnęła żadna wojna i nie ograbili jej szabrownicy. Tradycja mówi, że pałac, kościół i w ogóle wieś ochroniła uznana za cudowną figurę Matki Bożej Klenickiej,

od potopu szwedzkiego przechowywana w Otyniu, najpierw w kościele zamkowym, dziś parafialnym. Dobra klenickie bowiem należały do księżnej żagańskiej Doroty Talleyrand-Périgod, a opiekę duchową nad ludnością sprawowali tam otyńscy jezuici. Co jakiś czas odzywają się głosy, żeby cudowna figura wróciła na swoje pierwotne miejsce. Na razie raz w roku posądek w uroczystej procesji odwiedza Klenicę. Tego Jurek dowiedział się dopiero jako kleniczanie. Dowiedział się też, że ojciec wybitnej pisarki Olgi Tokarczuk był wykładowcą w klenickim uniwersytecie, a ona jako dziecko biegała po pałacowych pokojach, potem chodziła do liceum w Sulechowie, a jesienią zbierała złociste liście spadające z drzew w przypałacowym parku.

W klenickim uniwersytecie ludowym przede wszystkim dokształcały się gospodynie klubów kultury, prowadzonych przez Ruch i spółdzielczość. Jurek był jednym z tych, którzy podpowiadali im, co zrobić, żeby życie na wsi nie ograniczało się do pra-

cy w polu i zagrodzie. Dlatego napisał poradnik dla działaczy klubowych *Poznajemy się w zabawie*, starając się, żeby przynajmniej część zawartych w nim podpowiedzi słuchacze zrealizowali podczas zajęć w uniwersytecie. Napisał też przewodnik *Teatr telewizji w klubie*. Prawdę mówiąc, to w tamtym czasie klenicki uniwersytet był wzorcowym ośrodkiem kultury, promieniującym nie tylko na gminę Bojadła, ale i na cały region, a nawet na województwa ościennie.

Jako poeta Jurek zadebiutował w krakowskich czasach. Swoje wiersze ogłaszał niemal we wszystkich czasopiśmie kulturalnych i młodzieżowych, jakie ukazywały się w Polsce w drugiej połowie XX w. W 1975 roku Wydawnictwo Lubelskie wypuściło jego pierwszy zbiorek wierszy *W dziewannie*, ilustrowany przez, wtedy zielonogórzanina, Witolda Michorzewskiego, późniejszego wykładowcę w Instytucie Sztuk Pięknych Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze, dziś profesora Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. W 1976 roku w wydawnictwie Lubuskiego Towarzystwa Kultury ukazał się zbiorek *Galaktyka* („nasi ojcowie my i nasze dzieci w jednym okręcie płyniemy / wymijając rafy mielizny w oceanie naszych gwiazd”). Pojedyncze wiersze drukował w antologiach i almanachach wydawanych w całym kraju.

Jurek miał naprawdę wielu przyjaciół wśród poetów i pisarzy w Krakowie, Lublinie, Warszawie, Zielonej Górze. Lubił wspominać, czym go podjął Tadeusz Nowak, autor kultowej powieści *A jak królem, a jak katem będziesz*. O czym rozmawiał z Edwardem Stachurą, wtedy *primus inter pares* wśród pisarzy i poetów. Ile kieliszków wypił z dr. Piotrem Kuncewiczem. Jak zapraszał dr. Jacka Kajtocha do odwiedzenia Ziemi Lubuskiej. Co mu powiedział

Wiesław Myśliwski, co Tadeusz Konwicki, co Julian Kawalec, co Marian Pilot.

Pod koniec lat 70. wyjechał do Szwecji, gdzie jako stypendysta tamtejszych uniwersytetów ludowych trochę się doksztcał, trochę dzielił się swoim doświadczeniem jako wykładowcy i uczył się języka szwedzkiego. Jak wspominał, zaprzyjaźnił się w kilkoma czołowymi autorami powieści i zbiorów wierszy, co zaowocowało przekładem jego utworów na język Håkana Lindquista. To jeden plus. Był i drugi: Jurek nauczył się szwedzkiego w mowie i piśmie na tyle, że po powrocie do Klenicy tłumaczył wiersze poetów szwedzkich na polski i drukował je w czasopiśmie literackich. Doskonalił swoje umiejętności lingwistyczne, czytał prasę szwedzką i upowszechniał wiedzę o ojczyźnie Alfreda Nobla. Z biegiem lat poznał ten język tak dobrze, że w Towarzystwie Wiedzy Powszechnej miał grupkę swoich uczniów.

W połowie lat 80. jego żona została dyrektorką Biura Wystaw Artystycznych w Zielonej Górze. Wtedy rodzina zamieniła mieszkanie pałacowe na trzy pokoje w zielonogórskim bloku. Jurek związał się z „Dziennikiem Ludowym” i innymi tytułami wydawanymi przez ruch ludowy, także z zielonogórskim „Nadodrzem”, gdzie drukował felietony w cyklu „Orkanowe myślenie”. Redagując młodzieżową „Winnicę”, wpadł na pomysł, żeby najlepszych młodych twórców lubuskich nagradzać Zielonym Gronem. Kolejną redakcją na jego dziennikarskiej drodze była „Gazeta Lubuska”. Potem założył wydawnictwo książkowe. Pracował też w firmie wydającej encyklopedię biograficzną *Who ist who*.

Zmarł w Zielonej Górze. Jego prochy spoczywają na nowym cmentarzu przy ul. Wrocławskiej.

Milczenie

Nie trzeba krzyczeć
Poezja ma słowa łagodne
Atakują w ciszy
Krzyczą na prześcieradłach
nieprzespanych nocy
Wrzask jest
formą poezji bezradnej
Poezji
bez sensu
Jest milczeniem

Milczenie...

Najgłupsze zdania
 pisze gość
 który chce
 umierać

To po co jego zdania
 Świata

On już wie że
 nie przekonał nikogo
 do swojego życia
 swoich racji

Już wie że
 Życie jest bogatsze
 od niego

Jest odważny
 Ucieczką

Ale inni
 tchórzliwie
 Żyją

Rupiecie

Po co się to ma?

– Rupiecie.

Żeby komuś pokazać
Komuś przekazać
By służyło...

Nie służy.

Tak rozumując facet zredukowany do ciała

Jest po to

Aby się rozmnażać

Jeśli tego nie robi

Jest duszą

Uduchowionym elfem

Wyginęli wojownicy

Odkąd litują się nad sobą

Nie ma już macho

Odkąd siła jest w głowie

To nie prawda że kobieta myśli

macicą

Ona Wtedy Nie Myśli

Ona pochłania resztki siły

Wymuszane z męczyzny

W jakże czuły sposób

Płeć nie może przekazywać życia

Płeć uskrzydla

Gdy facet widzi cel

I znowu jest wojownikiem

Chce zdobywać żonę
orgazm pieniądze
Wyprzedzić kolegów w biedzie
Czuć się bogatym szczęśliwym

I to się spełnia
gdy kobieta wmówi mu
że go kocha

A wokół gromadzą się
rupiecie

Maria Miłek

Godzina do końca świata...



Jakże znamienny jest ten tytuł wiersza otwierającego Jej jedyny tomik poezji, a pierwsze jego słowa brzmią: „zostały/ nieopublikowane wiersze/ I drogi/ śnieżnostoneczne...”.

Jej imię – EMILIA – wiąże się z żarliwością, gorliwością, pilnością... Była na pewno i taka, ale ci, którzy mieli szczęście Ją znać, najpierw mówią o Niej, że była dobra, życzliwa. Stodycz, pogoda i łagodność, jaka z niej emanowała, obrazuje się z kolei w tym, że mówili do Niej i mówią o Niej Emilka. Fotografia, która zdobi ten tomik (wydany w 2012 roku w serii Poddasze Poetów), choć wydaje się być stylizacją, oddaje urok Jej postaci, ale i duszy.

Tomik także ma znamienny tytuł: *W dorosłość*. Ta młodziutka istota dopiero w nią szła, ledwie stanęła na jej progu. Stała już jednak w „prześwicie”, w metafizycznym przeczuciu przejścia, jak wierzyla, na jaśniejszą stronę, gdzie, odnosząc się do słów Jej wiersza – myśli już nie bołą, a radość się nie starzeje... Jej debiut i króciutkie twórcze życie były

zapowiedzią prawdziwej poezji. W tych nielicznych wierszach skłaniała się to w stronę radości życia, to w zadumę nad jego pięknem i kruchością. Pisała dyskretnie, bez emfazy, gwałtownych wykrzykników czy nowomodnych udiwnień. Z młodzięcą prostotą, a równocześnie z dojrzałą świadomością siebie i własnego przemijania, zwracała uwagę na mgnienia chwil. To, co czyni Jej poetyckie słowo ważnym i właśnie dojrzałym, ponad miarę wieku, a pewnie na miarę bólu, to szczególne wyczulenie na znaczenia słowa. Jej wiersze pełne są treści wyrażanej raptem kilkoma słowami, znaczeń tkwiących raczej w niedopowiedzeniach niż w pełnych, wszystko „opisujących” zdaniach. Szlachetna, rzadka wstrzemięźliwość w wyrażaniu siebie. Wiedziała. Czula –

Jakoby góry
turlały się w dół
Jakby słowa uderzały o stół

Żadne zdanie

Nie wypłynie samo [...]

Pisała: „boję się żyć/ bo nie umiem żyć”. Ba! Gdyby wszyscy umieli żyć tak jak Ona! Żarliwie kochała piękno i umiała je odnajdywać w drobiazgach, drgnieniach światła, płatkach kwiatów, przelocie motyla. Nawet w ludziach! Bo kochała ludzi. Tych najbliższych (ileż serdeczności w Jej wierszu poświęconym babci, w samym nazwaniu: „Babciusiu”) i – trudno przecież powiedzieć obcych, bo wydawało się, że wszyscy są Jej bliscy. Była zawsze chętna nieść pomoc, obdarzająca innych tym, co w Niej samej było najcenniejsze: Pięknem i Dobrem. Także Jej wiersze są darem. Poważne, głębokie, a przecież pogodne w bólu, uśmiechnięte do świata. Jak napisała:

Tak pięknie sobie zasłużyłam
Samotnością całować wieczór
jesienny
Spadać równo
powoli
jak te liście pożółkłe
i blade [...] A życie
niech deszczem
zmyje mój żal
By Bóg go nie zauważył

Nie znamy wszystkich Jej wierzy. Czekamy na tomik, którego Ona nie doczekała. Jednak tych kilkanaście wierszy, jakie sama pozwoiliła nam poznać, wskazuje na wielką dla nas stratę – choć oczywiście, uwaga taka brzmi może mało stosownie, wobec tak szybko minionego Jej życia. W jakiś sposób Jej poezji patronowała chyba wielka Jej imienniczka, Emily Dickinson, mistrzyni poetyckiego skrótu i pełni wyrazu. Czułość, zachwyt i miłość do świata połączona bólem. Bo jest tak, że pewne, te bardzo wrażliwe dusze, widząc Piękno, czują ból. Emily pisała: „Ile hartu w Duszy że to znosi,/ Gdy coraz bliżej brzmi/

Stąpanie nadchodzących Stóp/ Skrzyp otwieranych Drzwi”... Emilka, na niespełna dwa lata przed odejściem napisała tak:

I przyjdzie po mnie
Siwobrody starzec
– Mędrzec
mędrkować mi już nie
będzie
tylko stanowczo
lecz łagodnie
powie
„chodźmy tam
– gdzie sama
wydeptałaś sobie
ścieżkę”

Emilka Grzelak urodzona 9 sierpnia 1986 roku (mieszkała we wsi Wysokie w gminie Czerwieńsk, a w centrum Zielonej Góry prowadziła kafejkę Rot Cafe), zmarła 25 lipca 2013. Jej króciutkie życie, tak boleśnie doświadczone, pozostawiło smutek, ale i radosny ślad w sercach przyjaciół. Tak jak dzieje się, gdy gaśnie przez chwilę jaśniejąca na niebie tęcza. Dickinson o takim odejściu napisała:

Nie mogłabym płakać jak oni –
Szloch może być obrazą!
Splotą cichą wróżkę i umknie
Do swych rodzinnych lasów.

Gdy prostoduszni sąsiedzi
Gawędzą o „zmarłej przedwczśnie”,
My – skorzy do peryfrazji –
Mówimy, że ptaki pierzchły.

(tłum. L. Marjańska)

O kruchości i dziwności świata Emilia Grzelak wypowiedziała taką oto myśl – wiersz: „Są kwiaty, które się zrywa/ i te, na które można tylko patrzeć...”.

Spotkanie z...

Spotkałem chyba dziś samego stwórcę?
Wybierał kijem coś ze śmietnika,
był brudny, w wiatrem podszywanej kurtce,
nie krył się nawet i... nie znikał.

Spytałem go – Czemu to robisz?
Odrzekł – No, przecież obiecałem;
prosiłem, zaufajcie mojemu głosowi;
spójrz, jakie wam królestwo dałem!

Nie trzeba się o jutro martwić.
Ot, przyjdę sobie i już wszystko mam!
Pogrzebię trochę, znajdę i... wystarczy,
bym dotarł jakoś tam do raju bram.

Minę miał przy tym frasobliwą.
Szepnął, gdy już odchodzić chciałem –
Widziałeś moją postać wiecznie żywą,
ale nikomu nie mów, proszę, że... już zmartwychwstałem.

Każda wiosna ścina swoje dzieci

Jeszcze niedawno, pod śniegiem zziębnięta,
kuliła wątłe, lękliwe ramiona,
a dziś, gdy jasny promień porozcinał pęta,
gotowa ziemski ucisk, tyranię pokonać,
podnosi głowy dumnie, nie zważając na nic,
pośpiesznie i rozlicznie obejmuje władzę,
tak jakby jej ekspansja nie mogła mieć granic,
a ja, u szczytu piękna, przywódców jej zgładzę.
Jakbym chciał udowodniać i światu, i sobie,
że z okrucieństwa kiedyś lepsze jutro zrodzę.
Dlatego całą rewolucję znów stawiam na głowie
i wazon ustanawiam Bogiem w jej ogrodzie.

Skamieniały las

Życie:

odmierza się tu cyklem wizyt w zsypie i śmieciarek,
psuciem się ciągłym, porannym, wkurwiającym hałasem wind,
marazmem, który w duszach ziomków z dzielni skrycie zaległ
frustracją przekuwaną nie raz w patriotyczno-chuligański czyn;
krzykiem wściekłości nazbyt często się odbija
od betonowej płyty – „studni marzeń niegdysiejszych” cembrowiny,
kuli po kłatach, piwnicach, wiatrołapach i... nie mija
nawet, gdy po ekstazie stygną piersi zaćpanej na złoto już dziewczyny.

Rankiem termitów zgrają na przystanki okoliczne się rozlewa,
aby zdobywać tak mozolnie dla potomstwa comiesięczne kęsy jadła,
otumanione używkami, „sto lat” na pohybel stróżom praw bliźniego śpiewa,
jak Pytia, co to los swój na długo naprzód, bezbłędnie znów odgadła.
Trwa, wbrew logice, ciesząc się jak dziecko byle czego ochłapami,
wciąż ma nadzieję, że wygra w końcu na loterii główny los;
zasłoną dymną kłamstw, obietnic wszak tak łatwo można je omamić,
ale, to ono jedno wie, co znaczy kochać ponad wszystko kogoś,

wprost.

Bezpowrotność...

Aromacie jaśminu – pieścisz nozdrza, napływasz,
nie żądając zapłaty za to doznanie żadnej –
czemu trwasz tu tak krótko, aby w nicość rozpuływać,
zaznaczając nietrwale
ślady w zmysłach,
tak
ładnie?
Brzasku – to ty przeganasz nocne lęki i szarość,
czyniąc to cicho, pokornie, zawsze tak starannie.
Hołdy ci składam co dnia, bo osładzasz mi starość,
która nieodwołalnie
czas
nasyła
na mnie.
Macie oboje szczęście, bo możecie powracać,
by ponaprawiać błędy, odkupić swoje winy.
Sens głęboki z pewnością ma ta wasza praca.
Ja! – jak miałem być nieomylny,
będąc tu
raz
jedynty?!

Szyfry z bieliźnianego sznura

– Psssy! Cicho kumochy rozbisurmanione! Jeszcze nas kto usłyszysz i rabanu narobi okropnego na wieść całą! – odezwał się głos męski z prawej.

– Już my jak myszki cichutko tu przy panu siedzim i ni głosu żadnego nie dajem – odpowiedział na to głos damski z lewej.

– Kilka słów zawsze zamienić wypada, skoro już się tutaj tak spotkaliśmy zgodnie – wyszeptały czyjeś usta, lekko karminową szminką pociągnięte. – O pogodzie można rzecz wyrazów parę i jeszcze wymienić się przepisem na ciasto kruchutkie z rabarbarem kwaskowatym, ech!

– No niech mnie dunder świnię, baby rozgdakane! Ciągłe tylko ko, ko, ko, jak w kurniku jakim, ciszy się tu nie da uświadczuć! Gęby rozdziawiły szeroko, jakby jakie cuda na kiju oglądały i trajkoczą jako te katarynki krakowskie. No niech wam murarz Józek usta zaraz zamuruje, bo nie wytrzymam ni chwili! – rozsierzdził się głos męski z prawej i aż sapnął z wściekłości przeogromnej.

Dwie gaduły tymczasowo zamilkły zgodnie, nieco oburzone jego zrzedliwością nieustającą i wzrok wbiły w gąszcz przed sobą. Wszyscy siedzieli bowiem w chruśniaku malinowym sąsiadki nowej, w gęstwinie zieloności różowymi punktami owoców naznaczonej. No, w krzaczorach siedzieli właściwie, z kolanami przyciśniętymi do ziemi, z plecami pochylonymi nisko, jak najniżej. Podglądali sąsiadkę dziwną, rąbką jej tajemnicy próbując uchylić. Czekali na gest jej jakiś, który im wskazówką będzie, wiedzę jakąś o niej samej przyniesie. Najpilniej przyglądali się sznurowi z praniem tej niewiasty, jakby jej gacie czy biustonosze, czarne lub białe, powieszone tam tego, a nie innego dnia, w tej, a nie innej kolejności, jakiś tajemny szyfr bieliźniany stanowić miały. Przywiodła ich do tego miejsca ciekawość przeogromna i wścibskość wszędybylska, wiedzieć chcieli wszystko i o wszystkich. Oto bowiem do wsi ich kobieta młoda się sprowadziła, z licem gładkim i kibicią soczystą zacie, tajemnicza jakaś taka i nieodgadniona. Zamieszkała w starej chacie po świętej pamięci Zenku Piekarczyku, co to zmarł boleściwie lat temu kilka. Zuch to był chłopak, długo by gadać! Krajan to oddany, miłujący tutejsze łąki i pola kraciaste, co to mu były taką małą ojczyzną słodką, sercu najbliższą. To on uratował ich tożsamość tutejszą, bo przez lata walczył, by wieś ich do pobliskiego miasteczka nie została wcielona bezpowrotnie. A ile się nachodził po urzędach, ile napyskował takim i innym radnym, co to od ziewania za urzędniczym biurkiem chyba pomieszaniami zmysłów dostali, ho, ho! Gdy już walka na słowa z ciężarkami argumentów pomóc nie mogła, telewizję lokalną ściągnął do wsi ich zagrożonej i przed kamerami wypowiadał zdania nośne: „Ta wioszczka nasza rodzinna, to dla mnie serce Polski jest przecie bijące. Skoro ojce nasze mieszkają tu lat temu wiele uradzili, to wiedzieli, że ich serca bić dla ojczyzny nie mogą w Krakowie, Warszawie czy Poznaniu. Tu one są zamontowane, a ich przeszczepy na inne tereny kraju rzadko się przyjmują. Tu nam zatem mieszkają trzeba, tym naszym swojskim oddychać powietrzem, tu żyć, pracować w pocie oraz znoju codziennym, a potem umierać, dając się pochować na naszym cmentarzyku. Tam sąsiad obok sąsiada karnie się kładzie w ziemi znajomej i nie narzeka ni słowem, bowiem od lat wielu darzy go szacunkiem ogromnym”.

Tak Zenek Piekarczyk przed kamerami gadał, aż się iza w oku niejednym w ludziach zakręciła, gdy go wtedy słuchali, a potem jeszcze dodatkowo w telewizorach oglądali. Wygrał więc z urzędnikami sztywnymi batalię o wiejską wolność i niepodległość, za co softys mu potem na spotkaniu w świetlicy miejscowej długo dziękował, rękę ścisnął, całował w policzki bez końca, bukiet kwiatów wręczając przeogromny. I odtąd Zenek Piekarczyk to była we wsi święta krowa taka, a czczona jak rzadko która, nawet patrząc na te indyjskie, hen, daleko! Jak zmarł – piękny pogrzeb mu ludziska we wsi urządziły, na znicze oraz wieńce ze wstążkami długasnymi nie żałując. Gdy potem we wsi obchodzono święta jakieś państwowe czy narodowe, zawsze się ludzie jeszcze dodatkowo przy jego grobie gromadzili, bo to Polak był według nich prawdziwy i szczerzy patriota lokalny. Bez odwiedzin przy miejscu spoczynku jego ostatecznego – żaden 11 listopada, 3 maja czy 1 sierpnia, nie byłby w ich oczach dostatecznie uczczony.

Po śmierci dom jego stał niezamieszany, za coś na kształt pomnika pamięci pozując wdzięcznie. Miejscowi przez jakiś czas zastanawiali się, czy rodzina jaka, a może też krewni dalsi, nie zgłaszają się po nieruchomość przez zmarłego pozostawioną, ale miesiące mijały i nic się nie działo. Nikt obcy się przy domeczku nie kręcił, nikt nie wypytywał, nikt niezajomy nie zasięgał języka. Niektórzy z miejscowych, co to większym wścibstwem od innych zawsze się popisywali – zastanawiali się, czy może była żona Piekarczyka po schedę męzowską do wiejskich wrót nie zapuka. Nie zapukała, bo i szansy na to nie miała. W ziemi od dwóch lat leżała bowiem, u św. Piotra polne družki w niebiesiech wydeptując. We wsi tej o tym nie wiedzieli, bo i Zenek Piekarczyk nigdy o tym nie mówił, nie zwierzył się nikomu ze scen pożycia małżeńskiego. Wiejskie ludzie wiedzieli tylko, że jakąś żonę kiedyś miał, niektórzy ją nawet trochę pamiętali, jej twarz urodziwą i manieri miejskie. A potem on żonę porzucił, wyjechała więc gdzieś ze wsi nieboga, wstydem okryta sromotnym i słuch po niej zaginął. Co się z nią dalej działo? – nikt nie wiedział, choć przez jakiś czas plotki o niej krążyły różne: a to, że niby w ciąży była, a to, że nigdy ponoć z chłopem żadnym się nie związała, bo zawsze w jej sercu ten mąż jedyny pozostał wyrzeźbiony. Ot, taka gadania miejscowych, co to czasami tylko pletli – byle co pleść.

Nowa mieszkanka domu po Piekarczyku – bohaterze, uśmiechała się do sąsiadów wdzięcznie, oj uśmiechała, ale co myślała w głowce swojej jasnowłosej, każdy wiedzieć by chciał chętnie. I z sąsiadami w zgodzie żyła, rankiem pozdrawiała ich głosem czystym jak kryształ, a wieczorem żegnała, z nutą wieczornego zamyślenia. Ale więcej nic o sobie powiedzieć nie chciała, nikt przy niej męża ni dziełek nie widział kroczących, więc plotki gorące po wsi poszły, że może ona tu polować będzie na chłopca jakiego majątnego, co to jej złote góry naobiecuje, na traktorze pod płot jej z hukiem wielkim zajędzie i o rękę poprosi.

– Ej, głupia toż ona ci, głupia, jeśli tutaj dziada do ołtarza wyhaczyć planuje! – gdały baby wiejskie, podśmiewując się w dziewczyny jawnie a złośliwie. – Lepiej by jakiego miastowego gdzieś poznała, bo tu u nas chłopoki są fajne, ale bidne jak szczury kościelne. Sami jeno patrzą, by jaką bogatą sponsorkę poderwać i całe życie nie robić nic cięższego od kiwania palcem w bucie – perorowały, z rękami ciasno na piersiach założonymi, a w domu płakały ich malutkie dziatki i mleko kipiło z garów kuchennych.

– Toć ci niemoralnym, by taka młoda dziewczucha po wsi się naszej panoszyła, chłopów naszych bałamuciła wdziękami babskimi, po naszą własność małżeńską rękę chciwą wyciągając – przepowiadała babina inna. – Jak się dobrze zakręci, to jak raz jeden z drugim pod pierzynę jej wskoczą – tak że zaraz z brzuchem chodzić będzie olbrzymiastym i kłuć nas nim w oczy pocziwie. Taka dziewczucha to ciepła chłopskiego spragniona, nogi uchyli szeroko a zapraszająco, a ci tylko – hyc, hyc na nią, skoki w górę i w dół z nią wspólnie robią, a za parę miesięcy ta w chusteczkę będzie chlipała, że bękartą urodzi nieślubnego, że tego, że śmego...

– Widzieliście te jej włoski jaśniutkie, pukielki zakręcone, czesane pewnie sto razy grzebieniem w lewą i prawą stronę? – pytała kumoszka inna, niedobór własnych włosów pod chustką kwiecistą ukrywająca. – Kogo ona chce oszukać, nas może, stare wygi? Przecie to pewnik, że perukę jaką przypina do łba głupiego albo może jakieś treski, dopinki na głowie pustej sztukuje. A włosy te jej to nic takiego rewelacyjnego przecie,

pewnie je co cztery tygodnie chemicznie farbuje, pieniądze tylko tracąc po próżnicy, miast uczciwe życie prowadzić z tym, co Pan Bóg na głowie nam wyznaczył hodować.

– Dziwne to, ludziska, że żaden chłopina dotąd na jej kibić kształtną nie poleciał w te pędy, bo przecie wizualnie niczego jej nie brakuje i felerami zewnętrznymi w oczy nie bodzie boleśnie – zastanawiał się głośno sołtys Tadzik. – Coś musi być z babskiem tym nie tak, coś musi być nie tak... I dowiedzieć się muszę prawdy, bom przecie pan na tej ziemi naszej, patronuję jej dobrobytowi, strzegę przed zepsuciem, chronię przez niebezpieczeństwami maści przeróżnej.

Tak oto ludziska po wsi gadały, sprawy swoje rodzinne zaniedbując okrutnie. Spokoju im bowiem nie dawała nowa mieszkanka chałupy Zenkowej, tak im w głowach namąciła tym pojawieniem się tutaj swoim niespodziewanym, tyle niepokoju dziwacznego w dusze ich wlała. Zali było czego się z jej strony obawiać? A może ona w gusła wierzyła jakie pradawne, lichu na ich wieś podstępem sprowadzając w zakłęciach tajemnych? A dyć i tak być przecie mogło! Mało to słyszeli o wiedźmach uroki czyniących, które znienacka całe wsie na tamten świat odesłały w konwulsjach przedśmiertnych, rechocząc przy tym szkaradnie? Może ta dziewczka to diaboliczne nasienie? Może pacierza porannego zaniedbuje i czary voodoo rozsiewa po chałupie, może jakie laleczki nakłuwa szpilkami, ból na niewinne dusze ludzie sprowadzając?

I oglądając się ukradkiem, krzyże kreślili na czołach ludziska wystraszone, drżące jak osiki, z przerażeniem w pocziwych oczach. Już i z proboszczem miejscowym się namawiali, by jakie egzorcyzmy nad dziewczką odprawił, a przynajmniej pokropił ją i całe obejście Zenkowego domu wodą święconą, która by one szatańskie Mefistofelesy oraz Belzebuby z granic wsi ich wygnać mogła. Proboszcz na egzorcyzmy zgodzić się żadne nie chciał, za dużo pozwoleń biskupich by na to zdobywać musiał, ale wody święconej dziewczynie hożej nie skąpił, bo też wdzięcznie się ona prezentowała w bluzeczce cieniutkiej z rękawkami krótkimi, gdy ją skropił obficie hojnym gestem kapłana. Zaraz to się zapłoniła, rumiane policzki dostała, a bluzeczka bawelniana wyglądała tak, jakby na miss mokrego podkoszulka dziewczeczka kandydowała. Proboszcz ucieszył się z działania nadzwyczajnego wody swej święconej, gospodyni zaczerwienionej ślicznie pobłogosławił jeszcze z ochotą, a potem wyszedł sprężystym krokiem z domostwa tego, jakby mu z piętnaście lat ubyło. Uśmiechał się do siebie i kiwał głową z aprobatą: jakie to cuda ziemskie Pan Bóg dobry oraz łaskawy do życia powołuje, urody im nie żałując, amen!

Dzień za dniem mijał, już i pół roku przeszło, a wieś nadal niewiele o nowej mieszkance Zenkowej chaty wiedziała. Kilkoro najśmielszych spośród gawiedzi uradziło zatem, że innym sposobem tajemnicze z dziewczki onej wydobędzie. I już tylko rozwiązania szukali na jej język krótki a powściągliwy, którym nic wypłacić o sobie nie chciała, choć podpytywali ją wytrwale: a to w kościelnej kruchcie, a to w sklepie na rogu, koło wierzby płaczącej, a to wprost na drodze, gdy szybkim krokiem przechodziła tamtędy zdyszana. Ona jednak jakby na supeł język zawiązała. Zapytana o życie prywatne, o rodziców czy rodzeństwo – uśmiechała się promiennie, kilka słów nic nie wyjaśniających pytającemu oferowała, kłaniała się nisko i już jej nie było. Trzask prask – znikwała, jak poranna mgła. Już i kumoszki w jej łaski wejść próbowały, przyjaciółkami jej chciały zostać tajemnymi a oddanymi, ale ona kontaktów z nimi nie szukała i zwierzać się im najwyraźniej nie zamierzała. Własnymi ścieżkami chadzała, w zasadzie rzadko światu zewnętrznemu postać swą ukazując. Najczęściej siedziała w domu – tak podpatrzyli ludzie wścibskie, bo ni widu jej było we wsi, ni słychu. Zastanawiali się więc co ona sama, sameńka w czterech ścianach robi, bo to przecie z takiej samotności nic dobrego nie wynika. Tylko głupie myśli jakie przychodzą, co to potem trudno je odpędzić tylko. Chłopy wiejskie to żartowały nawet wulgarnie, że pewnie zabawia się ona tam ze sobą, aż iskry jej idą spod spódnicy rozpalonej, ale to było tylko takie ich chłopskie gadanie. Pogadali, pogadali, pobajdurzyli, wypalili kilka papierosów koślawych i rozchodzili się do swoich chałup, pod pantofel żoniny.

Aż razu jednego sołtys Tadzieniek wpadł na pomysł pokraczny, żeby ją z krzaków malin, tych przy jej domu rosnących, podglądać przez czas jakiś i zwyczaję jej poznać osobiste. A najpilniej polecił sznur

z suszącą się bielizną dziewczuchy tajemniczej obserwować. Po tych suszących się na nich fidrygałkach bawełnianych gotów poznać stan cywilny oraz poczynania seksualne dziewoi. Jak uradził, tak też zrobiono. Tadzieniek pierwszy zgłosił się do misji owej, bo tak mu podpowiadała nie tylko wiejska ciekawość, ale i poczucie odpowiedzialności względem wsi całej. Doszukiwał do swojej drużyny obserwacyjnej jeszcze ze dwie kumoszki wścibskie, co to gotowe klęczeć w mokrej ziemi, w malinowych krzakach przyczajone, z podrapanymi rękami i brudnymi od ziemi licami przywiedłymi. Baby nie posiadały się z radości, że im taka robota zaszczytna w udziale przypadła i dziękowały sołtysowi wylewie za okazane zaufanie. On się od ich wdzięczności, pochlebstw oraz komplementów jak od much jakowys obrzydliwych opędział, ale w głębi ducha spożywał je z namaszczeniem – jakby komunię świętą do serca przyjmował. Szybko obmyślił z babinami co i jak, plany do etapu realizacji gładko doprowadzając.

I tak czatowali wspólnie, w krzakach malinowych schowani, wiadomości ukrytych w suszącej się na sznurze bieliźnie wyglądając. Rozczarowanie okrutne ich jednak szybko dopadło, gdyż rozwiązości żadnej łopoczącej na wietrze nie ujrzeli. Dziewucha owa raz w tygodniu pranie swych majteczek i staniczków urządzała, na dzień ten sobotę wyznaczając. Szczypczykami klamerek tylko barchanowe, ciepłe majtaski przypinała do linek i biustonosze pobożne w kształcie, powyciągane jeno nieco ze starości i przyszarżałe. Nie zauważyli nigdy suszenia jakichś stringów plugawych, z dziurką nieprzyzwoitą sprzedawanych, majteczek ażurowych i podejrzanie mięciutkich, fig damskich przeźroczystych tu i ówdzie, tam czy siam czy staniczków kuszących, do grzechu tylko namawiających, spustoszenie w umysłach ludzkich czyniących. Czasami kołysały się na wietrze dwie skarpetki czarne, rozmiar 38, co je dziewczka na nogi swe potem wciskała, bo widzieli, jak ganiała w nich z prędkością błyskawicy po sprawunki czy na mszę do kościoła. W niczym im te skarpetki nie podpadły, nic podejrzanego w sobie nie miały, bujały się wraz z wiatrem w przód i w tył, w lewo i prawo, aż wyschły zupełnie i ręka dziewczyny zabierała je ze sobą do wnętrza domu.

Żeby tak zobaczyć na sznurze gaciory jakie męskie, bokserki wyliniałe na tyłku, przepalone fizjologią facecią w kroku! – marzył w krzakach malin sołtys Tadzinek. – Zaraz by się awanturę z dziewoją wszczęto jaką, że tylko sodomę i gomorę do wsi przynosi, moralności naszej świętej nie przestrzega, praw odwiecznych nie szanuje! – wzdychał tęsknie. – Cała wieś by ją od razu otoczyła wespół i na spytki wzięła. Już by się ona nam nie wywinęła sianem, oj nie, nie! Gadać jak na spowiedzi by musiała, prawdę by na swój temat wyśpiewała, zataić by niczego nie mogła. Od razu byśmy wszystko o niej wiedzieli i nie musieli po krzakach przesiadywać godzinami, ryzykując złapaniem wilka z zimna oraz reumatyzmu w udach straszliwego. Opowiedziała by się przed nami z życia swego całego, losy wyjawiała. I przed Bogiem przysięgę by złożyć musiała, żeś ci ona panna, co to nigdy wcześniej męża nie miała. Nie będzie nam tu bowiem we wsi mieszkąć niecnota jaka, co to rozwódką być może albo w separacjach jakich żyje bełzebubicznych. To by tylko na wieś całą sprowadziło gniew Opatrzności straszny, plagi jakieś okrutne, cierpienia ludzi i zwierząt gospodarskich, nędzę piszczącą jak dziecko małe, porzucone.

Sołtys Tadzinek dobrze we wsi powierzonej swojej opiece gospodarzył, ziomków swoich okolicznych szanował i o zdanie przy podejmowaniu decyzji pytał, ale i wadę miał nieprzyjemną. Choć gospodarskich podopiecznych ruszyć nie dał, złego słowa o nich nie powiedział, to obcych bał się okrutnie, nie wiedząc, co z ich ręki spotkać go może. Podobne jak on odczucia i pozostali mieszkańcy wsi mieli, wrogo przyjmując wszelką odmienność oraz różne zwyczaje. Uczuciem wielkim darzyli raczej tylko swoją małą ojczyznę, ziemię własną i sąsiada bliskiego, na inne krainy ojczyźniane spoglądając z trwogą. Kulturę swoją z dziada pradziada przekazywaną, z pokolenia na pokolenie wędrującą, hołubili i wielbili, cudzej kultury nieciekawili raczej i często jej niechętni. Drżeli przed nowinkami miastowymi, przed wynalazkami cywilizacyjnymi, które by ich z tej symbiozy z małą ojczyzną wyswobodziły, choć nie stronili przecie od komputerów, internetów, telefonów komórkowych i nowiutkich samochodów wielkości przeciętnej stodoły. Tworzyli hermetyczne środowisko swojaków, kisili się we własnej zupie autorskich przekonań i prawd. Wydawało się im, że bezpieczni są tylko

tu, między sobą, a tam gdzieś, het, za ostatnią miedzą, rozpościera się groźna Kraina Inności. Kto tylko podejdzie zbyt blisko pod granice wsi ich rodzinnej, ten życiem ryzykuje, bowiem kraina odmienna wyssać ich może z rodzimej ziemi i przymusić do zamieszkania na ichnim terenie. A co tam ich czeka? „Toż to już lepsza śmierć byłaby jaka, nawet w bólu straszliwym i cierpieniu niewyobrażalnym, od mieszkania gdzieś daleko” – tak gadali ludziska, jak im ten temat kto zaproponował, choć niechętnie i z wyraźnym ociąganiem wypowiadali słowa opiniami będące.

Dziewucha samowystarczalna, co to z wsią całą integrować się nie chciała, solą im w oku była, agresję w nich wyzwalając dziwną taką. Bo i obca wciąż była, choć żyła czas już jakiś pośród nich, oddychała tym samym powietrzem, kupowała jedzenie święte w tym samym sklepie i chodziła do tego samego kościoła. Jak ją mieli przyjąć jako jedną z nich, skoro nie żyła identycznie jak oni: rodziny żadnej nie założyła, tak to chyba ufoludki tylko marsjańskie jakie czynią! Łono jej puste pozostawało, z brzuchem wzdętym stanem błogosławionym dziewięć miesięcy nie chodziła, dzieciaka przy piersi żadnego nie trzymała. Co z niej za kobieta, czy to jeszcze baba jest prawdziwa taka? Przecie to nie od dziś wiadomo, że baba bez macierzyństwa w obłęd popada skrajny, z szatanem w ekstazie łączy swe członki, od ludzi coraz bardziej stroni, demony na wieś całą sprowadza bezustannie. Taką to lepiej od razu ze wsi przepędzić, wychłostać przykładnie dla wyabstrahowania z niej diabła jakiego, a modlić się przy tym głośno, a zawodzić okrutnie, zdrowaśkami się okładając dla bezpieczeństwa osiągnięcia zbawienia swej duszy ludzkiej ułomnej.

Krzaki malin naprzeciwko Zenkowego domu wciąż dodatkowe, obserwujące oczy miały, a właściciele owych oczu w zasadzie już zwątpili w powodzenie swej akacji. Aż tu nagle jednego dnia na sznurze pełnym suszącej się bielizny, dziwaczne jakieś majtki obaczyli. Mniejsze były od tych barchanów praśnych dziewczoi tajemniczej, jakimiś obrazkami miniaturowymi wymalowane. Jakie jednak? Z daleka dojrzeć nie mogli. Umówili się zatem, że jedna z obserwatorek podejdzie cichutko pod sznur na wietrze powiewający i zobaczy, jaki to na majtasach onych wzorek jest namalowany. Podbiegła jedna baba na paluszkach do majteczek i stwórki jakieś na nich zobaczyła. Podrapała się w głowę tylko, zafrasowała, a potem powróciła do swych towarzyszy wścibstwa, stacjonujących w malinach.

– To Myszka Miki – odpowiedziała szybko, robiąc wielkie, zdziwione oczy.

– Jaka myszka, kumoszko, coś ci się w głowie pomieszało! – rozżłócił się sołtys Tadzinek, pukając się przy tym znacząco w głowę.

– Aleć ja wiem, co mówię! – oburzyła się baba, ciut już zirytowana niewiedzą sołtysa. – To dziecięce gacie z Myszką Miki, postacią z bajki takiej dobranockowej! Działki to moje oglądały, jak małe były.

Tadzinek rozpromienił się szybko na te słowa zrozumiałe dla utrudzonej jego głowy i pokiwał nią uczenie:

– Tak, tak, toż my tu przecie złego słowa o sąsiadce nie mówimy! Teraz tylko pomyślunek czeka nas taki: skoro gacie są dziecięce, to gdzie jest dziecko? – sołtys zawiesił znacząco głos swój pytający, spoglądając w twarze dwóch kobiet. – Ta nasza dziewucha przecie po wsi sama chodzi zawsze, żaden bachor do spódnicy jej się nie czepia. Możeć więc ona w tej chałupie swojej nieślubne dziecko jakie ukrywa pokątnie? Grzech to byłby śmiertelny przecie! Tak nam nic nie powiedzieć, nie zwierzyć się ze zmartwienia swego, nie szukać wśród pocziwych ludzi wiejskich porady i pociechy jakowejś! Oj, oj, nieładnie!

Odtąd wywiad Tadzikowy polował na mityczną postać dziecka. Czatował przy chałupie Zenkowej dzień i noc, byle co zobaczyć, byle co podpatrzeć. Krzaki malin pod domem tajemniczej dziewczuchy wyraźnie ożyły, zasilane ciekawością szaloną. Wciąż się ruszały, dyskutowały, szeptały, kłóciły się, spierały i jednały, byle tylko dowiedzieć się wreszcie czegoś konkretnego o sytuacji onej. A gdy już mieszkańcy krzaków (bo wiejska trójka wywiadowcza nieomal w nich regularnie mieszkała) wiarę w powodzenie swojej misji do cna stracili, razu jednego przed domem Zenkowym dziewczuskę jakowąś mizerną zobaczyli. Już ci ona była licha, że aż strach serce ścisnąć. Drobna niezdrowo, bledziutka oraz chudziutka, powykręcana na całym ciełe okrutnie jakoś. I na wózku inwalidzkim jeszcze siedziała, ni śmiejąc się, ni płacząc. No, litości ludziska, taka

ona smutna była, a w odrętwieniu takim katatonicznym. Dziewucha z Piekarczykowego domu wciąż przy niej jeno skakała, a to soczku jakiego dawała, a to jedzenie w papce zaoferowała, zabawki pokazywała kolorowe a skaczące i śpiewające, cuda takie wyprawiające. A ta mała nic, jeno siedziała tylko. I trwała tak w tym stuporze zaciętym, w tym bezruchu, tak do dziecięcego zachowania niepodobnym.

Zrozumieli wnet podglądacze do kogo należały majteczki miniaturowe z Myszką Miki bajkową. I wstyd im się jakoś zrobiło i markotno jakoś. Toż to chore dziecko, a czego innego się przecie spodziewali, sensacji czy dewiacji seksualnych, jakiegoś skandalu wielkiego wiejskiego. Pożalowali małej, co to taka sztywna w swym wózku na kółkach statycznie trwała tyle godzin i pomóc jej jakoś postanowili. Sołtys Tadzinek w zмовie z resztą wsi na tajne zebranie do świetlicy się udał i oto co tam uradził z innymi wespół: kobitę z dzieckiem okaleczonym chorobą ratować trzeba – od samotności, od wykluczenia, od smutku wielkiego a nieuniknionego, co to ranka każdego na doświadczonego życiowo człowieka spada i w kajdany pesymizmu go zakuwa. Obmyślili ludziska wiejskie, że zabawę wesolutką dla dzieci w świetlicy urządzą i mieszkanki Zenkowego domu na nią zaproszą. Poczęstują małą, maleńką watą cukrową na patyku, baloniki do rączek krzywieńkich wetkną kolorowe, to może się otworzy nieco i uśmiechnie ździebko do życia wkoło.

Jak postanowili – tak też zrobili: w najbliższą sobotę impreza była u nich w świetlicy ludowa, śmichy, chichy głośne i trele-morele. A po duszyczkę, bidulkę jedną na wózku oraz dziewczynę tajemniczą – iść miał proboszcz miejscowy, jako siła perswazji przeogromna oraz autorytet lokalny. Długo on z domu Zenkowego nie wychodził, już ludziska wiejskie myślały, że nic u dumnej nieznajomej nie wskóra, a tu ich niespodzianka czekała. Ksiądz proboszcz wyszedł w końcu dostojnym krokiem z mrocznych wnętrz domostwa i cudu dokonał. Prowadził oto ostrożnie wózek z kruszynką skamieniałą, a za nimi dziewczyna zależniona wędrowała, ze wzrokiem w ziemię wbitym, płoszona wyraźnie. Ludziska przed tym niecodziennym pochodem z drogi ustępowali, szemrali jeno tylko coś między sobą i łokciami się trącili znacząco. A gdy wszyscy znaleźli się wewnątrz świetlicy kolorowej, przystrojonej wycinanymi z papieru ozdobami i kwiatami polnymi, cisza jakaś przejmująca zapadła. Nawet dzieci rozdokazywane umilkły znienacka, popatrując tylko olbrzymimi oczyma na dziewczynkę nieruchomą, na jej twarz martwą i ciało powykręcane.

Proboszcz – jako najbardziej z nich nawykły do występów publicznych oraz przemawiania oficjalnego, w te odezwał się słowa:

– Parafianie moi mili, owieczki pod opieką moją niegodną będące! Odwiedziłem ja dziś parafiankę naszą młodą, co to tyle czasu na uboczu wsi żyła, bólu doświadczając oraz samotności ponurej... – tu proboszcz powiódł wzrokiem srogim po tłumie zebranym. Począł, aż ci najbardziej nawet hardzi wzrok opuszczają, do winy się poczuwając. – Ja sam także nie mam czystego sumienia, nie zorientowałem się w porę, że pomóc mogę bliźniemu oraz wesprzeć ofiarnie – tu proboszcz uderzył się mocno w piersi, aż zadudniło. – Przyjąć ją życzliwie do kręgu naszej małej ojczyzny musicie, ugościć paradnie, przytulić do serca mocno, pocieszyć. Bo też i ta nasza nowa parafianka to córka jest naszego bohatera wiejskiego wielkiego, Zenka Piekarczyka! – ostatnie słowa proboszcz prawie wykrzyknął, aż dreszcze przebiegły po plecach parafian zasłuchanych.

Szmer się podniósł w kątach świetlicy, ludzie gały na wierzch wybałuszili, histerycznie się dziwując: toż to sensacja była niemała! Zenek Piekarczyk miał córkę?! A zatem nie z niczego się wzięły owe plotki, że nim żonę z chałupy wygnał, dzieciaka jej zmałstrował. Potem zaś puścił z torbami, zostawił podle z brzuchem i jako bohater wiejski do końca swych dni urzędował. To się ludziom w głowach nie mieściło, taka tajemnica mroczna bohatera ich ludowego! A oni tak go poważali, tak szanowali, pilnie słuchali głosu jego, choć on drugą twarz ukrywał głęboko! Skurczybyk jeden, tak ich wykiwał strasznie, tak oszukał, żerując na ich uczuciu wdzięczności najszczerszej! Bolała ich дума wiejska, oj bolała! Ale to nie koniec był tych rewelacji proboszczowych. Jeszcze inne miał w zanadrzu.

– Ta oto córka Zenkowa – tu wskazał na stojącą w ogniu zawstydzenia dziewczynę – nigdy więc ojca nie poznała, bo matka zdradzić jej nie chciała, kogo tym niegodnym dlań mianem nazywać powinna. Wiedziała

bowiem była Zenkowa żona, jakim on poważaniem się cieszył we wsi naszej. Wizerunku więc jego publicznego burzyć nie chciała. Dopiero przed śmiercią prawdę córce wyjawiała, by spokoju duszy w wiecznej szczęśliwości zaznać. Za późno już jednak było, za późno! Ojciec nie żył już od lat kilku i córka szansy na spotkanie z nim nie miała. Przynajmniej nie na tym świecie, na tym łez padole. Pomyślała jednak dziewczyna, że skoro taka fama chodzi, że on taki dobry był, taki szanowany, także i ona co dobrego uczynić by mogła. Adoptowała więc z domu dziecka chorą dziewczynkę, bidulkę taką, co to nikt inny jej kąta własnego zaoferować nie raczył. I przyjechały do wsi naszej, a my tu zamiast podjąć je chlebem i solą, krzywdy wyrządzone przez ojca niecnotę naprawić, tylko patrzyliśmy na nie z założonymi rękami, ni ciepłym słowem sierot nie otulając.

Nie ma co mówić, ludziska wiejskie zawstydziła ta proboszczowa przemowa, ale także do refleksji pewnych przywiodła: oto choć bohater Zenek wieś ich przed zatraceniem zupełnym uratował, nie potrafił uratować jednak związku ze swoją córką, gdy rozpadło się z jego winy małżeństwo. Zapomniał o niej, jak o gazecie wczorajszej, w kąć odłożonej. Nie był ci on taki święty, za jakiego uchodził. Ale ta Zenkowa córka na zgorzkniałą mścicielkę nie wyrosła, pomsty nad swoją krzywdą we wsi nie szukała, tylko jeszcze wspomóc chciała dziewczynkę bolejącą, co to szansy na własną rodzinę nie miała. Toż to teraz ich sąsiadka, kumoszka najbliższa – w tej ich małej ojczyźnie wiejskiej mieszkająca. Nie po krwi im ona bliska, ale po ziemi miejscowej a drogiej.

Odtąd jako swoją ją przyjęli, ową Zenkową dziewczynę odważną i jej córeczkę przyszywaną. I to one na nowe bohaterki wsi wyrosły, ludziska poznali je bliżej i polubili ogromnie. Krajanki to ich przecie były, swojskie one. Zastygła dotąd w martwocie twarzyczka dziewczynki na wózku przybrała zaś jakiś nowy wyraz: nie smutek na niej był, ale wewnętrzna radość, co jak światło przebijała przez dziecięcą skórę. Promyczki jej jasne barwiły lico dziecięcia rumieńcem szczęścia. Pośród grudek tej ziemi odnalazła bezcenny skarb miłości, w którym uczucie matki kochającej – stopione było z życzliwą akceptacją lokalnej społeczności. Szyfry z białego sznura zostały prawidłowo odkodowane.

(I nagroda w XIV Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszty „Małe ojczyzny – pogranicze kultur i regionów” w Kargowej)



Julia i Romeo

z osiedla XXX-lecia PRL

Stoją
pod blokiem
na zamarzniętym
betonowym chodniku
i grzeją się pocałunkami
ja mieszkam w siódmej klatce
mówi chłopak dziewczynie
a ja mieszkam w trzeciej
odpowiada ona
i zamyka kolejnym pocałunkiem
jego zsiniałe od zimna usta
przez te pół godziny
są prawdziwie wolni
i szczęśliwi
jak nigdy dotąd
ani potem
w swoim
życiu

Kraków, 13 grudnia 2009

Ostatnia czarownica

*W Europie najpóźniej, bo jeszcze
w XVII wieku w Zielonej Górze (Grünbergu)
palono na stosie czarownice...*

z przewodnika po mieście

Siedzę
w to niedzielne
ciche popołudnie
na Wzgórzu Winnym
nad miastem zapada zmierzch
a w powietrzu wciąż unosi się
słodkawo-gorzki zapach
spalonej
przedwczoraj na stosie
Gertrudy von Anselm
ciemnowłosej
czarownicy

Zielona Góra, 16 maja 2009

Marsz nietoperza

tłumacząc A. Sapkowskiego

Marsz
marsz marsz
pod nocy osłoną
powoli wyłaniają się
duchy zjawy i stwory...
w naszych umysłach
i sennych marzeniach
znów budzi się odwieczny
strach i zwierzęce przerażenie
znów jesteśmy tacy mali
nadzy bezbronni
bo właśnie wyruszyły na łowy
nietoperze żagnice
strzygi wilkołaki
i wygłodzone sowy...
wreszcie dobiega końca ta noc
pełna sennych koszmarów
i utajonych lęków
a kolejny poranek wita mnie
świergotem wróbli
krzątanią w kuchni
i odgłosem innych
porannych
dźwięków

Krynica, 9 października 2010

Winnice – historia nieznana

Pociąg ze Szczecina do Krakowa wjechał na stację Kraków Główny. Wsiadłem w Zielonej Górze pełen obaw o punktualność zgodną z rozkładem jazdy. W Zielonej Górze miał spóźnienie sięgające 15 minut, a przecież do Wrocławia można było liczyć na dalsze opóźnienie. Jednakowoż gdzieś za Wrocławiem przyspieszył gwałtownie i pod Wawelem znalazłem się zaledwie z pięciominutowym spóźnieniem. To prawie nic, wzięwszy pod uwagę stan podłoża, jakość taboru i nierówny bieg spowodowany robotami kolejowymi. Przy tym jeszcze rozliczne reorganizacje doprowadziły do powstania kilku gospodarzy na polskich kolejach.

Dajmy spokój dalszym rozważaniom, skoro jakimś cudem dotarliśmy do Krakowa prawie zgodnie z rozkładem.

Byłem tu wiele razy. W latach 50. uczestniczyłem w praktyce zawodowej w Zakładach Kotłów i Radiatorów im. Z. Szadkowskiego. Jakie są ich dzisiejsze losy – nie wiem.

Kilka razy, będąc przejazdem, zatrzymywałem się, starając wykorzystać przerwę w komunikacji, aby zejść na Wawel, podumać przy Smoczej Jamie, odwiedzić katedrę, pospacerować nad Wisłą.

Tym razem miałem do dyspozycji raptem dwie godziny, bo do Rabki mój środek lokomocji miał wyruszyć w dalszą podróż.

Dworzec Główny zrobił na mnie duże wrażenie. Ależ on się zmienił! Trochę zagubiony dotarłem do ulicy Basztowej. Było popołudnie; dzień po deszczu zrobił się całkiem ciepły i pogodny. Czuło się, że lato tuż, tuż.

Plantami snuł się całkiem pokaźny tłum. Część ludzi siedziała na ławkach – wiadomo Planty to corso Krakowa.

Na jednej z ławek zauważyłem siedzącą starszą samotną kobietę. Zdało mi się, że jakaś siła pcha mnie w tym kierunku, aby siąść przy niej. Lubiłem te ławeczki – można było spojrzeć na spacerujących ludzi, ucieszyć od czasu do czasu oko. Tym bardziej że od ostatniego mojego pobytu minęło kilka lat. Po kilkunastu minutach wyjąłem bieżący numer „Gazety Lubuskiej”. Zabrałem go w podróż, ale jakoś nie było sposobności, aby go choćby przejrzeć.

Mimo woli pogrążyłem się w lekturze. Siedząca obok niewiasta parę razy zerknęła w moją stronę. Widać było, że nie może się powstrzymać, aby nie zainicjować rozmowy.

– To pan z Zielonej Góry? – zapytała w pewnym momencie.

– Tak – odpowiedziałem, nie przeczuwając, że mimo tej krótkiej zdawkowej odpowiedzi, rozmowa potoczy się dalej i mieć będzie tak niesamowity przebieg.

– Czy zechce mi pan poświęcić kilka minut?

Nie wiedziałem jak zareagować. Odłożyłem gazetę, co zapewne moja sąsiadka przyjęła za zachętę do dalszych zwierzeń.

Jeszcze chwilę milczała, jakby zastanawiała się, czy może nieznanemu przecież człowiekowi zawieźć pamięć o swoich problemach.

– Był rok 1947 – zaczęła cicho. – Ojciec mój, oficer Wojska Polskiego został przeniesiony z Rzeszowszczyzny do Zielonej Góry. Były to trudne czasy. Żołnierze uczestniczyli jeszcze w działaniach militarnych przeciwko oddziałom nacjonalistów. Z drugiej strony stabilizacja kraju opóźniała się – dwie opcje polityczne prowadziły walkę na śmierć i życie. Obie uważały, że mają jedyną receptę na budowanie po-

kojowej, niepodległej Polski. Tylko patron obu tych opcji był inny. Ginęły tysiące ludzi, w tym i Bogu ducha winnych. Wielu ludzi przesiedlono; znaczną grupę ludności ukraińskiej na zachód Polski. Po latach potwierdziła się prawda, że racja zależy od tego, kto ma uprawnienia władcze. Nie wiem, jaką funkcję wojskową sprawował mój ojciec.

Tu przerwała na chwilę. Czułem, że nie chciała, lub nie mogła mówić o swoim rodzicu. Jej zamiarem było skierowanie wypowiedzi na inne tory.

– Zamieszkaliśmy w opuszczonym przez Niemców domu przy ul. Krośnieńskiej nr 7. Pamiętam jeszcze tablicę zdjętą z budynku Lessener Strasse 7. Na południe od domu rozciągało się pole zajęte przez plantację winogron. Plantacja sięgała aż do granicy zajmowanej przez cegielnię. Całość obejmowała – jak pamiętam – 2-2,5 ha. Na ojca nie można było liczyć, że zajmie się pracą na plantacji. Póki co mama jeszcze nie znalazła zatrudnienia i cały czas poświęcała tej pracy. A pilne zajęcie się pielęgnacją krzewów było konieczne. Od trzech lat winnica nie odczuła skutków rzetelnej opieki. Poprosiliśmy Gerarda Brembera, sąsiada byłego właściciela naszego pola Keslera. Jak mówił – nasze winogrona to były krzewy Białego Burgundera. Drugą osobą, której zawdzięczamy stopniowe opanowanie sztuki uprawy winogron, była siostra mamy Ewelina. Przyjechała i zamieszkała z nami jako osoba samotna po śmierci męża w Powstaniu Warszawskim. W Zielonej Górze (tak się wtedy pisało nazwę miasta) po wojnie – jak mówił nasz sąsiad Gerard znajdowało się jeszcze ok. 700 hektarów winnic. Mój udział w pielęgnacji winorośli był raczej nikły – chodziłam wtedy do powszechnej szkoły podstawowej. Znaczna część plantacji opuszczona przez Niemców zmarniała i podobno – nie wiem kiedy – w latach 80. znalazła się w stanie szczątkowym. Miasto jednak corocznie świętuje Winobranie, co zapewne daje nadzieję na stopniowy powrót do tradycji winiarskich. Powinniście potraktować te próby jako okazje do dzwignięcia na wysoki poziom regionalizmu w Unii Europejskiej.

Zmieniła ton głosu, jakby z przyganą. Kontynuowała:

– Czytałam książki Mirosława Kuleby i Krzysztofa Fedorowicza, bo wciąż interesuje mnie ta problema-

tyka. Podobno zmniejszenie obszaru upraw winorośli nastąpiło już przed wojną i to było skutkiem rozwoju przemysłu i linii komunikacyjnych. Można było sprowadzać dużo tańsze, dobre wino z zachodu i południa. Jeśli to prawda, to dlaczego tam, gdzie dobre wino produkowano, ten czynnik zupełnie nie zagroził producentom?

Zawiesiła głos, jakby czekając, aż podejmę próbę analizy tego zjawiska. Milczałem, bąknąwszy tylko coś, co można było odczytać, że nie jestem fachowcem od tych spraw. Tymczasem moja rozmówczyni zaczęła rozwijać problematykę winiarstwa – czułem, że jest fachowcem.

– Uprawa winorośli jest trudnym procesem. Decyduje nie tylko systematyczna praca. Trzeba dobrze dobrać gatunek winorośli do gleby, uwzględniać wpływ klimatu (mróz, opady), pasożytów, nawet ewentualnych grzybów, porę zbiorów, charakter przetwórstwa i przechowywalnictwo. W czasie wolnym od zajęć Brember mówił o różnych przypadkach w historii winiarstwa. Tak np. w roku 1785 aż do 26 maja był mróz lub szron i zimno. Od 1 do 4 czerwca występowały przymrozki. Tego samego roku 29 września także zaszkodził roślinom mróz. W pamięci hodowców winogron długo pozostał dzień 13 sierpnia 1648, kiedy to niezwyklej siły i wielkości grad zniszczył niemal całkowicie zbiór.

Nie wiem, skąd czerpała ona te informacje i jak po wielu latach moja rozmówczyni je zapamiętała, ale zdążyłem zanotować, że zima 1727 była długa i mroźna, a mimo to zbiory winogron były tak wspólnie, że zabrakło beczek do wina.

– W historii znane były także kontrowersje wynikłe z konkurencji winiarzy i spiwowarów. Czy pan wie, że winna latorośl do Zielonej Góry sprowadzili Flamandowie z Niderlandów i że w Zielonej Górze zdarzyła się nawet plaga szarańczy?

Nieznajoma zauważyła w tym momencie, że to odległa przeszłość i pora wrócić do czasów, które były jej udziałem.

– Lata 1947-1950 nie były złe dla plantatorów, choć zimy były ostre. Wie pan, ile było pracy związanych z podcinaniem pędów, nawadnianiem, zbieraniem, z uzupełnianiem kołków i podciągami pędów. Byłam w te prace stopniowo włączana.

Nagle ulicą przejechała karetka pogotowia. Jej hałas przerwał opowieść nieznajomej. Po krótkim zamyśleniu kontynuowała:

– I tak proszę pana nadszedł rok 1950. 12 czerwca w godzinach przedwieczornych wyszłam z mamą na plantację, aby pomóc mojej cioci, która pracowała przy hakowaniu krzewów. Jakie było nasze zdziwienie i przerażenie, gdy w pobliżu drewnianej szopy, w której przechowywaliśmy narzędzia i naczynia, zauważyliśmy leżącą bez życia Ewelinę. Na pierwszy rzut oka nie było widać ran na jej ciele – może tylko opuchlinę na twarzy. Ówczesne środki łączności nie pozwalały na niezwłoczne wezwanie pogotowia ratunkowego. Po pewnym czasie – dziś nie mogę powiedzieć jakim – lekarz stwierdził zgon. Jego zdaniem nastąpiło nagłe zatrzymanie pracy serca. Możliwości ówczesnej medycyny były bardzo ograniczone, a nikt, nawet prokurator nie podjął próby zbadania okoliczności i przyczyn zdarzenia. W kilka dni potem odbył się pogrzeb i poza nami, którzy przeżywaliśmy głęboką traumę, nikt nie oczekiwał, że dojdzie do ustalenia rzeczywistych przyczyn śmierci. I tak przyszło nam odtąd pogodzić się ze stratą bliskiej nam osoby. Miastem targały różne plotki. Ktoś mówił, że to może zemsta kogoś zbliżonego do dawnych właścicieli winnicy. Jakiś czas potem gruchnęła wieść, że to sprawka kogoś przesiedlonego ze wschodu. Nasilające się domysły i podejrzenia nie ominęły i mojego ojca. Mógł on przyczynić się do śmierci bezpośrednio lub pośrednio ze względu na przynależność do nowej zwycięskiej opcji politycznej. Ewelina mogła być powiązana z siłami obcymi, które miały interes nie dopuścić do rozwoju wydarzeń w kierunku pożądanym przez władze. Przełożeni ojca nie mogli dłużej tolerować fali domysłów i plotek. Sprawiedliwość, jeżeli tak można powiedzieć, była wówczas rychliwa. Ojca przeniesiono do Krakowa. Mielśmy tam mieszkanie w bloku wojskowym. Skończyło

się nasze bytowanie w otoczeniu tak interesującym przyrodniczo. Po wielu latach, mając dziecięce doświadczenie w uprawie winorośli, włączyłam się do pracy społecznej w Krakowskim Towarzystwie Winiarskim. Rodzice nie poprzestali na próbach wyjaśnienia tamtejszej śmierci Eweliny. Ojciec nawiązał kontakt z klinicznym szpitalem wojskowym. Jeden z jego przyjaciół, doktor medycyny zaproponował, aby wyjechać do Zielonej Góry i jeszcze raz rozpoznać miejsce, gdzie doszło do tragedii. Obaj spotkali się z nowym gospodarzem plantacji. W czasie rozmowy przyznał on, że przez kilka lat miał duże problemy z lęgnącymi się pod dachem szerszeniami. Jeszcze widać było zrujnowane gniazdo i osmalony w tym miejscu dach. I wtedy doszli do wniosku, który wydał się najbardziej prawdopodobny. Pracująca na plantacji Ewelina mogła odczuwać dyskomfort, mając za sąsiadów szerszenie. Mogła próbować je przepędzić, naruszając ich gniazdo. Wówczas jeszcze nie była dobrze znana agresywność tych owadów i skutki ich gromadnego ataku. Także objawy porażenia zaprezentowane przez ojca doprowadziły zespół lekarzy do przyjęcia koncepcji, że przyczyną śmierci mógł być atak szerszeni.

W tym momencie okazało się, że do mojego odjazdu pozostało raptem 15 minut. Wstaliśmy i moja rozmówczyni odprowadziła mnie na dworzec. W drodze przyjrzałem się jej dokładniej. Jej oblicze zdało mi się starsze, niż przypuszczałem. Czy to ważne?

Różne myśli leżały mi się w pociągu. Jedną z nich układała się w zwątpienie, czy człowiek choćby nie wiem jak był samodzielny lub energicznie zaprzeczał, może w pełni pokierować swoim losem?

Corocznie składamy sobie z Panią Aleksandrą życzenia świąteczno-noworoczne. Jak długo jeszcze?

Zielona Góra, 20 marca 2013

Boskie rachunki

Bóg w obliczeniach nie zawsze bywa sprawiedliwy.
Jego rachunki rzadko są dokładne, dalekie od absolutu.

Zaplanował, że psów urodzi się tysiąc,
a z tysiąca szesnaście urodzi się martwych,
choć martwych to zaplanowanych
w tym dziele stworzenia.

Z tych dziewięciuset osiemdziesięciu czterech,
które pozostaną, dziewięćset osiemdziesiąt trzy
szczęśliwie znajdzie dobrego właściciela
i będzie żyć dobrze, spełniając swą przyjacielską misję,
a jeden, ten jeden odrzucony, wyrzucony w lesie
pałętać się będzie po mroźnej polanie,
aż serce w tragicznym, nieuchronnym pędzie
stanie nieruchomo.

Ten jeden stanowi
okrutny błąd Boga,
bo obliczenia,
choć niebieskie,
nie zawsze sprawiedliwe.

Lampa

Sztucznie symuluje czas
który już minął
i czas który nadejdzie

Przywołuje na moje żądanie
odległą planetę
wyobrażam sobie
czuję się Bogiem
mogę powiedzieć jej:
Niech stanie się światłość!

I stanie się światłość

I mogę nie mówiąc nic
zrobić koniec świata

Teoria wielkiego wybuchu
ogranicza się do naciśnięcia
małego przycisku
identycznie następuje zagłada
i tak co dzień
wiele razy dziennie

Tęsknota do śladów stóp

Kurczak z połamanyimi nóżkami

Literatura nie jest demokratyczna. Na sukces w tej dziedzinie nie można sobie zasłużyć tak po prostu – na przykład przez zwykłą pracowitość. Nie zawsze pomaga długa obecność na tzw. rynku literackim. Często zdarzają się sytuacje, że w zapomnienie idą całe generacje pisarzy będących w swej epoce na czele stawki, a wyjść o nieśmiertelność wygrywa ktoś z dalszych szeregów. Najbardziej znanym takim przypadkiem w polskiej literaturze jest Norwid. Ważne odkrycie ostatnich lat stanowi poezja Janusza Szubera z Sanoka. Takim twórcą może okazać się również Ryszard Smolak, autor zaledwie jednego tomu wierszy, za to jakich!

Poeta urodził się w zabitej dechami wsi Wola Przybysławska pod Garbowem, na Lubelszczyźnie. Był pierwszym synem Marianny i Mieczysława Smolaków. W trzecim roku życia stwierdzono u niego nieuleczalną chorobę – zanik mięśni.

– Zawsze byłem jakiś niemrawy. Ledwie zacząłem dobrze chodzić, a już musiałem przestać – żartuje, chociaż nazwa choroby brzmiała jak wyrok. Zwłaszcza na wsi.

– Jak kurczak z połamanyimi nóżkami, tak się czułem – mówi.

Chodził tak długo, jak było to możliwe – bez pomocy laski, opierając się o ściany i domowe graty. Do odległej o jakieś trzy kilometry podstawówki rodzice nosili go na plecach, a gdy podrósł – był wozony rowem lub furmanką. Pomagało młodsze rodzeństwo – brat i dwie siostry. Wszyscy w domu cieszyli się z każdej dobrej oceny Ryśka. Tylko nauka była jego szansą, żeby nie stracić dystansu do pełnosprawnych rówieśników.

– Przestałem chodzić, będąc nastolatkiem – wspomina poeta, reprezentujący zanikający nurt chłopski.

– Z tym że mentalnie nadal chodziłem i to właśnie było moją tragedią. Wciąż miałem nadzieję, że zacznę chodzić. Każdy zastrzyk, nawet z penicyliny czy witamin podtrzymywał mnie w tej ułudzie. Bez wątpienia, wczesna młodość to najtrudniejszy dla mnie okres.

Zaczął jeździć na wózku inwalidzkim. Potem, w miarę słabnięcia mięśni rąk, przesiadł się na wózek elektryczny.

Dziadkowie

Smolak rozkłada na stole stare fotografie.

– Z dzieciństwa najlepiej pamiętam swoich dziadków. Obaj mieli na imię Stanisław. Ten ze strony matki, syn Ludwika, wraz ze swymi genami przekazał mi nigdy niezaspokojoną zachłanność na wszystko, na co w życiu można się natknąć. Miałem siedem lat, kiedy kazał mi czytać na głos artykuły z dostarczanych przez Instytut Sadownictwa w Puławach publikacji. „Przykładowy”, jak siebie określał – wielobranżowy gospodarz, ciągle starał się doskonalić jako rolnik. Ale nie tylko praca na roli się dla niego liczyła. Na każde Pańskie Przemienienie kupował mi na odpuszcie nowe organki, na których musiałem mu grać.

Na fotografii widnieje zgarbiony staruszek w dzianym przekrzywionym na bok kapeluszu na tle nowoczesnej młocarni. Drugie zdjęcie przedstawia zakład tkacki, a w nim – drugiego dziadka poety, też Stanisława, syna Pawła.

– Był najzdolniejszym w całej okolicy tkaczem pachnącego Inem płótna. Pamiętam, jak pracował od świtu do nocy. Czasem próbowałem ulżyć dziadkowi, dobierając do poszczególnych czołenek odpowiadające również dziadkowi kolory nawijanych na nie, tworzących wzór, tasiemek. Potem chwalił mnie przy odbierających gałgano-dywaniczki klientkach:

„Łoj, bedzies ty, mój pirsy wnuku, najpirsom w łokolicy tkacom-artystul”. Mogę stwierdzić, że obaj wywarli wielki wpływ na moje życie.

Narodziny twórcy

Spędził rok w sanatorium w Śremie, gdzie zdobył dwa zawody: kaletnika i zabawkarza. Kolejne trzy i pół roku przebywał w Górniczym Centrum Rehabilitacji Leczniczej i Zawodowej w Reptach Śląskich, gdzie wyuczył się introligatorstwa. Podróżował sam – na rehabilitację zabierał go ze wsi helikopter kolumny transportu sanitarnego.

– Marzyłem o tym, żeby na rowerze, z plecakiem zwiedzać świat i uczyć się języków obcych, gdy tymczasem coraz trudniej było mi obracać kołami mojego wózka. Wtedy powoli zaczęło do mnie docierać, że moje życie nie musi się ograniczać wyłącznie do spraw związanych z chorobą. Mieszkając jeszcze na wsi, wspólnie z przyjaciółmi stworzyłem coś w rodzaju kabaretu. Pisałem teksty, które potem wystawialiśmy. Była to także prosta droga do pisania wierszy.

Napisał wówczas: „Zawarłem układ tajemny / z tęsknotą do śladów stóp”.

Mimo postępującej niesprawności podjął starania o jak najlepsze przystosowanie się do życia. Pierwszym krokiem do samodzielności była przeprowadzka do Puław. Dla młodego poety była to ważna decyzja.

– Zamieszkałem zupełnie sam, będąc już na wózku, ze słabymi kończynami górnymi, bez windy oraz telefonu, na wysokim parterze, ale za to z dużą grupą ludzi wokół, którzy nie dopuścili do tego, żebym sobie siedział sam i odpoczywał. Kiedy odważyłem się na moją samodzielność w mieście, ojciec w ukryciu płakał i zamartwiał się, jak sobie sam poradzę. Niestety, nie dożył mojego wózka elektrycznego ani mojej windy hydraulicznej, ale był szczęśliwy, kiedy widział, jak sąsiedzi znoszą mnie ze schodów. Zdobycie tego mieszkania kosztowało mnie wiele trudu, ale teraz nie muszę się tulać po domach opieki czy hospicjach. Nie myślę o starości, chociaż ta już blisko. Staram się skupić na tym, o czym jeszcze mogę napisać.

Rękawice ochronne i pianino

Początkowo, przez siedem lat, Smolak zarabiał na życie jako chałupnik w Spółdzielni Inwalidów

„Zjednoczenie” w Lublinie. Następnie, już jako rencista, przez dwadzieścia następnych lat pracował na pół etatu w puławskiej Spółdzielni Inwalidów, gdzie szyl rękawice ochronne. Za swoje pierwsze zarobione pieniądze kupił jedyne w gminie pianino, które nieco później przydało się jego młodszej, wykształconej muzycznie siostrze. Próbował również malować. Zrezygnował, ponieważ „przeszkadzały” mu w tym coraz bardziej słabnące ręce. Zdążył narysować kilkadziesiąt, rozdanych właścicielom portretów.

– Ale przekazałem również z sukcesem i tę pałeczkę, swojej drugiej siostrze, absolwentce Akademii Sztuk Pięknych. Obdzieliłem je, myślę, że sprawiedliwie, swoimi niemogącymi dojrzeć we mnie, talentami – dodaje z nieskrywaną satysfakcją.

Całe dni spędzał w niewielkiej kuchni na parterze przy maszynie do szycia, nie mogąc opuścić mieszkania.

– Szycie rękawic to była harówka, cały dzień przy maszynie. Chociaż nie przynosiło mi to żadnej satysfakcji, ani duchowej, ani materialnej, to byłem zadowolony, że mam zajęcie. Jediną możliwość oderwania się od tej mojej beznadziei dawała mi praca społeczna – wspomina. – Zdarzało się, że wyglądałem przez okno i wyłem jak pies, bo nie było nikogo, kto mógłby mnie wynieść na dwór.

Czyniąc dobro

W 1990 roku powstało Towarzystwo Przyjaciół Ludzi Niepełnosprawnych „Misericordes”. Rysiek został pełnomocnikiem Zarządu, a niedługo potem – wiceprezesem.

– Do dziś jednak drażnią mnie pytania w stylu: „czy pogodziłeś się ze swoim kalectwem?”. Nie, nie pogodziłem się i nigdy się nie pogodzę. Nie można się pogodzić z taką chorobą, ale można ją zrozumieć, można się nauczyć z nią żyć.

W 1997 roku, razem z cierpiącą na rozszczepienie kręgosłupa żoną Hanną, podjęli walkę o normalniejsze życie. Wystarali się o dofinansowanie przez lubelski oddział PFRON remontu ich kawalerki pod kątem jej przystosowania do potrzeb osób niepełnosprawnych. W roku 2000 przy balkonie pojawiła się hydrauliczna winda, dzięki której Rysiek może samodzielnie wydstać się na ulicę.

– Zwykle nikt nie zdaje sobie sprawy, jak wiele barier do pokonania mają osoby niepełnosprawne. Dla osoby poruszającej się na wózku i mającej tak jak ja słabe ręce, przeszkodą nie do pokonania może być nawet zwykły krawężnik o wysokości pięciu centymetrów, który każdy pieszy, nawet małe dziecko, przeskakuje bez najmniejszych problemów. Od trzydziestu lat toczę boje z różnymi instytucjami. Wspólnie z kolegami z zarządu „Misericordes” oraz innymi osobami z mojego środowiska, spotykaliśmy się i rozmawialiśmy z wieloma ludźmi odpowiedzialnymi na przykład za budowę podjazdów. Bo często się zdarza, że pochylnia owszem – jest, ale tak stroma, że ani ja, ani większość znanych mi niepełnosprawnych nie byłaby w stanie z niej skorzystać.

Radny

W 2002 roku Ryszard Smolak wystartował na radnego Rady Miasta Puław i wygrał, pokonując dziecięciu kontrkandydatów. W 2010 roku został wybrany na drugą kadencję. Natomiast już trzeci raz przewodniczy Powiatowej Społecznej Radzie ds. Osób Niepełnosprawnych.

– To, że zostałem dwukrotnie wybrany na radnego, oznacza, że ludzie zaufali środowisku, które reprezentuję. Jakiś ślad zostawiłem i zostałem zauważony, pomimo takich a nie innych warunków fizycznych. Jestem dumny z tego zaufania – mówi radny Smolak. Przysnaje, że przed zbliżającymi się wyborami samorządowymi zwróciło się do niego kilka różnych ugrupowań z propozycją startu z ich listy. – Jest pewna „moda na niepełnosprawność” – dodaje – na pewno znaleźliby się ludzie, którzy chcieliby, żebym był marionetką w ich rękach, bo teraz na czyjejs niepełnosprawności można zyskać. Jednak nie jestem głupi. Wiem, że jeśli zgodziłbym się na coś takiego, byłby to mój koniec jako człowieka i jako radnego.

Niewykorzystany potencjał

Wielu niepełnosprawnych skarży się, że ich sytuacja znacząco pogorszyła się w ciągu ostatnich 25 lat. Radny Smolak jest tego świadomy.

– Środowisko okazało się zupełnie nieprzygotowane na działanie mechanizmów demokratycznych wymuszających samodzielność i oddolną aktywność –

mówi. – Kapitalizm, w najbardziej pejoratywnym tego słowa znaczeniu, doprowadził do likwidacji wielu Spółdzielni Inwalidów, które stanowiły zaplecze materialne osób niepełnosprawnych. Teraz czują się niepotrzebni i bezwartościowi. Żeby to zmienić, konieczne jest przede wszystkim podejmowanie wspólnych działań. Większość osób ze środowiska cieszy się, że ma swego reprezentanta w radzie miasta. Cóż, są i tacy, którzy zazdroszczą. Wszelkie niesnaski, konkurencja i zawiść pomiędzy nami działają na szkodę nas wszystkich. W środowisku ludzi z dysfunkcjami tkwi ogromny, niewykorzystany potencjał.

Nie będąc jeszcze radnym, jako wiceprezes Zarządu „Misericordes” zaangażował się w tworzenie Centrum Integracyjno-Rehabilitacyjnego w Puławach.

– To była walka z czasem i bój o środki, ale było warto – wspomina. – Nasze puławskie Centrum działające od 2001 roku to prawdziwa perełka. Skupia siedemnaście stowarzyszeń, działających na rzecz osób przewlekłe chorych i z dysfunkcjami – diabetyków, u których postępująca cukrzyca powoduje często kalectwo, niewidomych, głuchoniemych, chorych na SM oraz inwalidów różnego rodzaju. Dzięki wspólnym działaniom wielu osobom niepełnosprawnym udało się wyrwać z izolacji.

Kontakty z osobami głuchoniemymi czy niewidomymi były dla radnego Smolaka zaskoczeniem.

– Zauważyłem, że ich problemy są często o wiele poważniejsze, niż myślałem. Moją obecną względną sprawność zawdzięczaam technice – jestem całkowicie zależny od windy hydraulicznej i od wózka elektrycznego, bez których nie mógłbym nic zdziałać, jednakże oni są w znacznie gorszej sytuacji i mają często możliwości znacznie bardziej ograniczone od moich.

Przechowalnia bagażu

W jego skromnym mieszkaniu w bloku przy ulicy Polnej bez przerwy dzwoni telefon, daje znać o swoim przepełnieniu poczta elektroniczna w usadowionym na jedynym w jego „przechowalni bagażu” – jak nazywa swoją kawalerkę – stole kuchennym, laptopie.

– Cieszę się z rozmów z osobami, które są mi wdzięczne za załatwienie czegoś tam, ale jeszcze bardziej cieszę się z krytyki, która konstruuje moje poczynania w przyszłości. Zaufanie ludzi – myślę

o moich wyborcach – wykorzystuję do wykonywania czynności, które nie byłyby możliwe, gdybym nie był radnym.

Pojawienie się radnego na wózku w budynku puławskiego magistratu zostało dobrze przyjęte przez uczestników życia samorządowego.

– Gdy się zjawiłem w Ratuszu, nie było zdziwienia ani niczego, co tworzyłoby jakiegokolwiek trudności dla mnie. Wręcz przeciwnie. Na przykład posiedzenia komisji zwykle odbywały się na pierwszym piętrze, ale ze względu na to, że nie ma tam windy, przeniesiliśmy się na parter.

To paradoks, ale choroba umożliwiła mi osiągnięcie pozycji, dzięki której jest w stanie pomagać innym ludziom, nie tylko niepełnosprawnym.

– Wózek pomaga mi w wielu momentach, ale też często przeszkadza, bo jestem z nim utożsamiany. Chciałbym, żeby inni patrzyli na mnie przede wszystkim jako na człowieka a nie jako na „człowieka na wózku”. Chcę być radnym a nie „radnym na wózku”, poetą a nie „poetą na wózku”. Wolałbym, żeby także sami niepełnosprawni nie tworzyli sobie gett i w nich się nie umieszczali.

Proza życia poety

Po powrocie z obrad Rady znajduje jeszcze czas na pisanie wierszy.

– Poezja towarzyszyła mi od początku. Napisałem kilkadziesiąt wierszy, które wyszły w zbiorze *Zastępczy życiorys i inne wiersze*. To takie moje *opus magnum*.

Wiersze to znakomite. Jego twórczość kojarzy się z poezją innego poety na wózku – Janusza Szubera z Sanoka. Tomik Smolaka wydany nakładem lubelskiego Norbertinum został nominowany do nagrody głównej w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Anny Kamieńskiej.

– Jedyne, co mnie naprawdę martwi, to nieustannie pogarszający się stan mojego zdrowia. Z tym najtrudniej się pogodzić. Toczy mnie wiele obaw. Na przykład boję się, że spadnę z wózka i stracę przytomność. Ostatnio w czasie mrozącego krew ześlizgiwania się z wózka na tapczan, opadłem przodem tułowia na prześcieradło i leżałem tak z przytkniętą do tapczanu twarzą aż do rana, bo nie miałem przy sobie telefonu komórkowego. Dopiero o świcie podniosła mnie

moja opiekunka, mój Anioł. Gnębi mnie też myślenie o przyszłości. No bo za co kupię wzmacniające mój organizm coraz droższe leki? Co będzie, kiedy nie będę mógł już wjechać wózkiem do windy, kiedy nie będę mógł usiedzieć na wózku? W tej chwili samodzielnie nie jestem w stanie nawet się podnieść ani zejść z łóżka na wózek, nie mówiąc już o innych codziennych koniecznościach. Najtrudniej sięść na kibel. Ograniczyłem się do jednego posiłku dziennie. Staram się załatwiać swoje potrzeby raz na trzy-pięć dni. Czasem żartuję, że dokonałem jednej z najtrudniejszych – dla ogółu wręcz niemożliwych – rzeczy: udało mi się zapanować nad swoim tyłkiem. Na kibel – obok podnoszenia mnie z łóżka i ubierania – również sadza mnie mój Anioł. Nie jest to dla niej łatwe, bo ważę coraz więcej.

Na kalikę to każda poleci

– Jeszcze gorzej jest z czynnościami kuchennymi – wzdycha radny Smolak, który sześć lat temu rozwiódł się z żoną. – Nie daliśmy rady dzielić się swoją wzajemną niepełnosprawnością na dłuższą metę. Miało być łatwiej, ja kaleka, ona kaleka, ale nie udało się. Teraz żałuję, że jednak się nie odważyłem i nie związałem z osobą „zdrową”, bo były takie możliwości. Na kalikę to każda poleci. Jedna z ciekawości, druga z litości. – I tak to nie jeden raz jego inwalidzki wózek był nieźle sfatygowany. A to przez niewyżytą erotycznie sąsiadkę, a to przez pielęgniarke na turnusie rehabilitacyjnym w Iwonie-Zdroju.

Temat seksualności osób niepełnosprawnych w Polsce to temat tabu. Mimo powodzenia u „normalnych” Smolak darzył je nieufnością. Z jednej strony pożądał ich i to z nimi najchętniej kładł się do łóżka. A z drugiej strony – kiedy postanowił się ożenić, wybrał dziewczynę podobnie jak on – kalekę. Choremu na stwardnienie rozsiane koledze tłumaczył w chwili depresji, że zrobił tak z obawy, iż normalna kobieta w końcu by go zostawiła, bo może nie sprostaby jej jako mężczyzna.

Spółecznik od Kuronia i Szymborskiej

Poeta obawia się, że nie dożyje chwili, kiedy niepełnosprawność i problemy z nią związane przestaną być w społeczeństwie tematem tabu.

– Błędem jest selekcjonowanie ludzi na sprawnych i niesprawnych, tworzenie szkół specjalnych, w których często zdolne dzieci z dysfunkcjami ruchowymi marnują swoje talenty. Takie działania wynikają, jak sądzę, z przeświadczenia, że tylko zdrowy i sprawny człowiek jest wartościowy. Jeśli ktoś odbiega od „normy”, to trzeba go koniecznie „przystosować”. Nadal wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy, że zdrowie i sprawność nie są jedynymi wyznacznikami wartości człowieka. Dobrze jest je mieć, ale gdy ich nie ma, to nie znaczy, że ktoś jest przez to gorszy od innych. Jako członek Komisji Oświaty i Kultury jestem przeciwny realizacji programów czy imprez zamykających osoby niepełnosprawne w ich własnym kręgu. Nie rozumiem, jak można organizować np. konkurs poetycki dla osób niepełnosprawnych. Dany wiersz jest poezją lub nie jest – i nieważne, kto jest autorem.

Radny Smolak ma nadzieję, że samo słowo „integracja” nie będzie kiedyś w ogóle potrzebne, że stanie się ona dla wszystkich zdrową normą. Ale jednocześnie ma on świadomość, że droga ku temu jest długa i trudna.

– Pierwszym krokiem jest tutaj likwidacja barier architektonicznych, która pozwoli osobom niepełnosprawnym wyjść z domów i brać udział w życiu publicznym. To umożliwi stopniową likwidację blokad mentalnych i pozwoli na budowanie zdrowych struktur społecznych. Konieczna jest pomoc w zaspakajaniu rzeczywistych potrzeb osób niepełnosprawnych. Tymczasem Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej pozwala na nikomu niepotrzebne konferencje, seminaria i szkolenia. A integracja? Ona się wnet pojawi – dzięki roztropnie rozdzielanym środkom.

Za te wszystkie działania na rzecz polepszenia życia osób niepełnosprawnych Smolaka doceniła „Fundacja SOS – Pomoc Społeczna”, założona przez Jacka Kuronia i Wisławę Szymborską, nadając mu tytuł „Społecznika Roku 2005”.

Niech będzie Pochwoluny

Na wsi żyje ciągle jego stara matka, która mieszka z jego bratem, budowlanicem.

– Dawno już jej nie widziałem, bo nie mam tam jak dojechać. Autobus niskopokładowy dociera tylko do Pożoga. Za to często do niej dzwonię. Raz

w tygodniu odwiedza mnie brat, jak wraca z pracy. Myślę niekiedy o tym, jak byłem młodym chłopcem i obdzielałem nadmiarem siana odwdzięczając mi się jeszcze ciepłym mlekiem krowy. Minęło tyle lat i nadal zajmuję się rozdzielaniem smakowitych kąsków... Dzielę PFRON-owskie środki pomiędzy niepełnosprawnych. Tylko z tą wdzięcznością w zamian jest znacznie gorzej – śmieje się. – Opuściłem rodziną wieś, a ona wraca do mnie w snach, jak zaborcza kobieta. Och... Gdybym ja już wtedy tam miał, oprócz do dziś stojącego przed gankiem, ponoć odstraszającego muchy, orzecha, jeszcze przynajmniej względne do życia na wózku, warunki... Zostałbym tam... – wzdycha, po czym mruży oczy, jakby nasłuchiwał dawno już niesłyszanego brzęczenia pszczoł i słyszał z gościńca „uzdrawiające” go: „Niech będzie Pochwoluny”.

Życiorys zastępczy?

Mimo różnorakich kłopotów Smolak się nie podaje.

– Po 45 latach siedzenia na wózku nabawiłem się zylaków. Przydałaby się operacja, ale wtedy musiałbym z miesiąc leżeć na brzuchu w łóżku. Mój Anioł poza mną ma jeszcze pracę i inne zajęcia. I kto wtedy by się zajmował takim jak ja niecierpliwcem? Któremu ani się myśli korzystać z przydzielonych przez MOPS opiekunek?

Smolak właśnie kończy pracę nad swoją biografią. A w zasadzie – będzie to powieść, którą można zakwalifikować do nurtu chłopskiego. Jest tam dużo o dzieciństwie na wsi, o postępującej chorobie, ale i o walce z nią – w ramionach pielęgniarek, podczas wyjazdów do sanatoriów.

– Ta powieść to tak naprawdę zbiór opowiadań, łączonych osobą głównego bohatera, czyli mnie. Wydałem tomik wierszy, teraz chcę spróbować swych sił jako prozaik. Książka powinna się ukazać w 2014 roku.

Ciekawe, jaki będzie tytuł. Bo ten dla tomiku – *Życiorys zastępczy* – chyba nie jest trafny. Mimo strasznej choroby jego autor od dziecka starał się żyć pełnią życia, intensywniej nawet niż jego rówieśnicy. Był też mądrzejszy od swoich kolegów z Woli Przybysławskiej, czym nadrobił braki fizyczne. To było/ jest prawdziwe życie, żadna jego forma zastępcza.

Spotkanie

Osoby:

Maureliusz – literat, człowiek zagubiony
(w czasie i przestrzeni)

Anna – kobieta obyczajów lekkich
(ale nie na tyle lekkich, by nazwać ją dziwką)

Gospodyni – z racji domagania się należności
niezbyt lubiana

2013 rok

AKT I

Duży pokój. Nie ma rzeczywistych ścian, ale poruszanie się bohaterów i rozmieszczenie sprzętów jasno wyznaczają obręb pomieszczenia. Na środku stoi masywne biurko, na nim pełno książek, papierów. Z prawej strony, ale nie przy ścianie, stoi prosty regał wypełniony książkami. W kilku miejscach sterty książek ułożonych po kilkanaście sztuk. Z lewej strony drzwi wolnostojące, na prawo od nich mała komoda. Maureliusz otwiera drzwi. Od razu po naciśnięciu klamki wchodzi Anna.

MAURELIUSZ

Jak tu trafiłaś?

ANNA

(Bardzo nerwowo) Myślałeś, że cię nie znajdę? Że możesz tak sobie uciec, wyjść, zostawić mnie? *(Stopniowo jej głos mięknie)* Mnie? Biedną Anię? *(Podchodzi do Maureliusza i zaczyna go przytulać)* No już dobrze, Ania się nie gniewa, mmm. *(Zaczyna go obejmować, całować. Maureliusz się wyrывa)*

MAURELIUSZ

Ale o co chodzi?

ANNA

O co chodzi? *(Znowu się denerwuje)* Jak mogłeś mnie tak zostawić? Mnie! Mnie!

(Przez otwarte drzwi wchodzi Gospodyni, Anna stoi przodem do drzwi, Maureliusz tyłem)

GOSPODYNI

No właśnie! Jak pan może tyle czasu nie płacić czynszu?

ANNA

No tak! Jak możesz tyle czasu się nie odzywać?

GOSPODYNI

Jak panu nie wstyd?

ANNA

Jak ci nie wstyd? *(Reflektuje się)* A pani właściwie w jakiej sprawie?

GOSPODYNI

A pani? To pan nie wie, że sprowadzanie dziwek w mojej kamienicy jest zabronione?

ANNA

(Oburzona) Wypraszam sobie! Nie jestem żadną dziwką!

MAURELIUSZ

A pani myśli, że jak literat, to od razu dziwki sprowadza?

GOSPODYNI

A nie?!

MAURELIUSZ

Nie, Anna jest bliską memu sercu osobą... i proszę nie wnikać w moje życie uczuciowe!

GOSPODYNI

Jakie tam dziwki mają uczucia? Pfff.

ANNA

Maurelku, kim jest ta pani? To twoja matka?

MAURELIUSZ

Jaka matka?! To stara gospodyni. Szefowa kamienicy. Lenin naszego penthauzu!

GOSPODYNI

A wiesz (z pogardą) Aniu, kim jest twój literat? Gołodupcem, obszczymurem, który nie płaci za mieszkanie już siódmy rok!

MAURELIUSZ

Poszła! Bo cię siekierą potraktuję. (*W tym samym czasie wyciąga z komody siekierę i grozi Gospodyni*)

GOSPODYNI

Ha, Raskolnikow się znalazł. Rodion srodion mojej willi! (*Wychodzi*)

ANNA

Dziwna ta twoja gospodyni. (*Wchodzi w głąb pokoju*)

MAURELIUSZ

Stare próchno, nie ważne zresztą. Po co tu przyszedłeś?

ANNA

Bo chciałeś.

MAURELIUSZ

Ja?!

ANNA

Tak, mówiłeś „już zawsze będziemy razem”, w rytm ruchów frykcyjnych wyznawaleś przecież „Już-cię-ni-gdy-nie-o-pu-szczę!”.

MAURELIUSZ

I dlatego tu przyszedłeś?

ANNA

Jasne. (*Wchodzi w głąb pokoju i wskazując, mówi ekspresyjnie*) Tu wstawimy stół, to biurko się wyrzuci, tu można by postawić ściankę, żeby oddzielić sypialnię od salonu, co ty na to? (*Nie oczekując odpowiedzi, kontynuuje. Podnosi dwoma palcami książkę za okładkę z obrzydzeniem*) Fuu! Takie ohydne kurze! Te książki wyrzucimy, nie będą nam potrzebne. (*Rzuca książkę przez drzwi*)

GOSPODYNI

(*Zza drzwi krzyczy uderzona książką*) Ała!

ANNA

Tu się wstawi telewizor.

GOSPODYNI

Chcesz mnie naprawdę nikczemniku zabić?

MAURELIUSZ

To ona! (*Wręcza Gospodyni siekierę*) Niech ją pani nauczy szacunku!

ANNA

Myśli pani, że czterdzieści dwa czy pięćdziesiąt?

GOSPODYNI

Ale co?

ANNA

Cali, ile? Czterdzieści dwa czy pięćdziesiąt?

GOSPODYNI

Czterdzieści pięć.

ANNA

Nie ma takich!

GOSPODYNI

Czterdzieści pięć tysięcy wisi mi on! Już siedem lat nie płaci.

ANNA

Maurelku, czy to prawda?

MAURELIUSZ

A czy ja jestem w stanie to spamiętać? Myślicie, że nie mam innych problemów? Matka mi umarła, mam inne zmartwienia. (*Zapada niezręczna cisza*)

ANNA

Oj, Maureliuszku, nie wiedziałam, kiedy to się stało?

MAURELIUSZ

Jak byłem dzieckiem, dwadzieścia dwa lata temu.

ANNA

I dalej cię to przytłacza? Po dwudziestu dwóch latach?

MAURELIUSZ

A co, po dwudziestu dwóch latach to już nie ważne? Po dwudziestu dwóch latach człowiek czuje inaczej? Matka się staje nikim, a jej śmierć niczym?

GOSPODYNIA

(Zmieszana)

Rosół na gazie zostawiłam, pójdę. Może mi pan na razie nie płacić. Poczekam. (*Po cichu*) Byle nie siedem lat.

ANNA

(Przytula Maureliusza)

Mój kochany, mój biedny Maurelek.

MAURELIUSZ

W zasadzie to gdybyś ty też umarła, nic by się nie stało. Nawet w sumie to rozwiązałoby moje problemy. Może za siedem lat gospodyni znów odpuści mi czynsz. (*Wyciąga pistolet, strzela do Anny. Może ją zabija, a może nie. Może żałuje, a może nie. Widz się nie dowiaduje, bo światło gaśnie, kurtyna opada*)

KONIEC



Pewność

Wykluwa się z niewiedzy.
Dojrzewa pod lampą obserwacji,
Miar,
Porównań.

Żyje dowodami i powtórzeniami,
Proporcjami,
Nieomyślnością.

Gdy jest już samodzielna,
Myśli o podboju świata
I wieczności.

Człowieka zna jak mało kto.

Wie o jego bezsenności,
Obgryzanych paznokciach,
Krokach w przód,
W tył.

Kusząc spokojem,
Otwiera ramiona, zbliża się
I zamyka
W złotej klatce.

Jest w niej wszystko
Czego szukamy:

Jasne odpowiedzi,
Powieści z wyrazistą puentą,
I lustra z akceptowanym odbiciem.

Na szczęście za rogiem
Jest niepewność.

Siedzi w cieniu krat
I drapie się po głowie.

Coś kreśli, poprawia, gryzie ołówkę.
Mruczy pod nosem: „Czy aby tak?
Tędy?
A może...”

Nie boi się starych prawd
I autorytetów,
Racji
I pewników.

Wystarczy jedna uwaga,
By wprowadzić je w zakłopotanie.

Od słowa „jest” woli „bywa”.
Od pierwszego, woli drugie dno.
Choć myśli o wszystkich,
Bliżej jej do niektórych.

Pokorna, ciekawa,
Nieufna,
Czujna.

Gdy tylko patrzymy oczami innych,
Otwiera klatkę

I wyciąga na światło wiary.

Śmierć

Proszę,
Wejdz,
Usiądź.

Wybacz,
Nie rozumiem dlaczego to robimy.
Tyle przykrości, krzywdzących ocen.

Unikamy cię jak ognia,
A co wiemy o tobie?

Nasza samotność przy twojej
To groteska -

Żadnej żywej duszy obok,
Dobrej rady,
W porę usłyszanego „opamiętaj się”.

Ludzie mówią,
Że zabierasz im wszystko.
Jakbyś miała wolną wolę,
Jakby nie istniał
Bóg.

Słyszałem też,
Że nie masz serca,

Ale to ty
Ucząc się na ichtiozaurach
I pterozaurach
Przygotowałaś świat na nasze przyjście

I to ty, jako jedyna,
Traktujesz wszystkich sprawiedliwie.

Opowiedz mi
O swoich początkach,
Pierwszych krokach,
Domu z widokiem na niedostępny raj,
Dorastaniu bez radości
Narodzin.

Na pewno nie było ci łatwo.

Zamiast zabawy do świtu,
Przyjaźni,
Pierwszej miłości,
Ciągła praca w pocie czoła.

Znajdujesz chwile dla siebie?
Tyle na głowie,
Wtedy
I teraz.

Nie możesz zapomnieć o żadnej
Meszce, ważce, rusałce
Sasance, mewie,
Sarnie,

No i o końcu świata.

Dla ludzi oznacza śmierć.
Dla ciebie – życie?

Jeśli tak,
Pamiętaj, trudna to sztuka,
Trudniejsza od sztuki zabijania.

Odgrywana wiecznie stałaby się piekłem.

Dwa trudne zadania

Pamięci Helmuta K

Kilka tygodni temu odszedłeś z tego świata.

Wyobrażam sobie tamtejsze życie,
Dni, których nie potrzebujesz,
Nocy, których nie ma,
Muzea czasu
I materii.

Ale wyobrażam też sobie ciemność,
Której trwanie lub nieobecność
Są obojętne,

Nicość bez oczekiwań,
Najmniejszej nadziei na jakiegokolwiek
Zmartwychwstanie.

Milczysz, bo słowa tego świata
Nie opiszą tamtego,

Czy milczysz,
Bo jesteś pustką wokół pustki?

Przede mną dwa trudne zadania:

Odróżnić wyobrażenia trafne
Od chybionych

I uciec przed niepamięcią,
Która wrywa mi ciebie
Garściami.

Skok w przepaść

Wrzesień

Było piękne, wrześniowe popołudnie. Po niebie płynęło ospale kilka rzadkich i małych chmur, oddając miejsce mocnym promieniom słońca. Przyszedł do parku jak zwykle dość wcześnie i usiadł na jednej z wolnych ławek. W oczekiwaniu, obserwował przez brązowe szkła swoich przeciwsłonecznych okularów przechadzające się nieopodal parki emerytów, młode mamy i ich znudzone pociechy. Wszyscy wydawali się wyjątkowo rozleniwieni atmosferą tego miejsca i ładną pogodą. Rozsiadł się więc wygodnie i zapalił papierosa. Wiedział, że przyjdzie punktualnie.

Zjawiła się, gubiąc po drodze tylko dwie minuty. W ciemnych okularach i ładnie ułożonych do tyłu brązowych włosach prezentowała się interesująco. Od początku znajomości pociągła go i dlatego wciąż pozwalał sobie na te spotkania. Lubił jej obecność. Styl, w jakim opowiadała o swoich planach, sukcesach i wpadkach. Sposób, w jaki piła kawę i śmiała się. To wszystko sprawiało, że wciąż się widywali.

Usiadła blisko niego, ocierając się znacząco przy powitaniu i uśmiechnęła się. Była bardzo zadowolona.

– Z czego się tak cieszysz? – zapytał.

– Mam po prostu dobry humor. Co się tak dziwisz?

– No nie wiem. Jesteś strasznie podniecona. Co się stało?

– Nic szczególnego. Ładny dziś mamy dzień – odpowiadała wymijająco, zapalając mentolowego papierosa i poprawiając włosy.

– Jak się miewa syn? – zmienił temat, wiedząc, że nic z niej nie wycisnie.

– W porządku – odparła krótko.

Siedzieli z twarzami skierowanymi ku ciepłemu słońcu, łapczywie zaciągając się papierosami. Delektowali się pogodą i swoją obecnością, wiedząc, że obydwie rzeczy nie potrwają zbyt długo. Mówili o codzienności, próbując przedstawić ją w jak najbardziej pozytywny sposób. Uciekali dziś od poważnych tematów i ocen, zostawiając je w niewypowiedzianej próżni. Zdawali sobie sprawę, że ich świat to iluzja, ale to właśnie jej pragnienie ich łączyło.

Po kilku minutach pogawędki nagle spoważniała i zaczęła szukać czegoś w swojej dużej torebce. Zamilkł, spodziewając się esencji tego spotkania. Wyjęła bezbarwną pomadkę i zaczęła subtelnie pokrywać nią swoje pełne usta. Robiła to powoli, chcąc zyskać trochę czasu. Po chwili skończyła, spojrzała się na niego i znów uśmiechnęła.

– Pewnie wiesz, czego chcę, Szymon? – zaczęła niewinnie.

– Domyślam się, że chodzi o specyfik, który dostałaś ode mnie ostatnio?

– Dokładnie. Wiesz, dobrze się po nim bawiłam w poprzedni weekend i chciałabym to powtórzyć w nadchodzącym – argumentowała, bawiąc się rączką torebki.

– Myślę, że coś da się z tym zrobić. Nie sądzisz jednak, że robisz to zbyt często? – zapytał odruchowo, znając już wcześniej odpowiedź.

– Nie przesadzaj. Nie znasz mnie? Jestem już dorosła i wiem, kiedy przestać. Nie baw się zresztą w moją mamę. Masz tu pieniądze i daj mi to, co chcę – mówiła, wpychając mu ukradkiem banknoty do ręki.

Wcisnął szybko zwitek pieniędzy do jednej z kieszeni swoich spodni, nie przeliczając ich nawet, co robił zazwyczaj przy zawieranych transakcjach. Spojrzał na przechadzających się ludzi i bez słowa włożył jej małe zawiniątko do otwartej torebki.

– Powinnaś być zadowolona – powiedział cicho.

Położyła torebkę na kolana i zamknęła ją jednym energicznym ruchem. Znów poprawiła włosy i wstała z ławki. Założyła sobie torebkę na ramieniu i stojąc, odwróciła się do niego.

– Muszę już zmykać, Szymon. Jesteś kochany. Pamiętaj, że Kasia o tym pamięta – powiedziała, odchodząc.

– Cześć – wymamrotał, patrząc z żalem i lekkim poczuciem winy, jak się oddala.

Zdawał sobie sprawę, że ta znajomość jest płytka i pozbawiona wszystkiego, co niesie ze sobą z reguły znajomość pomiędzy mężczyzną a kobietą. Wszystko było podporządkowane zdobyciu pożądanego narkotyku. Nie sądził, że spotkałaby się z nim jedynie w towarzyskim celu. Poznał ją po to, żeby sprzedać jej jeden ze swoich woreczków, choć za każdym razem oszukiwał się, że jest odwrotnie. Chciał ją lepiej poznać, ale wiedział, że w takiej sytuacji jest to niemożliwe. Sprzedawał jej dawki iluzji niosące śmierć, więc był zarazem jej pośrednikiem.

Kwiecień

Mocne promienie porannego, wiosennego już słońca przedzierały się przez zasłonięte żółtymi roletami okno. Siedział na sofie w jej niewielkim mieszkaniu. Panował w nim przyjemny rozgardiasz, typowy dla życia młodej matki z dzieckiem. Kolorowe zabawki znaczyły każdy kąt tego przytulnego miejsca, ale ich właściciel nie był obecny w tym momencie. Kasia krzątała się w kuchni, szykując coś do picia. Na stole w pokoju stało kilka kubków z niedopitą kawą. Zgasił papierosa i wypił łyk gorzkiego napoju z jednego z nich. Zauważyła to, wracając z kuchni.

– Widzę, że spragniony jesteś – powiedziała.

– Ty chyba też, dzwoniąc do mnie tak wcześnie? – odparł, robiąc grymas na twarzy.

– Myślałam, że twój sklepik jest czynny całą dobę – zaśmiała się, porządkując brudne naczynia ze stolika.

– Tak, ale tylko dla wybrańców.

– Czuję się więc wyróżniona – odpowiadała, śmiejąc się dalej.

Poszła do drugiego pokoju się przebrać. Przez uchylone drzwi widział, jak nakłada na siebie czarną koszulkę i wciska się w obcisłe, krótkie, seksowne spodenki. Gdy wyszła tak ubrana, zmieszał się trochę i zapalił kolejnego papierosa, tłumiąc swoje podniecenie. Ta dziewczyna naprawdę mu się podobała, a przebywanie w jej mieszkaniu sprawiało mu dodatkową przyjemność.

Po chwili na stole pojawiły się kubki z gorącą kawą, którą przygotowywała. Dopiero teraz, gdy usiadła niedaleko niego, przyjrzał się jej twarzy. Miała podkrążone i zmęczone oczy, które wołały o odpoczynek.

– Śpisz ostatnio? – zapytał zaciekawiony.

– Nie mam na to czasu, wszystko jest na mojej głowie. Właśnie dlatego znów zadzwoniłam do ciebie – odpowiedziała.

– Widzę, że się rozpędzasz – powiedział beznamiętnie.

– Na to wygląda – powiedziała i zamilkła, zaciągając się papierosem.

Wstała z sofy, sięgnęła po pilota i włączyła telewizor. Ustawiła go na muzyczny kanał i zaczęła poruszać biodrami w rytm muzyki, powoli zbliżając się do niego. Robiła to tak seksownie, że nagle zrobiło mu się

bardzo gorąco i czuł, jak zaczyna się pocić pod ubraniem. Gdy była tuż przy nim, nagle ściszyła muzykę i usiadła bardzo blisko, kładąc mu ręce na kolana.

– Może dasz spragnionej kobiecie to, czego jej trzeba? – powiedziała, patrząc mu w jednocześnie w oczy.

Ta dwuznaczna sytuacja lekko nim zachwiała. Czuł dotyk jej nagich ud, które ocierały się o niego, zapach jej włosów i ręce na nogach. Pragnął jej w tym momencie, jednak wyraz zmęczonej i spragnionej twarzy nie mówił wcale o seksie.

– Nie posypiesz ścieżki dobrej koleżance? – pytała dalej, wciąż patrząc na niego.

– A już pomyślałem zupełnie o czymś innym – odparł, uśmiechając się i sięgając do kieszeni spodni.

Wyciągnął woreczek i wysypał trochę białego proszku na drewniany blat stolika. Rozochociona tą szybką wygraną Kasia szybko sięgnęła po leżącą na parapecie kartę telefoniczną i zaczęła przygotowywać sobie ścieżkę swojego ulubionego narkotyku.

– Masz może banknot? Zgubiłam gdzieś swoją rurkę – zapytała, pochylając się i szykując do zażycia.

Podał jej z niechęcią dwadzieścia złotych wyjęte z portfela. Zwinęła je sprawnie i szybko wciągnęła ścieżkę do nosa.

– Tego mi właśnie brakowało – powiedziała, podnosząc głowę spod blatu stołu i oddając mu banknot.

– Jesteś fajnym gościem, Szymon i mam do ciebie jeszcze jedną sprawę – kontynuowała.

– Ile tego potrzebujesz? – odparł szybko.

– Potrzebuję trochę więcej, mam ciężki okres teraz i muszę być na chodzie. Mógłbyś sprzedać mi dwa gramy, a drugie dwa dać na krechę?

Spojrzał na nią z niedowierzaniem. Zmęczenie zniknęło z jej twarzy, a oczy emanowały drżącą w środku energią wywołaną przez działanie narkotyku. Bardzo rzadko, a właściwie nikomu nie dawał towaru na krechę. To była jego żelazna zasada, bez której nie miał czego szukać w tym biznesie.

– Dobra, niech ci będzie, ale niech to zostanie między nami – wymamrotał w końcu.

– Wiedziałam, że na ciebie mogę liczyć – uradowała się Kasia i poszła do przedpokoju szukać przygotowanej wcześniej gotówki.

Gdy wróciła, wziął od niej połowę pieniędzy i wstał ze sofy. Rzucił na stół cztery worki i wyszedł.

Jakiś czas później

Był chłodny wieczór. Uliczne lampy rozświetlały opustoszałe ulice miasta. Szli, razem z Grubym Robertem na pobliską siłownię. Nigdy nie przepadał za ćwiczeniami, ale Gruby przekonał go, że te spotkania to jeden z elementów ich wspólnego przedsięwzięcia. Na siłowni spotykało się większość ludzi z branży i wręcz należało tam bywać. Przechodzili właśnie przez park, gdy z boku podbiegła do nich ciemna postać. Zatrzymali się zaskoczeni.

– Cześć, Szymon, poznasz mnie – zaczęła mówić w jego kierunku.

Przyjrzał się nieznajomej, ale przy skromnym świetle latarni nie mógł zidentyfikować zniszczonej twarzy i tłustych włosów spiętych jaskrawą gumką. Dopiero, gdy stanęła bliżej, poznał ją. Była wycieńczona i chuda. Lekkie ubranie zwisało na jej niewyraźnej sylwetce, ale niewątpliwie to była ona.

– No cześć, poznaję cię, czego chcesz? – odpowiedział.

– Zawsze cię lubiłam i jak zobaczyłam, to musiałam podejść – mówiła Kasia. – Chciałam się przywitać i zapytać od razu, czy nie masz może czym mnie poczęstować?

Spojrzał na Grubego Roberta, którego twarz wyrażała obruszenie i pogardę.

– No wiesz, dawno się nie widzieliśmy i nie mam pojęcia, o co ci chodzi – powiedział do niej, robiąc zdziwioną minę.

– Nie czas na pogawędkę. Musimy zmykać – wtrącił groźnie Gruby i zaczął iść.

Szymon po chwili zrobił to samo. Ona nie dawała jednak za wygraną. Podbiegła do nich ponownie.

– Przecież znamy się tak długo, poczęstujcie czymś, wiem, że na pewno coś macie – naciskała, doganiając ich. Znow się zatrzymali, stając jej naprzeciw.

– Dziewczyno, my nic nie mamy i nic ci nie damy – głośno powiedział Szymon, któremu zrobiło się głupio przy swoim biznesowym partnerze.

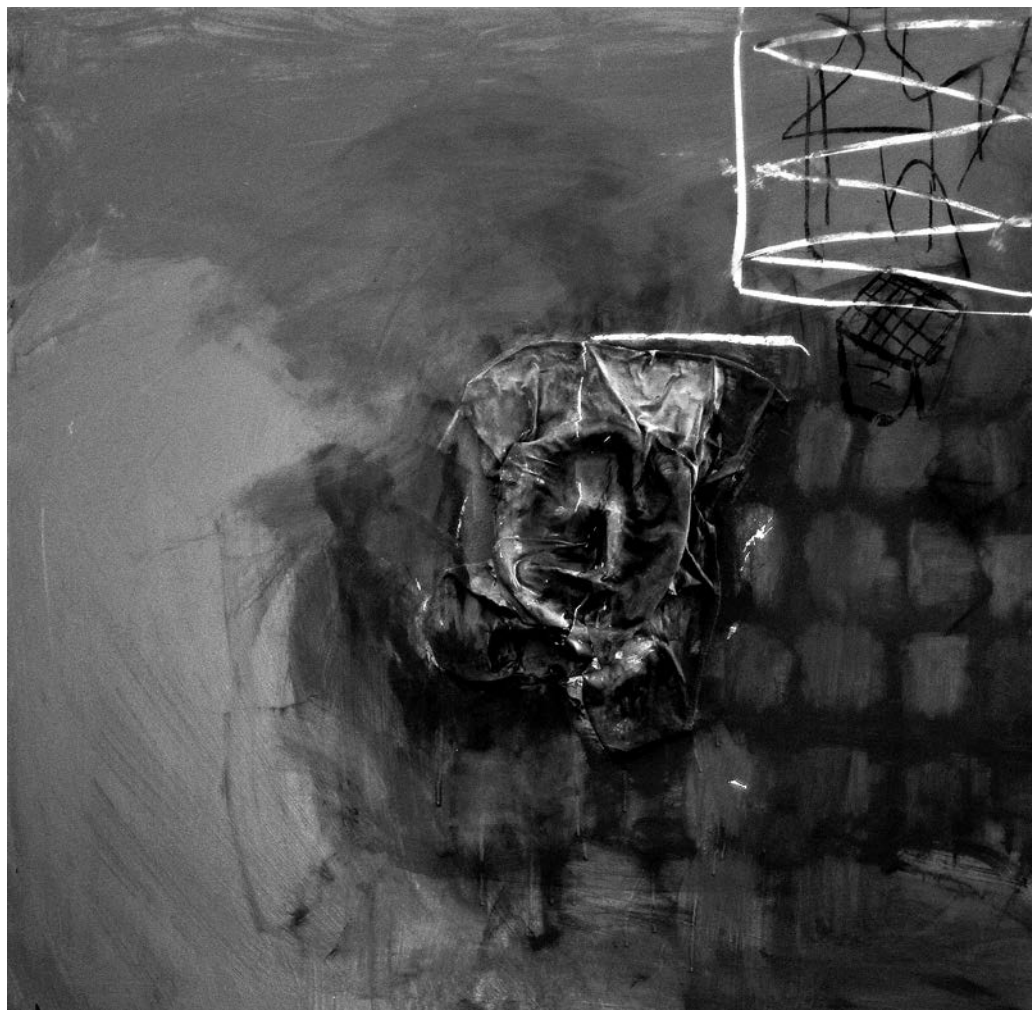
Gruby Robert zbliżył się do niej i złapał za ramię. Trzymał ją chwilę, a później uśmiechnął się i spojrzał jej w oczy mówiąc cicho:

– Spływaj stąd, maleńka.

Po tych słowach wyrwała mu się z uścisku. Zdała sobie sprawę, że nic nie zdziała, a może jeszcze przysporzy sobie kłopotów. Zrezygnowana odwróciła się więc i pobiegła z powrotem w stronę ciemnego parku.

– Skąd ty znasz takie wywłoki? – spytał Gruby po chwili, wyraźnie zdziwiony tym nagłym spotkaniem.

– Nie wiem, kto to jest, pierwszy raz ją widziałem – odpowiedział Szymon, otwierając Grubemu drzwi do siłowni.



Liść serca

Promienie słoneczne otaczają
Ciebie
Słomkowy kapelusz maluje
znak czasu
pijesz złocisty napój
unoszę dłonie
podaję ci liść serca
A w zamian dostaję
zaproszenie na koncert

24 lipca 2012

Ścieżka kropli

Nadchodzi noc
Światła gasną w oknach
Moje miasto zasypia
zegar wybija północ
Tylko księżyc spogląda
Z obłoków na róg
Ulicy gdzie suche
Drzewa ma na gałęziach
kroplę deszczu
Pójdę ścieżką kropli
Odnaleźć Muzę która cierpi

23 listopada 2012

Autobus

Na wzniesieniu nagość
owinięta prześcieradłem
na dole w ciemnościach
chodzą ludzie w świetle
widać tył autobusu
do którego nikt nie zdążył
wsiąść
To jeszcze nie pora
na drugi brzeg

4 sierpnia 2013

Symfonia samotności

Po szybach spływają krople
w oknie zasłona
przy stole dębowym
siedzi Stara Kobieta
wpatrzona w wyblakłą
fotografię sprzed lat
oczekuje kroków
tylko cztery ściany grają
symfonię samotności
której nikt nie słyszy

18 lipca 2013

Kto czyta, nie jest samotny

Poeci mniejsi

Są poeci mniejsi. O istnieniu tego zakonu pomyślałem, czytając wiersz Arkadiusza Irka *Bracia mniejsi*:

Są w nas
bracia mniejsi
najczęściej nierasowi
z niedużymi kielkami
pazurkami [...] czasem
z oczami geparda
lub nóżkami
zwinnej antylopy

Myśl czytelnika poezji chadza, kędy chce. Poetom wielkim wiele wolno, mniejszym nie pomogą nieduże kielki, pazurki, zwinność antylopy.

Jestem przekonany, że gdyby frazy z jego wiersza *W chowanego*:

Każde życie
ma swój trzepak
przy którym wyrasta [...]
świetna bramka dla najmłodszych piłkarzy
niebezpieczne miejsce
na akrobacje
idealne
do przekazywania tajemnic

a pod wieczór –
serce zabawy w chowanego

i znów właśnie tam
czas zatrzymał się – chowamy się do dziś
trwa odliczanka

opublikował ktoś uznany, pisano by o nich nie tylko w czasopiśmie kulturalnych, ale także w prasie codziennej, jak było z wierszem *Vermeer* Wisławy Szymborskiej kończącym zbiór *Tutaj*:

Dopóki ta kobieta z Rijksmuseum
w namalowanej ciszy i w skupieniu
mleko z dzbanka do miski
dzień po dniu przelewa,
nie zasługuje Świat
na koniec świata.

Zestawienie autora nieznanego jakich tysięcy z noblistką, trzepaka z obrazem Johanna Vermeera *Mleczarka*, jest nie tylko prowokacją. W życiu, w rozwoju duchowym podobnie, potrzebne jest i podwórko, i muzeum. Większość ma bliżej do tego pierwszego. O którym wierszu byłoby łatwiej rozmawiać z uczniami na lekcji języka polskiego?

Nie zamierzam burzyć hierarchii, ale lubię znajdować wiersze tam, gdzie nikt ich nie szuka. Takie, które dodadzą coś do kanonu. Ważną też funkcją takich utworów jest to, że nie da się stworzyć legendy małego miasta na poezji Szymborskiej, Herberta, czy Miłosza. Książkę Irka znalazłem, idąc ulicą Główną w jego mieście, o której napisał w wierszu *Fotografia*. Miałem kilkadziesiąt minut między pociągami. Zdecydowałem się na krótki spacer. Wszedłem do saloniku prasowego, w którym obok gazet codziennych leżała *Harmonijka*. Jej autor mieszka w Jabłonie Pomorskim, jest pedagogiem, z wykształcenia matematykiem. Autorem kilku książek, zapewne, jak znany mi tomik, też wydanych nakładem własnym.

Kiedy ktoś gra na harmonijce ustnej, słysząc oddech muzyki. U Arkadiusza Irka znajdujemy oddech poezji. Nie jest to zdobywanie ośmiotysięczników w warunkach zimowych, raczej tylko wędrówka turystycznym szlakiem. W tytułowym wierszu napisał:

Kiedyś
prawdziwy wędrowiec
w każdej chwili
potrafił poderwać świat
do tańca
wyciągając z kieszeni
ustną harmonijkę

Na retoryczne pytanie: „co jest większe –/ hałas/ czy cicha tęsknota/ za miłością/ prawdziwą muzyką”, chyba odpowiedzielibyśmy tak samo, ale nie zgadzam się z nim, że „ulepieni jesteśmy/ jak droga – z tej samej melodii”. Czytając jego wiersz, przypomniał mi się fragment z *Siekierzady* Edwarda Stachury:

I co można zrobić? Na organkach coś cichutko zagrać. Wyszperalem organki i zacząłem grać cichuteńko tę cudowną przenajsmutną melodię do straszliwych przenajświętszych wierszy Baczyńskiego: Jenó wyjmij mi z tych oczu szkło bolesne – obraz dni, które czaszki białe toczy przez płonące łąki krwi. Jenó odmień czas kaleki, zakryj groby płaszczem rzeki: zetrzyj z włosów pył bitewny, tych lat gniewnych – czarny pył.

Poeci mniejsi często tworzą „przeciw nicości” albo się w niej pograżają. Wiersz *Zakłęcie* wskazuje, po której stronie opowiada się Irek:

Jeśli być –
to tu i teraz

jeśli zmieniać się –
to na dobrą pogodę

jeśli grać –
to tylko w swoje kości
bez oczekiwania cudów

a jeśli odejść – to z przekonaniem
że było cudownie

Sporo w tych wierszach jesieni. Więcej niż innych pór roku. Jesteśmy „tacy jesienni/ że tak naprawdę/ to nie mamy nic”. Jego książkę zamykają *Harmonijkowe myśli*. Oto dwie z nich: „To proza życia robi z nas poetów” i „Świat potrafi się uśmiechać jedynie przez nasze usta”. Chociaż nigdy nie strzelaliśmy do jednego trzepaka, moglibyśmy zagrać w jednej drużynie na różnych pozycjach. Przed dwoma laty w moim mieście gościł bydgoski uznany poeta Dariusz Tomasz Lebioda. Cenię go za wierność kolegom z młodości. W 2002 roku w wierszu *Chłopcy z podwórka* napisał:

wychodźcie z grobów i więzień
wracajcie z ameryki australii
irlandii

usiądziemy w kręgu i snuć
będziemy opowieść

o cudownych latach
siedemdziesiątych

– gdy słuchaliśmy led zeppelin i slade.

Przywołuję to wspomnienie, bo po tym spotkaniu uzmysłowiłem sobie podczas rozmowy z brodnickim poetą Marcinem Kołodziejskim, że jeśli zna się autora nieznanego, którego utwory są dobre, to ma się szczęście należeć do grona nielicznych znających jego twórczość. Znam poezję Kołodziejskiego tak jak nikt inny. Opublikował po kilka wierszy w warszawskiej „Więzi”, we „Franciszkańskim Świecie” i w „Ziemi Michałowskiej”. Wcześniej w studenckich wydawnictwach. Czy ktoś zwrócił na nie uwagę? Czytałem także jego utwory niepublikowane. Poeci mniejsi są dla wybranych.

Et transfiguratus est coram ipsis
(„i przemienił się wobec nich” Mk 9.2b)

Transfiguracja

To nie była droga; ścieżka jakaś wśród kolczastej krzewiny
po kamieniach i burym piachu

wycieczka bez sensu

dlatego Jakub Jan i Piotr
z kwaśnymi minami szli
za tym dziwnym człowiekiem

pełni wątpliwości i pytań

wszak dzisiaj jeszcze trzeba
kupić wino chleb i ryby

a ten – na spacer pod górę

dziwny znajomy nie myśli o posiłku
nie dba ani o jutro ani o dobre imię

a jeść trzeba
i rybacy dobrze to wiedzą

dotarli zmęczeni i głodni

niepotrzebna znajomość
dziwne słowa obce rybackiej logice
do domów wrócą raczej sami
trudna mowa mistrz dziwny
góra banalna niczym nie zachwyca

i oto
góra Tabor zalana tysiącem słońc
niekoniecznie uwierzyli
w jego słowa
najważniejsze okazały się słońca
które rzuciły rybaków na ziemię na zawsze
piękno bezwzględnie boskie

Robert Rudiak

Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy na Ziemi Lubuskiej w latach 1961–1981 (część II)

Do 1970 r. część osób odeszła z zielonogórskiego KKMP, zwłaszcza po osiągnięciu wyznaczonego celu, jakim było członkostwo w ZLP, przeniesienie się do większego ośrodka miejskiego, podjęcie intratnego zatrudnienia w redakcji prasowej i samodzielne kontynuowanie kariery pisarskiej, na tyle skuteczne, że pozwalające zaistnieć w świadomości czytelniczej

i krytycznoliterackiej na skalę ogólnokrajową. To mogło się udać tylko w przypadku silnych i utalentowanych osobowości. O lubuskich literatach rodem z KKMP pisał Bronisław Gołębiowski:

Podobnie silne indywidualności ukształtowały się w toku wieloletniej działalności ośrodka zie-

lonogórskiego. [...] Założyciele ośrodka, tacy jak Z. Trziszka czy Andrzej K. Waśkiewicz, są dziś indywidualnościami pisarskimi, a ich książki zdobyły sobie uznanie krytyki¹.

W tym okresie Zygmunt Trziszka (ur. 1936 w Wędrzynie koło Stanisławowa) wydał zbiory opowiadań: *Wielkie świniobicie* (1965), *Żyłasta ręka ojca* (1967) i *Dom nadodrzański* (1968), powieść *Romansoid* (1969) oraz szkic biograficzny *Dojrzewanie. Sylwetki zasłużonych działaczy ludowych na Ziemi Lubuskiej* (wspólnie z I. Rybczyńską i A.K. Waśkiewiczem, 1965). Za powieść *Romansoid* został wyróżniony Nagrodą Literacką im. Pięta. Trziszka ukończył Studium Nauczycielskie w Szczecinie, a następnie polonistykę w WSP w Opolu. W latach 1955-62 pracował jako nauczyciel w szkołach wiejskich w Jastrzębniku, Ulimiu i Kłodawie. Po przeprowadzce do Zielonej Góry był dziennikarzem „Gazety Zielonogórskiej”, a w latach 1962-74 redaktorem „Dziennika Ludo-

wego” oraz korespondentem „Zielonego Sztandaru” i „Tygodnika Kulturalnego”.

W 1970 r. Trziszka wyjechał do Warszawy, gdzie pracował jako dziennikarz i redaktor naczelny m.in. „Miesięcznika Literackiego”. Po 1970 r. ukazały się kolejne jego prace – zbiory opowiadań: *Przedmiotowy pejzaż* (1975), *Dobra nowina* (1976), *Z dołu w górę* (1977), *Dać drapaka* (1983) i *Piaszczysta skarpa* (1981), powieści: *Drewniane wesele* (1971), *Dopala się noc* (1971), *Happeniada* (1976), *Już niedaleko* (1978), *Oczerezy* (1979), *Stan skupienia* (1983), *Według Filipa. Apokryf* (1985) i *Wędrówka* (1987), szkic dokumentalny *Na pochybel* (1993), szkice krytycznoliterackie: *Mój pisarz* (1979), *Korzenie plebejusza* (1984), *Leopold Buczkowski* (1987), *Żywe dialogi* (1989) oraz zbiór reportaży *Podróże do mojej Itaki* (1980) i zbiór wspomnień *Wrastanie albo zapisnik samouka* (1982). W 1989 r. wystąpił z ZLP i rok później założył własny Związek Twórczy Pisarzy Polskich, którego został prezesem. Oddział ZTPP założył również w Zielonej Górze, z którą cały czas podtrzymywał kontakty, bowiem tu pozostali jego najbliżsi. Pisarz długo nie mógł odnaleźć się w nowej sytuacji ekonomiczno-politycznej i socjalnej kraju po 1990 r. Zginął śmiercią samobójczą w swoim mieszkaniu na Ursynowie w 2000 r. Krytycy bardzo szybko zaliczyli Trziskę do czołowych pisarzy polskiego nurtu wiejskiego obok takich twórców jak Pięta, Kawalec, Redliński, Nowak, Myśliwski czy Łoziński.

Z kolei Andrzej K. Waśkiewicz (ur. 1941 r. w Warszawie), który w 1961 r. zadebiutował wierszem w „Zarzewiu”, do 1979 r., tj. do chwili wyjazdu z Zielonej Góry wydał zbiory wierszy: *Wstępowanie* (1963), *Strefa pamięci* (1965), *Dzielectwo* (1966), *Przestrzeń po człowieku* (1967), *Próba uzasadnienia* (1970), *Zapis z nieobecności* (1971), *Tożsamość* (1973), *Bezsenna jawa* (1977); powieść *Dom z płaskim dachem* (1966); szkice biograficzne: *Dojrzewanie. Sylwetki zasłużonych działaczy ludowych na Ziemi Lubuskiej* (wspólnie



Zygmunt Trziszka

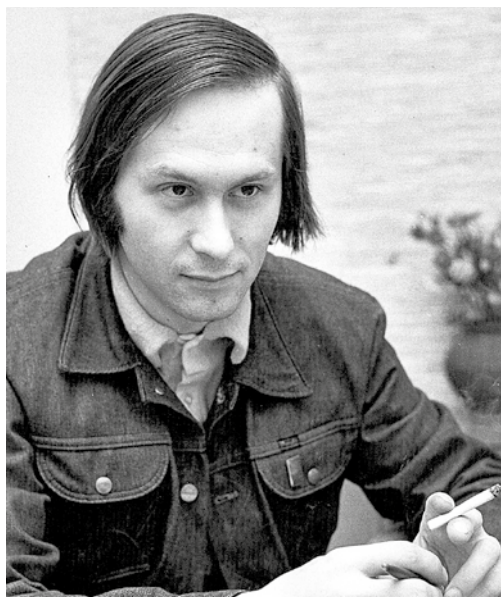
1 B. Gołębiowski, *Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy (1959-1969)*, [w:] *Almanach literacki Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy przy Związku Młodzieży Wiejskiej*, wstęp B. Gołębiowski i R. Sulima, Warszawa 1970, s. 21-22.

z I. Rybczyńską i Z. Trziszką, 1965), *Lubuskie środowisko literackie. Informator* (1970); szkice krytycznoliterackie: *Świadomość pokolenia* (1968), *Rygor i marzenie. Szkice o poetach trzech awangard* (1973), *O poezji Juliana Przybośa* (1977), *Formy obecności „nieobecnego pokolenia”* (1978) oraz *Modele i formuła. Szkice o młodej poezji lat sześćdziesiątych* (1978).

Waśkiewicz ukończył technikum rolnicze w Szprotawie, następnie Studium Bibliotekoznawcze w Jarocinie oraz polonistykę na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. W latach 1963-66 był redaktorem „Gazety Chłopskiej”, a od 1967 r. „Nadodrza”. Mieszkał w Kożuchowie, Lubsku i Zielonej Górze, a następnie w Gdańsku, gdzie był publicystą „Integracji”, „Młodej Sztuki”, „Gazety Gdańskiej” i „Głosu Wybrzeża” oraz redaktorem naczelnym m.in. dwumiesięcznika „Autograf” i „Gdańskiego Rocznika Kulturalnego”. Należał do orientacji poetyckiej „Hybrydy” w Warszawie, był członkiem zielonogórskiego oddziału Związku Literatów Polskich, a od 1979 r. oddziału w Gdańsku. Po przenosinach na Wybrzeże wydał jeszcze zbiory wierszy: *Bezimienna nadzieja* (1980), *Mirbad 7*. (1991), *Suwerenne państwo ob-*

łoków (1994), *W granicach doświadczenia* (1995), *W odwróconej perspektywie* (1996), *Młot* (1996) i *Horyzont zdarzeń* (1999); poemat *Miasto (notatki)* (1998); szkice krytycznoliterackie: *Ósma dekada – o świadomości poetyckiej „nowych roczników”* (1982), *W kręgu „Zwrotnicy”*. *Studia i szkice z dziejów krakowskiej Awangardy* (1983), *Julian Przyboś i awangarda krakowska* (1990), *Krzysztof Kamil Baczyński i poezja pokolenia wojennego* (1991) i *Poezja Władysława Broniewskiego* (1996) oraz baśnie *O skarbach w bytomskim zamku oraz inne podania i baśnie lubuskie* (wspólnie z I. Koniuszową i H. Rutkowską, 1987). Był też wieloletnim przewodniczącym Komisji Kwalifikacyjnej przez Zarządzie Głównym ZLP, a w ostatnich latach wiceprezesem ZLP. Otrzymał nagrodę „Współczesności” w 1962 r., Lubuską Nagrodę Kulturalną w 1978 r. oraz Nagrodę „Faktów”, Nagrodę „Pióra”, Nagrodę Artystyczną Gdańskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuki i Nagrodę Kulturalną Prezydenta Gdańska. Za całokształt dorobku twórczego otrzymał w 2007 r. Nagrodę im. J. Iwaszkiewicza. Zmarł po długoletniej chorobie nowotworowej w Gdańsku w 2012 r. Zaliczany jest obecnie do grona najwybitniejszych współczesnych krytyków literackich.

Trzecim z wielkiego trio członków zielonogórskiego KKMP był Zbigniew Ryndak (ur. 1935 r. w Otorowie koło Szamotuł). Pisarz ukończył technikum przemysłu spożywczego we Wronkach, a następnie studia na wydziale dziennikarstwa i nauk społecznych Uniwersytetu Warszawskiego. Po przeprowadzce z Sulęcina do Zielonej Góry pracował jako dziennikarz „Gazety Zielonogórskiej”. Wydał zbiory opowiadań: *Góry i doliny* (1966) oraz powieść *Drugi brzeg miłości* (1970), za którą otrzymał Nagrodę im. Piętaka. Od tego też czasu jest członkiem zielonogórskiego oddziału ZLP, a krótko należał również do Związku Twórczego Pisarzy Polskich (1990-93). W 1976 r. otrzymał Lubuską Nagrodę Kulturalną. W latach 90. pracował jako felietonista „Gazety Lubuskiej”, a następnie „Zielonogórskiej Gazety Nowej”. Po 1970 r., kiedy wystąpił już ze struktur KKMP, wydał jeszcze zbiory opowiadań: *Zdobycie rzeki* (1986) i *Dziewczyna w okularach* (2011), powieści *Czarne anioły* (1984) i *Smak wiatru w Birke-*



Andrzej K. Waśkiewicz

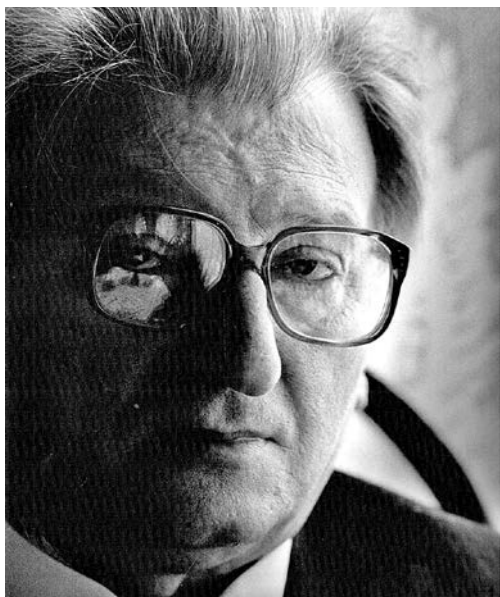
nau (2011) oraz zbiory felietonów *Karawana idzie dalej* (1994) i *Moje zmyły i marzenia* (2013), a także reportaże *Inna barwa księżycy* (2012).

Z pozostałych członków ówczesnego KKMP wyróżniającymi się postaciami byli: Zenon Łukaszewicz, Henryk Ankiewicz, Wincenty Zdzitowiecki i sympatyk ruchu Florian Nowicki – jeszcze z okresu funkcjonowania Klubu w Gorzowie, a po przenosinach do stolicy województwa także: Bronisław Suzanowicz i Tamara Roszak-Janowska z Zielonej Góry oraz Stanisław Neumert ze wsi Gulcz, choć nie wydawali oni zbyt wielu publikacji książkowych, ani żadna z tych osób nie została też członkiem ZLP. Zenon Łukaszewicz (ur. 1934 r. w Rakowie na Wileńszczyźnie), studiował polonistykę na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, obok uprawiania prozy w okresie młodości, później głównie zajmował się krytyką literacką. Debiutował 1951 r. w „Przeglądzie Powszechnym”. W 1962 r. przeniósł się z Gorzowa do Zielonej Góry. Przez wiele lat pracował jako publicysta w „Gazecie Zielonogórskiej”, a następnie jako zastępca redaktora naczelnego „Nadodrza”. Ogłosił drukiem tylko zbiór szkiców biograficznych *Mój alfabet albo pstryczki i potyczki* (1993). W latach

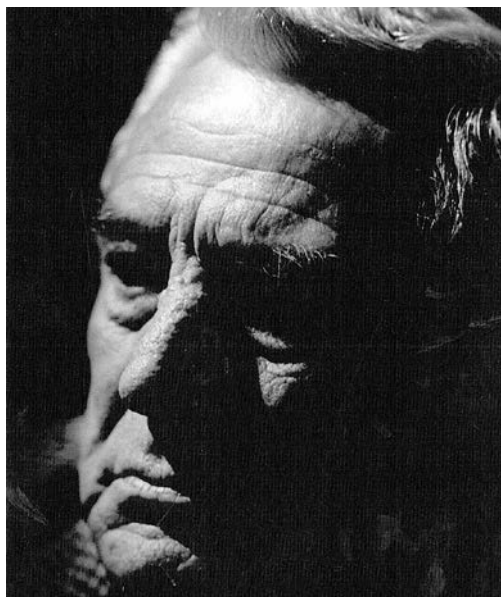
1990-93 był członkiem Związku Twórczego Pisarzy Polskich. Zmarł w Zielonej Górze w 2011 r.

Henryk Ankiewicz (ur. 1933 r. w Obrze pod Wolsztynem), znany publicysta piszący pod pseudonimem „Andabata”, ukończył historię na UAM w Poznaniu i od 1959 r. mieszkał w Gorzowie, gdzie pracował w redakcji „Gazety Gorzowskiej”. W 1963 r. przeniósł się do Zielonej Góry i został dziennikarzem „Gazety Zielonogórskiej”, w której zamieszczał felietony i reportaże. Był także autorem pięciu słuchowisk radiowych. Ogłosił drukiem opowieści *Przechadzki zielonogórskie* (1977), *Zielonogórskie przechadzki muzealne* (1988), *W Obrze jest dobrze* (1996), felietony *Listy z Palmiarni* (1983), szkice wspomnieniowe *Z pamięci i notesu* (1988), *Szkice gorzowskie* (1988), *Ludzie z Palmiarni* (1995) i *Tatarzy gorzowscy* (2001), a także zbiór opowiadań *Zielona noc* (1998) i powieść *Szachy w Łagowie* (1999). Otrzymał Lubuską Nagrodę Kulturalną w 1976 r. i Nagrody Kulturalne Prezydenta Zielonej Góry w 1976 i 1997 r. Zmarł w 2005 r. w Zielonej Górze.

Wincenty Zdzitowiecki (ur. 1941 r. w Listopadówce na Wołyniu), ukończył szkołę zawodową o profilu metalowym, potem liceum, a następnie Studium



Zbigniew Ryndak



Henryk Ankiewicz

Dziennikarskie w Warszawie. W 1957 r. przeniósł się z Drzewic pod Kostrzynem nad Odrą do Gorzowa, gdzie pracował w ZM „Ursus”, ZWCh „Stilon” i GPBP „Przemysłówka”, a później w firmie „Gobex”. Pisał wiersze, opowiadania, reportaże, słuchowiska radiowe i artykuły publicystyczne. Debiutował wierszem w tygodniku „Nowa Wieś” w 1957 r. Był redaktorem naczelnym pism zakładowych „Celuloza” w Kostrzynie i „Gorzowska Przemysłówka” (organ Samorządu Robotniczego Gorzowskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego) oraz miesięcznika partyjnego KL-D „Gorzowski Liberał”. Współpracował z wieloma redakcjami pism, m.in. „Ziemia Gorzowska”, „Panorama Gorzowska”, „Przegląd Gorzowski”, „Gorzowskie Pismo Samorządowe”, „Pegaz Lubuski” oraz pism dla niepełnosprawnych: „Serce i Troska”, „Nasze Forum” oraz „Pochodnia”. Zaczął publikować książki dość późno, bowiem dopiero w latach 90., wydając trzy zbiorki wierszy: *W tym przemysłowym ogrodzie* (1998), *Wiersze o Gorzowie* (1999), *Wszelchświat we mnie* (2003) oraz zbiór opowiadań i reportaży *Niemoc mnie porusza* (2006). Zmarł w 2007 r. w Gorzowie. Pośmiertnie ukazał się tom jego opowiadań *Pisanie światłem* wydany przez gorzowską bibliotekę w 2012 r.

Z kolei Florian Nowicki (ur. 1926 r. w Szymańkowcach na Podolu) ukończył studia w Wyższej Szkole Rolniczej we Wrocławiu oraz Wyższą Szkołę Oficerską w Lublinie. Pracował jako dyrektor Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Spożywczego w Gorzowie, następnie był redaktorem naczelnym „Stilonu Gorzowskiego” (od 1958 r.), a także „Millenium nad Wartą” w 1966 r., „Nadwarcia” – organu milicyjnego w 1969 r. i „Ziemi Gorzowskiej” w 1971 r. Był poetą, prozaikiem, publicystą i felietonistą. Debiutował wierszem w 1957 r. w „Tygodniku Zachodnim”. Wydał zbiór wspomnień *Najkrótszą drogą* (1970) oraz poemat *Z bieli i czerwieni* (1983). Został kandydatem na członka ZLP w 1984 r. Pełnił też funkcję prezesa Gorzowskiego Towarzystwa Kultury w latach 1979-1984. Zmarł w 1984 r. w Gorzowie Wlkp. Pośmiertnie wydano jego powieść *Siódmy kolor tęczy* (1985). Za swoją pracę literacką otrzymał Nagrodę Kulturalną Miasta Gorzowa w 1972 r. i Lubuską Nagrodę Kulturalną w 1983 r.

Bronisław Suzanowicz (ur. 1924 r. w Teklipolu koło Nowogrodka na Litwie), ukończył polonistykę na Uniwersytecie A. Mickiewicza w Poznaniu, a następnie pracował jako inspektor kontroli w urzędach państwowych. Pisał wiersze, prozę, fraszki, satyry i baśnie, był też tłumaczem z języka rosyjskiego i białoruskiego. Debiutował wierszem w 1956 r. w piśmie „Wyboje”. Wydał zbiory wierszy *Spowiedź liryczna* (1959) i *Łot kamienia* (1984), zbiór wierszy dla dzieci *Nad rzeką Bobrem* (1973) oraz dwa szkice wspomnieniowe *Moje spotkania z ludźmi pióra i sceny* (1996) i *Moje życie w Nowym Dworze – z ziem utraconych do ziem odzyskanych. Wspomnienia z lat 1939-1946 w Nowogrodzkiem* (2007). Zmarł w 2010 r. w Zielonej Górze.

Tamara Roszak-Janowska była członkinią zielonogórskiego KKMP w latach 1963-70, następnie przeprowadziła się do Łodzi. Debiutowała opowiadaniem w 1966 r. Już po opuszczeniu Zielonej Góry, gdzie pracowała w muzeum i zajmowała się także fotografią, wydała zbiór opowiadań *Gołębie z opalonymi skrzydłami* (1973). Stanisław Neumert, poeta, malarz i rzeźbiarz ludowy ze wsi Gulcz koło Piły, ukończył technikum rolnicze w Środzie, a następnie studiował polonistykę na UAM w Poznaniu. Debiutował wierszem w 1960 r. w „Tygodniku Kulturalnym”. W latach 1960-64 zamieszczał wiersze w „Nadodrze” i „Stilonie Gorzowskim”. Po 1965 r. związał się z ośrodkiem KKMP „Wiry” w Poznaniu, a latach późniejszych został przyjęty do oddziału poznańskiego ZLP. Zadebiutował publikacją książkową w zielonogórskiej oficynie Lubuskiego Towarzystwa Kultury tomikiem wierszy *Imię* w 1965 r. Później wydał jeszcze zbiorki poezji *Ujście* (1966), *Źródła ziemi* (1972), *Ku wzgórzom światła* (1977), *Popychane wiatrem* (1980) i *Że* (2007).

Podobnie jak Neumert czy Roszak-Janowska, na krótko z zielonogórskim ośrodkiem związani byli w latach 60. Salomea Kapuścińska i Bogdan Loeb. Kapuścińska (ur. 1940 r. w Warszawie) na początku lat 60. przebywała w Zielonej Górze, pracując w bibliotece. W tym okresie wydała tomik wierszy *Chłodo jest oczom* (1962). Pisała również teksty piosenek i słuchowiska radiowe. W latach 1957-61 należała do wrocławskiej grupy „Dlaczego Nie”. Po opuszczeniu

Ziemi Lubuskiej powróciła do Wrocławia. Z kolei Loebel (ur. 1932 r. w Nowosielscy koło Stanisławowa) mieszkał w Zielonej Górze w latach 1965-66 i w tym okresie wydał zbiór opowiadań *Upał* (1965) i powieść *Katarakta* (1966), w której zamieścił wątki związane z Polską Wełną. Jego utwory znalazły się także w almanachu opowiadań pisarzy lubuskich *Podróż do zielonych wzgórz*, wydanego w 1965 r. Loebel pisał również teksty piosenek dla znanych grup bluesowych i big-beatowych, jak: Breakout, Niebiesko-Czarni, Dżem, SBB, Nocna Zmiana Bluesa. Był członkiem opolskiej grupy Formaty i krakowskiej Wielopole. Należał też do rzeszowskiego KKMP, a po opuszczeniu Ziemi Lubuskiej zamieszkał w Józefowie pod Warszawą i został członkiem warszawskiego oddziału ZLP, wcześniej będąc też prezesem oddziału ZLP w Rzeszowie.

Po odejściu w 1967 r. Trziszki z zielonogórskiego ognia KKMP przewodniczącą Klubu została Mirosława Kužel, która kierowała Klubem przez dwa lata. W 1969 roku szefową organizacji została Anna Tokarska, która pełniła funkcję przewodniczącej do 1972 r. Po niej z kolei ośrodkiem KKMP przez cztery lata dowodził Jerzy Chłodnicki. W tym okresie nie dochodziło już do jakichś szczególnych czy spektakularnych działań zielonogórskiego ośrodka. Coraz rzadziej podejmowano się organizacji seminariów czy spotkań autorskich. Nie powstało żadne pismo młodoliterackie pod auspicjami ZMW czy ZSMW², a poza incydentalnym wydaniem *Lubuskiego arkuśa poetyckiego* w 1970 r. nie podejmowano większych inicjatyw wydawniczych. Starsi członkowie ośrodka KKMP opuszczali struktury organizacji, wyjeżdżali z Ziemi Lubuskiej do innych miast, a zdolniejsi odchodzili do ZLP. Jediną imprezą, w jakiej wzięli udział przedstawiciele KKMP, były zielonogórskie

Dni Literatury dla Młodych zorganizowane przez ZLP i LTK w 1974 r.

Od 1965 roku, czyli rok po śmierci Stanisława Piętaka, Zarząd Główny ZMW, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza i redakcja „Tygodnika Kulturalnego”³ postanowili przyznawać Nagrodę Literacką jego imienia w dziedzinie poezji, prozy, dramatu, eseju, publicystyki radiowej, bądź jako nagrodę specjalną za całokształt twórczości. W pierwszym roku Nagrody im. Piętaka otrzymali: Urszula Kozioł, Tadeusz Nowak i Jarosław Abramow-Newerly. W latach następnych laureatami Nagrody zostali m.in. Jerzy Harasymowicz, Adolf Momot, Ernest Bryll, Wiesław Myśliwski (dwukrotnie), Edward Redliński, Edward Stachura (dwukrotnie), Ryszard Miłczewski-Bruno, Tadeusz Nowak (po raz drugi), Henryk Bereza, Jan Goczoł, Marian Grzeźczak, Tadeusz Kijonka, Jan Drzeżdżon, Marek Harny, Józef Baran, Erwin Kruk, Roch Sulima, Józef Łoziński, Adam Ziemianin, Krzysztof Lisowski, Marian Pilot, Tadeusz Siejak, Andrzej Lenartowski, Czesław Szczepaniak, Mieczysław Standlik, Marek Obarski, Marek Sołtysik, Jan Tulik, Ryszard Sadaj, Stanisława Kopiec, Piotr Szewc, Piotr Cieleśz, Krystyna Sakowicz, Michał Samojlik, Piotr Trochanowski, Jerzy Łukosz (dwukrotnie), Kazimierz Brakoniecki, Dariusz Bitner, Janusz Drzewucki, Janusz Rudnicki, Tadeusz Słobodzianek, Tadeusz Komendant, Wacław Oszałka, Zyta Rudzka i Bohdan Zadura oraz trzech autorów lubuskich – Trziszka, Ryndak i Czerniawski. Od 1975 r. Nagrodę po ZMW przejął ZSMP i przyznawano ją do 1994 roku⁴. Od 1968 r., a więc rok po śmierci Jana Śpiewaka – poety i eseisty żydowskiego pochodzenia, z inicjatywy KKMP zaczęto przeprowadzać Ogólnopolski Konkurs Poetycki jego imienia w Świdwinie, który jest jednym z najstarszych tego typu konkursów w Polsce⁵.

2 Związek Młodzieży Wiejskiej w 1973 r. został przemianowany na Związek Socjalistycznej Młodzieży Wiejskiej, wchodząc w skład Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej. Jeszcze w 1970 r. ZMW liczył około miliona członków, potem jego liczba zaczęła maleć. W 1980 r. skupiał niecałe 200 tysięcy osób. Po 1989 r., kiedy nastąpiła reaktywacja ZMW, zrzeszał on 450 tys. osób, a w 1994 r. już tylko 50 tys.

3 Pismo społeczno-literackie „Tygodnik Kulturalny” związane było ze Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym, ukazywało się w latach 1961-1990, wcześniej ukazywało się jako czasopismo „Orka”.

4 W latach 1988-1989 uruchomiono przy LSW serię „Biblioteka Laureatów Nagrody im. Stanisława Piętaka”, jednak ukazały się w niej tylko dwie książki – Adolfa Momota *Tyle słońca* w 1988 r. i rok później *Sień* Mariana Pilota.

5 Od 2005 r. Konkurs nosi imię Jana Śpiewaka i Anny Kamieńskiej, żony poety, zmarłej w 1986 r.

W 1974 roku ogólnopolski ruch KKMP obchodził rocznicę 15-lecia istnienia, skupiając przeszło 600 ludzi pióra z całego kraju⁶. Wówczas Sekretariat Rady Krajowej KKMP i Wydział Kultury Zarządu Głównego ZSMW wydali broszurę informacyjną *KKMP – XV lat zmagania i sukcesów*, w którym za istotne uznali stworzenie szerokiego forum wypowiedzi w postaci ogólnopolskiego pisma dla członków ruchu i dalszą pomoc w rozwoju twórczości literackiej młodych, inspirowanej ideami socjalizmu i zgodnej z linią partii:

Jeśli chciałoby się wskazać najbardziej charakterystyczną cechę Klubu, jako ruchu społeczno-literackiego – to bez wątpienia byłaby nią jego trwałość. Profil Klubu określa nowocześnie pojęta problematyka regionalna ukazana na szerokim tle przemian społeczno-kulturalnych kraju. Istotnym celem byłoby poszukiwanie odpowiedzi na pytanie, które stawiała przed środowiskami partia: jak literatura, zachowując swą tożsamość artystyczną i prawo do twórczych poszukiwań – które warunkują jej rozwój – ma jednocześnie właściwymi sobie środkami oddziaływać na społeczeństwo w duchu socjalistycznej ideologii? [...] Funkcje takiego pisma spełniały dotychczas „Regiony”. Uzyskały one ostatnio status kwartalnika społeczno-kulturalnego, który [...] wchodzi do sprzedaży i prenumeraty. W tej sytuacji „Regiony” nie będą mogły spełniać dotychczasowej roli. Nie będą reprezentantem ruchu i trybuną dla jego członków. Wychodząc naprzeciw postulatom i potrzebom ponad sześćsetosobowej rzeszy młodych pisarzy, poetów i krytyków postanowiliśmy przygotować pierwszy numer biuletynu KKMP „Okolice”, który będzie zawierał aktualne informacje, sprawozdania, kronikę oraz debiuty. Można mieć nadzieję, że podobnie jak „Regiony” spełni on swoje zadanie zarówno w działalności organizacyjnej, jak i programowej⁷.

Z okazji jubileuszu ruchu ukazał się biuletyn „Okolice” oraz informator bibliograficzny członków

KKMP z lat 1959-1974 zredagowany przez Renę Marciniak i Władysława Wągiela. Uwzględniono w nim notki biograficzne trzynastu autorów związanych z zielonogórskim ośrodkiem KKMP, który zwłaszcza w latach 60. należał do najbardziej aktywnych w kraju. W informatorze znalazły się informacje o Czesławie Czyżu, Mirosławie Kuźel, Gustawie Łapszyńskim, Stanisławie Neumercie, Florianie Nowickim, Tamarze Roszak, Zbigniewie Ryndaku, Czesławie Sobkowiaku, Bronisławie Suzanowiczu, Annie Tokarskiej, Zygmuncie Trziszce, Andrzej K. Waśkiewicz i Jerzym Werstlerze. Z grona lubuskich autorów KKMP debiutanckie książki poetyckie wydrukowane przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą i Radę Krajową KKMP wydali: Tokarska w 1968 r. *Portret z ptakiem*, Chłódnicki w 1974 r. *W dziewannie i łazuka* dwa lata później *Przejdę sad*.

We wspomnianym okresie, a więc w latach 1967-1975 pierwszoplanowymi postaciami zielonogórskiego KKMP byli: Anna Tokarska i Mirosława Kuźel z Zielonej Góry, Wojciech E. Czerniawski ze Szprot-



Anna Tokarska

6 Więcej piszących zrzeszał w PRL tylko Związek Literatów Polskich, ok. 800 członków w latach 70. XX w.

7 S. Miller, *Stare „Okolice”*, „Okolice” 1987, nr 12, s. 130-131.

wy, Czesław M. Czyż ze wsi Brzoza, Jerzy J. Werstler z Żar i Gustaw A. Łapszyński ze Świebodzina.

Anna Tokarska (ur. 1936 r. w Łodzi) ukończyła polonistykę w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze. Pracowała w rektoracie WSP i jako kierownik literacki w Lubuskim Teatrze. Debiutowała wierszem w 1964 r. w „Nadodrzcu”. Wydała tomiki wierszy: *Portret z ptakiem* (1968), *Monologi o nie-pamięci* (1970), *Zapis wędrowny* (1975), *Ból pozor-nie za duży* (1976), *Moje wiersze posiwiaty* (1997) i *W białym mieszka anioł* (2001), za który otrzymała Lubuski Wawrzyn Literacki. W latach 1976-1981 należała do zielonogórskiego oddziału Związku Literatów Polskich, który zdelegalizowano w stanie wojennym. Po reaktywacji „neozlepu” w 1983 r. nie wstąpiła już w jego szeregi.

Wojciech Czerniawski (ur. 1945 r. w Gołębiewku koło Tczewa) ukończył technikum rolnicze w Szprotawie, a potem pracował jako inspektor w Centrali Nasiennej. Debiutował wierszem w 1962 r. w „Zarzewiu”. Wydał tomiki wierszy: *Za las* (1965), *Jest już chyba kobietą* (1976), *Niemożliwe* (1981), opowiadanie *Katedra w Kolonii* (1985) oraz powieści *Dziennik z zapomnienia* (1980), *Puszkina w Paryżu* (1981), *Challenger łąduje na twoich ustach* (1988) i *Meduzy wloką się za mną* (1989). Był kandydatem na członka Związku Literatów Polskich w 1981 roku. Otrzymał Nagrodę Twórczą Młodych „Zielone Grono” i Wydawnictwa „Iskry” w 1980 r., Nagrodę im. Aleksandra Kowalskiego-Olka w 1982 r., Lubuską Nagrodę Kulturalną w 1983 r., Nagrodę Ludowej Spółdzielni Wydawniczej w 1986 r., Nagrodę Wojewody Zielonogórskiego w 1989 r. oraz Nagrodę im. S. Piętaka za *Meduzy wloką się za mną*. Wielokrotnie laureat w konkursach ogólnopolskich i nagród wydawnictw krajowych, określany mianem „cudownego dziecka” lubuskiej literatury, pozostał jednak jej niespełnioną nadzieją. Od lat mieszka w Szprotawie, przebywając na rencie.

Czesław M. Czyż (ur. 1934 r. w Zajezierzu woj. radomskie) ukończył filologię polską w Wyższej Szkole Nauczycielskiej w Zielonej Górze. Zajmował się poezją i krytyką literacką. Debiutował wierszem w 1958 r. w „Nadodrzcu”. Wydał tomiki wierszy: *Okolice do zapamiętania* (1965), *Pogo-*

da człowieka (1970) i *Tak się dziś wierszy nie pisze* (1984). Mieszkał m.in. w Gościmiu, Zwierzynie, Brzozie i Górkach Noteckich. Po reaktywowaniu ośrodka KKMP w Gorzowie był ponownie członkiem tego ośrodka. Zmarł w 1997 r. w Górkach Noteckich.

Gustaw A. Łapszyński (ur. 1942 r. w Rohaczynie na Podolu), uczył się w średniej szkole technicznej w Opolu, potem ukończył Liceum Ekonomiczne w Międzyrzeczu. Związany był z ośrodkiem KKMP w Opolu, a od 1967 r. z zielonogórskim KKMP. Debiutował wierszem w 1962 r. w „Zarzewiu”. Pisał wiersze, opowiadania i baśnie. Był m.in. instruktorem i wychowawcą OHP, redaktorem naczelnym miesięcznika „Zachód” i pisma samorządowego w Świebodzinie oraz prowadził własne wydawnictwo „Akapit”. Wydał tomiki wierszy: *Barć kluczborska* (1967), *Kształt miejsca* (1970), *Pole uprawne* (1976), *Żywe drewno* (1979), *Spojrzenia* (1987) oraz zbiór baśni *O zbójcach, kacie i strasznych mieszczanach* (1997), a także opowiadania *Sezon pięknych*



Wojciech Czerniawski

ludzi (1997). Został członkiem Związku Literatów Polskich w 1984 r., należał również do Klubu Pracy Twórczej „Formaty” istniejącego w Świebodzinie w latach 1973-1981. Mieszkał w Opolu, Międzyrzeczu i Świebodzinie, gdzie zmarł w 2002 r. Na ścianie świebodzińskiej kamienicy, w której mieszkał, znajduje się pamiątkowa tablica poświęcona artyście.

Jan Janusz (także Jerzy) Werstler (ur. 1939 r. w Kałuszu koło Stanisławowa), ukończył studia w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Gdańsku. Pracował jako nauczyciel i urzędnik. Zadebiutował wierszem w 1964 r. w „Nadodrze”. Wydał zbiory wierszy: *Pytania* (1970), *Krajobrazowo* (1991), *Najbliżej serca* (1998), *Rozpytywanie sumienia* (1998), *Ocalone w słowie* (2001), *Im Wort erthalten...* (2002 w jęz. niemieckim), *Psalm o mieście* (2005), *Kunickie strofy* (2008), *Pożegnanie jabłoni* (2009) oraz opowieść



Janusz Werstler

wspomnieniową *Żary krajobrazowo* (1995). Należał do Żarskiej Grupy Młodych Twórców i grupy literackiej „Dziewin” w latach 1957-1972. W 1998 r. został członkiem zielonogórskiego oddziału ZLP. Otrzymał Lubuski Wawrzyn Literacki w 2002 r. i Srebrną Różę Żarskiego Towarzystwa Kultury w 2004 r. Od wielu lat mieszka w Żarach, przebywając na emeryturze.

W połowie 70. w Zielonej Górze zamieszkał również Bogusław Kierc (ur. 1943 r. w Bielsku-Białej), poeta, krytyk, reżyser oraz aktor filmowy i teatralny, wcześniej członek rzeszowskiego, opolskiego i wrocławskiego KKMP, „Ugrupowania 66” oraz grupy poetyckiej „Skarabeusz”, która istniała w Bielsku-Białej w latach 1961-63. W okresie jego pobytu na Ziemi Lubuskiej jego wiersze znalazły się w almanachu młodej poezji lubuskiej *Moment wejścia* (1976). Po wyjeździe powrócił do Wrocławia, gdzie pracował jako aktor Teatru Współczesnego i wykładowca PWST.

Zielonogórski ośrodek KKMP w latach 60. i 70. sporadycznie podejmował starania o wydanie zbioru wierszy czy opowiadań swoich członków, a próby te przeważnie z braku funduszy kończyły się fiaskiem. Młodzi pisarze skupieni w KKMP zmuszeni byli zatem publikować na łamach prasy młodoliterackiej, głównie w pismach KKMP – ogólnopolskich „Regionach” i „Biuletynach Informacyjnych KKMP”, wrocławskich „Kontrastach Odrzańskich”, „Agorze”, „Kamienie” oraz w zeszytach ruchu kulturalnego i artystycznego ZSP „Orientacja”, bądź w czasopiśmie ZMW – „Głosie Młodzieży Wiejskiej” i „Nowej Wsi” lub w periodykach regionalnych – „Nadodrze” i „Ziemi Gorzowskiej”⁸. Dość łatwy dostęp do publikacji na łamach ogólnopolskich pism młodoliterackich umożliwiał udział w pracach redakcji tych pism czołowych przedstawicieli zielonogórskiego ośrodka KKMP; np. Trziszka był redak-

8 Zob. R. Rudiak, *Życie literackie w Zielonej Górze w pierwszej połowie lat 70.*, „Studia Zielonogórskie” 2005, t. 11, s. 95-116.

9 „Regiony” były biuletynem ZG ZMW wydawanym od 1969 r. W 1972 r. pismo stało się biuletynem kwartalnym ZG ZMW, KKMP i LSW, a rok później kwartalnikiem społeczno-kulturalnym.

10 Był to biuletyn regionalny ZMW i KKMP wydawany we Wrocławiu. Wcześniej nosił tytuł „Kontrasty”. Podobne wychodziły często jako jednodniówki lub biuletyny wewnętrzne ZMW wydane techniką powielaczową np. „Próby Literackie” i „Okolice” w Warszawie, „Młodzi Piszą” w Bydgoszczy oraz „Próby Literackie” i „Młodzi Piszą” Rzeszowie.

torem „Regionów”⁹, Tokarska – członkinią zespołu redagującego „Kontrasty Odrzańskie”¹⁰, natomiast Waśkiewicz wchodził w skład kolegium warszawskiej „Orientacji”¹¹.

Nadziei na przezwycięzenie widocznego w połowie lat 70. stanu apatii, bezwładu środowiskowego i oznak narastającego kryzysu, upatrywano w rozwoju życia kulturalnego, jakie zaczynało kiełkować na obu zielonogórskich uczelniach, oraz w powstaniu akademickiego ruchu pisarskiego, zwiastunem którego było pojawienie się jednodziówek i biuletynów studenckich, grup poetyckich oraz teatrów studenckich. Andrzej K. Waśkiewicz, pisząc na temat sytuacji lubuskiego środowiska literackiego w połowie lat 70., szans na jego przyszły rozwój upatrywał właśnie w raczkującym ruchu studenckim:

Stan z roku 1975 wiąże się zarówno z niedomaganiami lokalnego mecenatu, jak i malejącą rolą mniejszych ośrodków kulturalnych. Na ile doświadczenia tego środowiska dadzą się kontynuować w zmienionych warunkach? Na ile szansą ruchu młodoliterackiego jest powstanie uczelni wyższych i rozwój ruchu studenckiego? Na ile możliwy jest do przełamania trwający od kilku lat kryzys? [...] Pewne jest tylko, że doświadczenia minionych dwudziestu lat nie mogą być zmarnowane¹².

W 1976 r. utworzono Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, który powstał z połączenia trzech organizacji młodzieżowych: Związku Młodzieży Socjalistycznej, Socjalistycznego Związku Młodzieży Wojskowej i Związku Młodzieży Wiejskiej¹³, pod szyldem którego działały dotąd Korespondencyjne Kluby Młodych Pisarzy. Stąd w 1976 r. zielonogórski KKMP pozbawiony dotychczasowego patrona, przeszedł pod skrzydła Zarządu Woje-

wódzkiego ZSMP. Zmiana organizacji patronackiej spowodowała, że odczuwalny do połowy lat 70. marazm w ogólnopolskim ruchu KKMP zaczął zanikać, a rzutki jak na tamte czasy, nowo powstały Związek potrafił przyciągnąć do swoich struktur znacznie więcej młodzieży niż skostniały Związek Młodzieży Wiejskiej. Wraz z zakrojonymi na szeroką skalę działaniami propagandowymi i ideologicznymi, skierowanymi głównie do rzeszy młodzieży szkolnej, studenckiej i pracującej spowodował także, że poszerzyło się spektrum oddziaływania ZSMP. Do swoich struktur nowych Związek przyciągał młodzież nie tylko wiejską i małomiejsteczkową, ale przede wszystkim ze średnich i dużych miast. Znaczenie miała też rozpiętość wieku członków ZSMP, bowiem w jego szeregi mogła wstępować młodzież w wieku od 15 do 35 lat. Ważny był również aspekt indoktrynacji politycznej młodych osób, gdyż ZSMP aż do 1989 r. pełnił formalnie funkcję przybudówki PZPR, a nowa organizacja miała być dla partii swoistą kuźnią przyszłych kadr.

ZSMP miał za zadanie działać we wszystkich środowiskach młodzieżowych i integrować młodzież pod sztandarem socjalizmu. Działania ZSMP obejmowały sporo dziedzin życia młodzieży, jak turystyka, sport, szkolenia i kursy zawodowe oraz prowadzenie wielu grup zainteresowań. ZSMP przejął nie tylko bazę socjalną po przyłączonych organizacjach, ale otrzymywał też spory zastrzyk środków z funduszu partii. I choćby też z tego powodu łatwiej mu było aktywizować w swoje działania młodych ludzi. ZSMP posiadał własne biuro podróży Juventur, kilka ośrodków szkoleniowo-wypoczynkowych, szeroką bazę turystyczno-sportową i trzy organy prasowe – „Gazetę Młodych”, „Walkę Młodych” i „Płomień”, nadzorował również działalność Ochotniczych Hufców Pracy, które były także polem agitacji młodych.

11 Zob. A. K. Waśkiewicz, *Lubuskie środowisko literackie w latach 1955-1973*, „Rocznik Lubuski” 1978, t. 10, s. 250. Obok Andrzeja K. Waśkiewicza na przełomie lat 60. i 70. do Orientacji Poetyckiej „Hybrydy”, założonej w marcu 1960 r. przy Centralnym Klubie Studentów Warszawy, należała także Mirosława Kuźel. Dokładnie rzecz ujmując, Waśkiewicz i Kuźel należeli tylko do „kręgu Orientacji”, który skupiał twórców wyłącznie spoza stolicy. Klub „Hybrydy” poza pismem „Orientacja” wydawał też miesięcznik „Nowe Widzenia” (wcześniej „Widzenia”) oraz prowadził teatr i kabaret.

12 *Idem*, *O lubuskim środowisku literackim*, „Przegląd Lubuski” 1975, nr 5, s. 49.

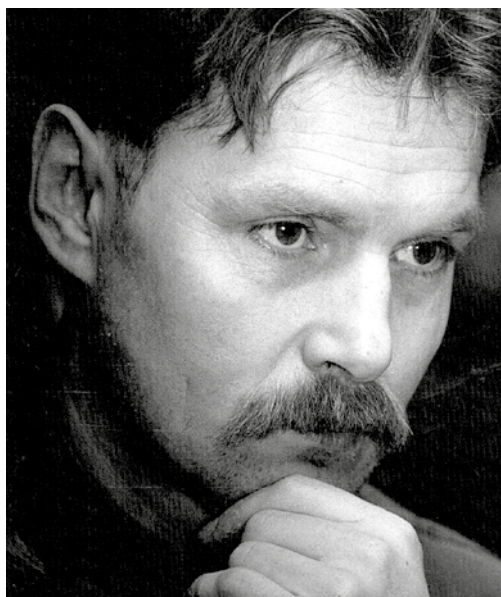
13 Połączenie z innymi organizacjami spotkało się wówczas ze sprzeciwem większości członków ZMW.

Pierwsze lata działalności nowego Związku były istnym boomem, bowiem w chwili zawiązania liczył on już 2,5 miliona osób. W najlepszym okresie swojej działalności ZSMP, tj. w 1979 r. zrzeszał blisko 3 miliony członków. Z początkiem lat 80. liczba ta drastycznie zmalała niemal o połowę, a przyczyną spadku liczby członków¹⁴ i popularności samej organizacji były narodziny Solidarności, a następnie stan wojenny.

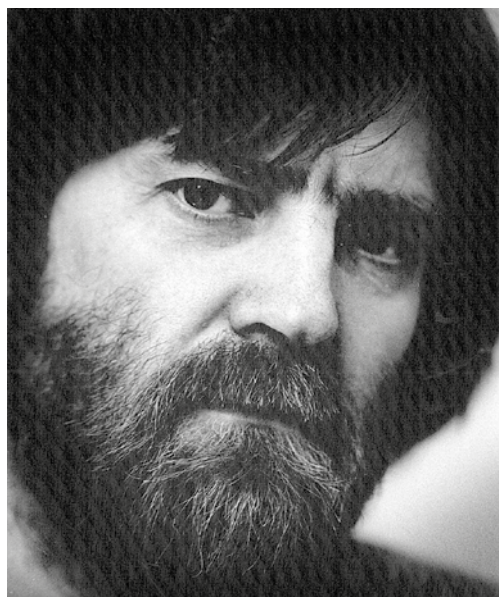
Zielonogórski KKMP przy ZW ZSMP szybko przyciągnął do swojej organizacji młode osoby z województwa zielonogórskiego z różnych środowisk, głównie studenckich i inteligenckich. Nowymi członkami KKMP zostali m.in.: Benedykt Banaszak, Jerzy Chłodnicki, Jan Jerzy Dębek, Czesław Markiewicz, Jolanta Pytel, Jerzy Rządcki, Alfred Siatecki i Piotr Antoni Szmigiel – wszyscy z Zielonej Góry oraz Jerzy Habich z Żar, Romuald Marek Jabłoński z Torzymia, Zbigniew Marian Jelinek z Książa Śląskiego, Eugeniusz Marian Konieczny z Gorzowa Wlkp., Eugeniusz Kurzawa ze Zbąszynia, Czesław Sobkowiak

z Zawady, Leon Staśkiewicz ze Świebodzina i Andrzeja Weber z Zaboru. Większość nowo przybyłych to osoby urodzone w latach 50., które studiowały w zielonogórskiej WSP. Tak było w przypadku Jabłońskiego, Koniecznego, Kurzawy, Markiewicza, Pytel, Rządckiego czy Webera. Były to osoby liczące wówczas między 20 a 29 lat, np. Siatecki i Banaszak mieli po 29, Sobkowiak i Warszawski po 26 lat, Pytel 24, Habich 23, Kurzawa, Konieczny, Markiewicz i Rządcki po 22 lata, Weber i Jelinek po 21, a Jabłoński liczył 20 lat. Najstarszymi w tej grupie pozostawali Łapszyński, który liczył 34 lata, Chłodnicki – 33 lata i Dębek – 30 lat.

Zdecydowana też większość nowych członków Klubu swój debiut prasowy zaznaczyła na łamach lokalnego dwutygodnika społeczno-kulturalnego „Nadodrze”, a niektórzy w jednodniówce studenckiej „Faktor”. Wiele członków zielonogórskiego ośrodka po ukończeniu studiów związało się zawodowo z dziennikarstwem (np. Chłodnicki, Siatecki, Dębek, Kurzawa, Markiewicz, Łapszyński, Jelinek), bądź



Czesław Markiewicz



Eugeniusz Kurzawa

14 W latach 1982-1988 ZSMP liczył już niecałe 1,5 mln członków, w 1989 r. – 600 tys., w 1991 r. liczba ta spadła do 100 tys., a w 1991 r. zrzeszał już tylko kilkanaście tysięcy osób.

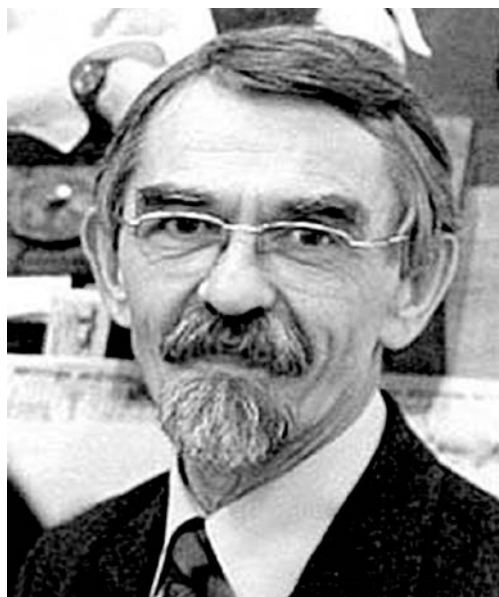
podjęło zatrudnienie w szkołach i placówkach oświatowo-kulturalnych. Spora też grupa po osiągnięciu celu, jakim był debiut na łamach prasy czy w zbiorowej publikacji książkowej, zarzucała swoją przygodę z pisarstwem, np. Dębek, Staśkiewicz, Szmigiel i Rządski. Inni czynili to po ukazaniu się debiutanckiego tomu wierszy, niekiedy po wydaniu dwóch-trzech książek, jak np. Banaszak, Chłodnicki, Habich, Jelinek, Weber, Jabłoński czy Konieczny.

Benedykt Banaszak (ur. 1947 r. w Wilkowie koło Głogowa, zm. 2004 r. w Zielonej Górze), ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Zadebiutował wierszem w 1968 r. w „Nadodrze” i wydał tylko jeden tomik wierszy *W potrzasku myśli* (1976), pośmiertnie zaś ukazał się jego zbiorek *W lustrze pamięci* (2005). Jerzy Chłodnicki (ur. 1943 r. w Limanowej), studiował pedagogikę pozaszkolną na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Debiutował wierszem w 1964 r. w „Głosie Młodzieży Wiejskiej”. Zajmował się również publicystyką i tłumaczeniami z języka

szwedzkiego i rosyjskiego. Działał w Uniwersytecie Ludowym w Klenicy oraz prowadził Młodzieżową Wszechnicę Dziennikarską przy ZSMP i redagował jednodniówkę ZSMP „Winnica”. Wydał dwa tomiki wierszy: *W dziewannie* (1974) i *Galaktyka* (1976). Jerzy Habich (ur. 1953 r. w Szprotawie) debiutował wierszem w 1973 r. w „Nadodrze”. Wydał jeden tomik poetycki *Przed sobą* (1979). Romuald Marek Jabłoński (ur. 1956 r. w Krośnie Odrzańskim), ukończył polonistykę w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze. Debiutował w „Faktorze” w 1976 r. Zajmuje się poezją i krytyką literacką. Wydał arkusze poetyckie: *Całkiem inna Biblia, całkiem inna Baśń* (1976) i *Wiersze* (1979) oraz tomiki poetyckie: *Modlitwa do umarłych* (1993), *Z sercem w obłokach* (1998), *Epifanie albo W poszukiwaniu banatu* (1999). Jest również autorem pięciu książek o tematyce dydaktycznej. Pracuje jako nauczyciel i pracownik dydaktyczny Uniwersytetu Zielonogórskiego. Andrzej Weber (ur. 1955 r. w Świebodzinie), ukończył pedagogikę kulturalno-oświatową w Wyższej Szkole Pedagogicznej



Jolanta Pytel



Benedykt Banaszak

w Zielonej Górze. Debiutował wierszem w 1976 r. w „Nadodrze”. Wydał dwa zbiorki wierszy: *Uciec jak najbliżej* (1979) i *Dyszkantem* (1979). Mieszkał w Zaborze pod Zieloną Górą, a obecnie w Niemczech. Zbigniew Marian Jelinek (ur. 1955 r. w Zielonej Górze), ukończył Państwowe Studium Kultury i Oświaty Dorosłych w Poznaniu. Debiutował wierszem w 1975 r. w „Nadodrze”. Wydał tomiki wierszy: *Ten mężczyzna z wiersza* (1985), *Małe życie* (1986) oraz powieść *Dział ogłoszeń* (1984). Pracował m.in. w Estradzie, bibliotece, później prowadził też własną działalność gospodarczą. Był redaktorem pisma związkowego „Start” NSZZ „Solidarność”, a w latach 90. także redaktorem naczelnym pism: „Winnica Zielonogórska” przy RW ZSMP, „Aktualności Kożuchowskich” i „Gońca Lokalnego”. Obecnie prowadzi internetowy blog informacyjny. Od 1985 r. jest członkiem Związku Literatów Polskich, a w 1993 r. należał również do Związku Twórczego Pisarzy Polskich, wcześniej zaś do grupy poetyckiej „Pięta kolumna”. Mieszka w Książu Śląskim koło Kożuchowa. Z kolei ostatnią efemerydą spośród członków KKMP był Jan Jerzy Dębek (ur. 1946 r. we Wrocławiu, zm. 1984 r. w Zielonej Górze), który był poetą i publicystą, pracował w „Gazecie Lubuskiej”, należał także do aktywu ZSMP. Zadebiutował wierszem w 1976 r. w „Nadodrze”. Pośmiertnie wydano zbiór jego wierszy *Zapewne mnie zrozumiesz* (1987). Poza wymienionymi autorami kilku członków Klubu zdecydowało się kontynuować kariery literackie, nawet po kilkuletnich przerwach.

Reforma administracyjna kraju w 1975 r. sprawiła, że powiatowy dotąd Gorzów stał się stolicą nowo powstałego województwa. Stąd już rok później – z chwilą pojawienia się nowej organizacji młodzieżowej, przy tamtejszym Zarządzie Wojewódzkim ZSMP również utworzono, a w zasadzie reaktywowano KKMP. W jego szeregach znaleźli się m.in. Czesław M. Czyż, Kazimierz J. Furman, Władysław Łazuka, Maria Przybylak, Tadeusz E. Zaborowski, Wincenty Zdzitowiecki oraz Eugeniusz M. Konieczny, który powrócił do Gorzowa po studiach

w Zielonej Górze. Przewodniczącym został Tadeusz Eugeniusz Zaborowski, który pełnił tę funkcję do rozwiązania ośrodka w 1981 r. Przez pięcioletni okres istnienia ośrodka KKMP w Gorzowie należało do niego blisko 30 twórców z terenu całego województwa gorzowskiego. Najwięcej młodych literatów było z samego Gorzowa, ale byli również z Barlinka, Santoku, Choszczna, Górek Noteckich, Zwierzynia czy Kostrzyna nad Odrą. Duża była też rozpiętość wiekowa członków – od ludzi młodych, dwudziestokilkulatków, po osoby znacznie przekraczające 40 rok życia, np. Konieczny liczył po ukończeniu studiów 25 lat, Furman 27, Łazuka i Zaborowski po 30, Zdzitowiecki miał 35 lat, Czyż 42 lata, a najstarsza w tej grupie Przybylak liczyła już 47 wiosen.

Zdecydowana większość członków drukowała swoje wiersze w prasie gorzowskiej lub w „Nadodrze”, rzadziej komu udało się publikować w pismach ogólnopolskich. Ośrodek KKMP przy ZW ZSMP nie miał też ani własnego organu prasowego, ani tym bardziej wydawnictwa, stąd szanse na druk własnej książki poetyckiej były zerowe. Dlatego większość członków KKMP należało jednocześnie do innych organizacji, które dysponowały większymi możliwościami finansowymi lub poligraficznymi. Wiele osób należało w tym samym czasie do Klubu Literackiego przy Gorzowskim Towarzystwie Kultury¹⁵ powstałego w 1975 r. (np. Furman, Przybylak, Czyż i Łazuka) czy sekcji literackiej Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury założonego w 1981 r. (np. Przybylak, Konieczny, Zdzitowiecki) i w oficynach tychże instytucji najczęściej debiutowali.

W 1976 r. ukazał się pierwszy na Ziemi Lubuskiej almanach młodej poezji lubuskiej *Moment wejścia* opracowany przez Andrzeja K. Waśkiewicza, a wydany przez Wydawnictwo Poznańskie. Znalazły się w nim wiersze 23 poetów z województw zielonogórskiego i gorzowskiego. Z członków KKMP teksty w almanachu zamieścili: Benedykt Banaszak, Jerzy Chłodnicki, Wojciech Czerniawski, Jerzy Habich, Zbigniew M. Jelinek, Bogusław Kierc, Gustaw A. Łapszyński, Czesław Markiewicz, Jolanta Pytel,

15 Od 1970 r. funkcjonował Klub Literacki przy Gorzowskim Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym, jednak z chwilą powstania województwa gorzowskiego GTS-K przekształcono w Gorzowskie Towarzystwo Kultury.

Czesław Sobkowiak, Mieczysław J. Warszawski i Andrzej Weber z ośrodka zielonogórskiego oraz Kazimierz J. Furman i Wincenty Zdzitowiecki z klubu gorzowskiego.

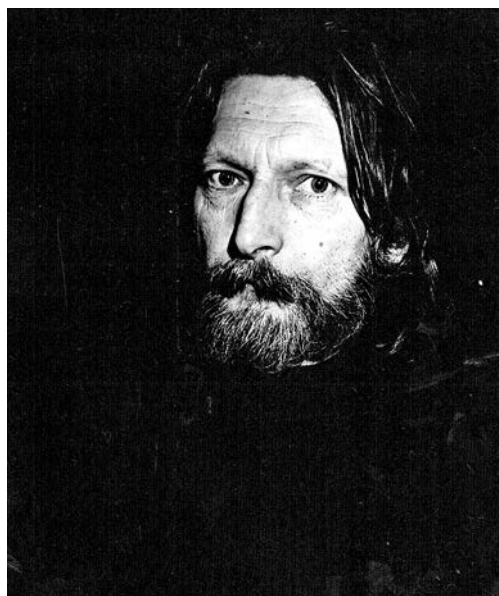
Jeszcze w 1980 r. wydano w Warszawie jeden z ostatnich już ogólnopolskich almanachów członków KKMP *Okolice wyobraźni*, w którym znalazły się wiersze m.in. Kazimierza Furmana.

Działania ośrodka gorzowskiego nie były też jakoś szczególnie imponujące. Klub ogłosił w 1976 r. konkurs jednego wiersza i na tym praktycznie jego aktywność się zakończyła. Można rzec, że działalność ośrodka KKMP zamarła po już 1979 r. Oficjalnie jednak ośrodek w Gorzowie Wlkp. zlikwidowano w 1981 r., identycznie jak zielonogórski, tj. po ogłoszeniu stanu wojennego. Ogólny chaos społeczno-kulturalny i bierność organizacji młodzieżowych, w tym KKMP oraz rozproszenie młodych piszących, dotyczyły wszystkie ośrodki w kraju pod koniec lat 70., co zauważył Andrzej K. Waśkiewicz, pisząc:

[...] instytucje młodej literatury powstałe na początku lat sześćdziesiątych zmieniły nieco swoje zadania i funkcje. Najwyraźniej może jest to widoczne w ruchu KKMP, który zatracił swe instrumentalne funkcje. Jeśli bowiem w latach sześćdziesiątych jego programy miały stanowić przeciwwagę dla „artystowskich”, „oderwanych od życia” programów innych ugrupowań twórczych, po doświadczeniach „Nowej fali” tego rodzaju argumentacja okazywała się bezzasadna. Po powstaniu zaś „Regionów”, jako periodyku reprezentującego interesy „nurtu wiejskiego w literaturze”, także ten element programu KKMP stracił swą atrakcyjność... Koła młodych, przemianowane na Kluby Początkujących Pisarzy funkcjonują jako dobudówka zawodowej organizacji pisarskiej. Nie organizują imprez typu Zjazdów Młodej Literatury, których znaczenia trudno przecenić, ograniczają się raczej do działalności szkoleniowej i socjalno-bytowej [...] obecny

stan ruchu młodzieżowego nosi wszelkie cechy stadium przejściowego. Istnieje w tej chwili [...] potrzeba pewnej centralizacji. A więc np. powołania pisma artystycznego młodych o formule zbliżonej do formuły Orientacji. Istnieje konieczność zapewnienia ciągłości istniejących już inicjatyw wydawniczych (myślę tu przede wszystkim o serii „Pokolenie, które wstępuje”), wreszcie system przemyślanych powiązań między ruchem artystycznym młodych, a organizacjami młodzieżowymi¹⁶.

Ośrodek gorzowski, podobnie jak zielonogórski i wiele im podobnych w kraju, spełnił jednak swoje zadanie, jakim było merytoryczne przygotowanie przyszłych pisarzy do uczestnictwa w życiu literackim. Kilku z nich bowiem kontynuowało swoje kariery literackie i poczynszy od drugiej połowy lat 70. ubiegłego wieku, zaczęli wydawać debiutanckie książki lub następne pozycje. Z młodszych członków KKMP najszybciej własną publikacją zadebiutowa-



Kazimierz Furman

16 S. Miler, *op. cit.*, s. 135-136.

li Furman i Łazuka w 1976 r., a cztery lata później także Przybylak. Do najciekawszych uczestników gorzowskiego ruchu KKMP należał Furman i nieco starsi Łazuka i Czyż, którzy należeli już do ośrodka KKM w Gorzowie, a potem zielonogórskiego. Zresztą samodzielne publikacje odnotowali także pozostali – Zdzitowiecki, Zaborowski i Konieczny, którzy debiutowali dopiero w latach 90. ubiegłego wieku, przede wszystkim dzięki wolnemu rynkowi wydawniczemu, bowiem wydawali książki albo własnym sumptem, albo przy pomocy finansowej swoich zakładów pracy, jak Gobex czy IBEN.

Kazimierz Furman (ur. 1949 r. w Jędrzejewie koło Piły, zm. 2009 w Gorzowie Wlkp.), ukończył liceum w Gorzowie, debiutował w 1974 r. w „Nadodrzu”. Wydał tomiki wierszy: *Powrót do osłupienia* (1976), *Kształcenie pamięci* (1980), *Drzewo grzechu* (1989), *Kalendarz polski* (1993), *Doświadczenie nieobecności* (1993), *Wiersze* (1995), *Kazimierz Furman w obiektywie Zenona Kmiecika. Wiersze* (1996), *I jeszcze nic nie wiem* (1998), *Odmienne stany obecności* (1998), *Autoportret z drugiej ręki* (1999), *Drzewo grzechu plus* (2000) oraz *Brzemie* (2008). Autor otrzymał Nagrodę Kulturalną Pre-

zydenta Gorzowa i Nagrodę Kulturalną Wojewody Gorzowskiego w 1996 r., Lubuski Wawrzyn Literacki w 1998 r. i Motyla Kulturalnego Prezydenta Gorzowa za sezon artystyczny 2008/2009. W 2004 r. został przyjęty do zielonogórskiego oddziału ZLP, a po uruchomieniu oddziału gorzowskiego przeniósł się do jego struktur. W księżnicy gorzowskiej znajduje się popiersie pisarza, a w 2010 r. w Miejskim Centrum Kultury poświęcono jego pamięci widowisko muzyczne oparte na jego utworach. Z kolei w 2012 r. odbyła się pierwsza edycja Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego jego imienia oraz Konkursu Literackiego „Furmanka”. W toku są przygotowania do postawienia pomnika poety w centrum Gorzowa.

Władysław Łazuka (ur. 1946 r. w Tyrawie Solnej koło Santoka), ukończył studia w Wyższej Szkole Rolniczej w Szczecinie. Debiutował opowiadaniem w 1969 r. na antenie szczecińskiej rozgłośni Polskiego Radia. Wydał tomiki wierszy: *Przejdę sad* (1976), *Tamto wszystko za tobą* (1980), *Czytanie z natury* (1983), *Wołanie źródeł* (1983), *Blżej o jeden dzień* (1984), *Idę* (1990), *Od przebiśniegu do płatków śniegu* (1996), *W zwierciadle rzeki* (2002), *Jeszcze wiersz* (2005), *Gdzie szybki Drawy bieg* (2008),



Władysław Łazuka



Maria Przybylak

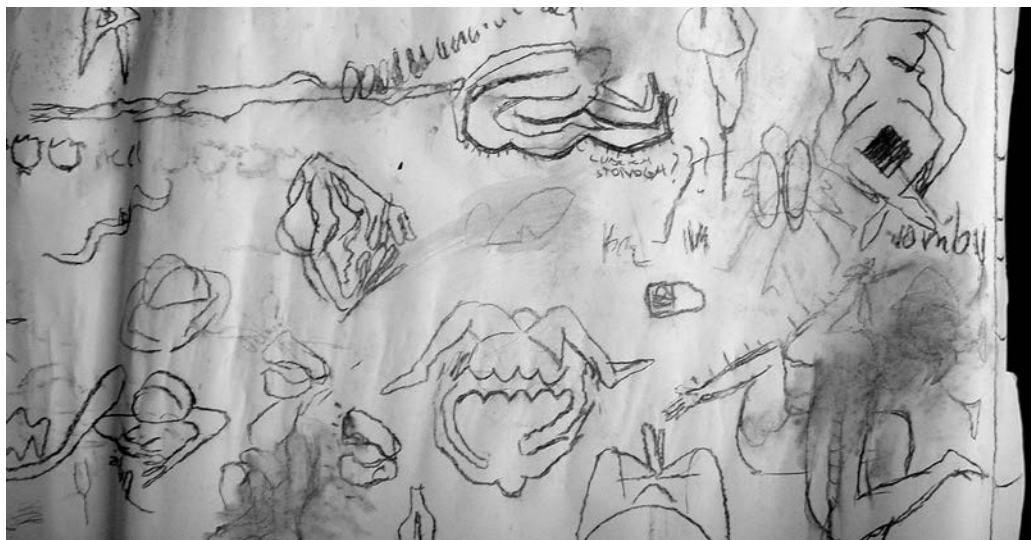
Kilka słów (2008), *Zaledwie ślad* (2010) i *Słowa wśród wydm* (2011). Był członkiem szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich od 1984 r., a od 2005 r. należy do oddziału ZLP w Gorzowie Wlkp. Po ponownym utworzeniu KKMP w Gorzowie w 1975 r. należał również do tego ośrodka. Od wielu lat mieszka w Choszczynie.

Tadeusz Zaborowski (ur. 1946 r. w Barlinku), ukończył Politechnikę Poznańską, publikował zbiorki poezji pod pseudonimami Eugeniusz Boski i Jan Bor. Jako Bor wydał *Eris* (1990), *Polska rzeczywistość* (1992), *Oswajanie czasu* (1994), a jako Boski *Paszkwil* (1992). Wszystkie książki wydał Instytut Badań Ekspertyz Naukowych w Gorzowie. Był redaktorem naczelnym gorzowskiego pisma literacko-artystycznego „Lamus”, które ukazywało się od 1993 r. Jest też autorem prac naukowo-badawczych z dziedziny techniki. Należy do Stowarzyszenia Autorów Polskich. Jest profesorem nauk technicznych. Był m.in. rektorem Zachodniej Wyższej Szkoły Handlu i Finansów Międzynarodowych im. Jana Pawła II w Zielonej Górze, a w czasach PRL pracował też jako cenzor.

Maria Przybylak (ur. 1929 w Nowosielu na terenie ZSRR), ukończyła szkołę zawodową i aż do emery-

tury w 1982 r. pracowała fizycznie w ZWCh „Stilon”. Była autorką sześciu tomików poetyckich: *Polimer granulowany* (1980), *I ciągle jeszcze jestem do nazywania* (1984), *Radość z rozdawania* (1996), *Takie szczęście* (2001) i *Cerowane lata* (2003). W 1998 r. Przybylak została przyjęta do zielonogórskiego oddziału ZLP¹⁷, a z chwilą powstania oddziału gorzowskiego ZLP w 2004 r. krótko była jego członkinią. Została uhonorowana Nagrodą Gorzowską w 1987 r., Medalem im. Jakuba Wojciechowskiego w 1991 r. i odznaką Zasłużonego Działacza Kultury. Zmarła w 2005 r. w Gorzowie Wlkp.

Eugeniusz Marian Konieczny (ur. 1954 w Międzyrzeczu), ukończył studia w zielonogórskiej WSP, debiutował wierszem w 1976 r. w jednodniówce „Ziemia i Pieśń”, wydał zapiski z podróży po Anglii *Ave naturo...* (1996) oraz tomiki wierszy *W kalejdoskopie słowa* (1994), *W moich stronach* (1999), *Poezje* (2001). W 1977 r. podczas studiów w zielonogórskiej WSP Konieczny założył Studencki Klub Literacki „Kometa”, prowadził teatr dziecięcy „Pod Adasiem” oraz należał do zielonogórskiego ośrodka KKMP. Po powrocie ze studiów związał się z gorzowskim KKMP i RSTK.



17 Przybylak została przyjęta w poczet kandydatów na członka ZLP, pełne członkostwo otrzymała w 2001 r.

EKSLIBRIS W PRO LIBRIS

Agata Buchalik-Drzyzga przedstawia...

Jerzy Sas-Obertyński

Jeden z nielicznych ekslibrisów robionych na zamówienie. Pana Jerzego nie poznałam osobiście. Według relacji zamawiającej posiadał cechy prawości, męstwa, mądrości. Mnie ten idealny profil zburzył wewnętrzna harmonia. Stąd mały dowcip – Jerzy walczy z niedużym, nieszkodliwym smokiem (smoczysiem według odbioru mojego wnuka). Reszta jest płynna jak nasze życie. Ekslibris przyjęto z uśmiechem na ustach. Nie stosowałam tzw. poprawek, forma zabawy i dowcipu (często) była najważniejsza.



Józef Korbicz

Życie jest niepowtarzalne, jak każdy z nas. Data urodzenia dla wielu jest bardzo znacząca, również dla Józefa Korbicza. Bogaty narracyjnie ekslibris powstał przy tej okazji („peefka”). Nie będę tym razem interpretowała poszczególnych elementów znaku własnościowego Józefa. Wymienię tylko boginię Nauki uskrzydloną z wieńcem laurowym, krzesło ze stertą książek (podwyższenie), paletkę tenisową (ulubiona gra dająca siłę fizyczną). Wiele lat minęło od powstania ekslibrisu, który profesor bardzo sobie ceni, ja natomiast cenię nasze koleżeńskie kontakty towarzyskie.

Katarzyna Przybył

Kasia miała swój Kolorowy Świat w butiku pełnym kwiatów, gdzie się poznałyśmy. Mam bowiem pewną słabość... Na co dzień kupuję sobie kwiaty. Byłam więc jej częstym gościem. Kasia (zdrobniale tak ją nazywam do dziś) ukończyła Liceum Plastyczne we Wrocławiu razem z zaprzyjaźnioną malarką Haliną Maszkiewicz – zatem znajomość wieloletnia (nie wypada liczyć ile). Żona aktora Teatru Lubuskiego Cyryla żyła wśród artystów. W moim życiu był czas pomysłów nie zawsze trafionych, lecz realizowanych. Jeden z nich to ekslibrisy z literami alfabetu, kilka powstało, nie pociągnęłam tematu do końca. Kasia „załapała się” na ten pomysł i trwa przy nim pomimo nowego aktualnego znaku książkowego. Identyfikuję się z tym z 1984 roku. To moja młodość i wspomnienia (słowa Kasi). Jest mi miło, wieloletnie znajomości dodają energii przy spotkaniach.



Joanna Konatkiewicz

Treści metafizyczne, symbole i osobiste wzruszenia składają się na ekslibris Joanny Konatkiewicz. Dłoń jest gestem porozumienia między ludźmi... ptasznik wzięty ze Skansenu w Ochli mówi o wolności, jak również domu rodzinnym (wielopokoleniowym), który stworzyła Joanna. Znajomość wieloletnia również z córką Danutą i wnuczką Isią.



Joanna Szczesniewska

Ur. 28 kwietnia 1987 r. w Zielonej Górze. Zaraz po ukończeniu Liceum Plastycznego w Zielonej Górze zaczęłam studia filozoficzne w Poznaniu. Komunikacja społeczna będzie mieć wpływ na mnie we wszystkich dziedzinach twórczych. Sugestywne pytanie *o dylemat więźnia* będę zadawać już zawsze, wiedząc, że to dopiero w kooperacji z innymi budujemy obraz siebie i świata. Interakcje międzyludzkie czynią mnie mniej wysublimowaną i powściągliwą w tworzeniu prac. Dyplom jednak obroniłam dopiero w 2011 r. na Wydziale Artystycznym Uniwersytetu Zielonogórskiego. Już jako licencjonowany grafik zaczęłam studia magisterskie na kierunku malarstwo, które ukończyłam w 2013 r.

Przykładając dużo energii na koncepcje w strukturze obrazu, intuicyjnie przekształcając rzeczywistość z subiektywnych wrażeń w obiektywne kształty, poddaję rzeczywistość selekcji i wybieram istotne fragmenty. Antropocentryzm wynika ze świadomości własnego ciała, przez które badam otaczającą mnie rzeczywistość. Organizm ludzki i środowisko przedstawiam jako identyczne obiekty fizyczne, wykorzystując odlewy, odbicia własnego ciała, kontury i plamy, angażując doświadczenie. Zgodnie z Tadeuszem Kantorem twierdząc, że można być specjalistą jedynie od samego siebie.

Wystawy zbiorowe: 2007 – wystawa dyplomowa, galeria Nafta – Zielona Góra; 2012 – wystawa studentów i pedagogów, *rysunek x rysunek x rysunek*, Galeria PWW – Zielona Góra; 2012 – *Struktury* MALARSTWO, Piekarnia Cichej Kobiety – Zielona Góra; 2013 – Festiwal poMorze Sztuki – *proForma*, Biurowiec Brama Portowa – Szczecin, Królewska Fabryka Karabinów – Gdańsk; 2013 – MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA NAUKOWA, *Złote drzewo życia wciąż zielone* UCZELNIA MIEJSCEM SZTUKI, Instytut Sztuk Wizualnych – Zielona Góra; 2013 – 23. Ogólnopolski Przegląd Malarstwa Młodych, *Promocje 2013*, Galeria Sztuki w Legnicy.

Katalogi: 2013 – Międzynarodowy konkurs malarski Modessę

Portfolio: <http://cargocollective.com/joannaszczesniewska>



Podwozie, 200x100 cm, deska pilśniowa, akryl, bawełna, pastel



Wieża Babel, 200x100 cm, deska pilśniowa, akryl, bawełna, pastel, 2012



Muskulatura, 150x250 cm, deska pilśniowa, akryl, bawełna, pastel, 2012



Wenus prahistoryczna, 200x150 cm, deska pilśniowa, akryl, bawełna, pastel, 2010



2 p, 100x100 cm, deska pilśniowa, akryl, bawełna, pastel, 2013



Ciężary ludzkie, 44x140 cm, deska pilśniowa, akryl, bawełna pastel, 2012

Sanepid potwierdził bezterminową przydatność do spożycia

– czyli kilka słów o malarstwie
Joanny Szczesniewskiej

Zastanawiam się czasem, na czym polega atrakcyjność malarstwa współczesnego. Nie chodzi mi, przynajmniej na początku tekstu, o analizę zakamuflowanych warstw przedstawieniowych, znaczeniowych, a jedynie zastanawiam się nad tym, co skupia lub co zatrzymuje widza przy obrazie, a co powoduje, że potencjalny widz przechodzi obojętnie obok obrazu. Ciekawą jest obserwacja różnych typów zachowań. Jedni przechodzą obok prac malarskich, nie zwracając uwagi na nie. Wtedy mam wrażenie, że takiemu delikwentowi wystarczy jedynie mgliste poczucie świadomości, że znajduje się w muzeum, galerii sztuki, a nie dajmy na to, przy stoisku z garmażerką (choć tu też można mieć wątpliwości). Inni z kolei prześlizgują się wzrokiem szklistym po pracach, jak żywy skaner, albo wymęczona niemilosiernie kserokopiarka, rejestrując jedynie proste skojarzenia: kwadrat – prostokąt, kolorowe – „szarobure”, ładne – nieładne. W przypadku takiego widza są momenty stopklatki, wywołane nieoczekiwanym, jakimś skojarzeniem, jak podpowiadały onegdaj słowa piosenki: „...Co ci przypomina widok znajomy ten?”. Nie miałem na myśli żółtego piachu

wiślanego, choć mógłby on się mieścić w owych kategoriach skojarzeniowych. Zdarzają się widzowie, którzy z lampką wina (15 złotych za flaszkę) stoją przed jednym czy drugim obrazem, z palcem przy skroni, zmarszczonymi brwiami, mówią swoją pozą: tak... oto stoję przed dziełem (wiekopomnym). Choć w głowie potrafią się kłębić myśli z gatunku: co on/ona nasmarował/a na tym „obrazku”? Swoją drogą nie mam zielonego pojęcia, dlaczego i skąd utarła się owa świecka tradycja napicia się (przeważnie wina) podczas spotkania ze sztuką, a z drugiej strony wręczania przestraszonemu często, gęsto autorowi samotnej, z reguły czerwonej, trzymanej na sztorc róży. Wiem, wiem, nie będzie wina – nie przyjdzie tyle osób, ile chcielibyśmy, z kolei różę należy wręczyć, żeby podziękować za tzw. trud twórczy i nie stać tak z pustymi rękoma. Wtedy wilk syty i owca cała, ponieważ widz ma swoją strawę duchową (*el espíritu del vino*), a autor ma różę niczym buławę marszałka polowego, bądź klucze do bram miasta. Drogi czytelniku, wiem, że dokonuję dużych uproszczeń, być może nawet czepiam się, lecz, mam niezwykłą frajdę (i trud ma się rozumieć) bycia i twórcą (malarzem),

i widzem, a ucząc malarstwa, pokazuję studentom cały wachlarz potencjalnych relacji wynikających z procesu twórczego, który zaczyna się od dialogu pomiędzy malarzem i jego dziełem, a powinien przynajmniej kończyć na „rozmowie” obrazu z widzem. Nie każdy obraz musi mieć zakamuflowaną symbolikę, nie każdy obraz musi być nadajnikiem do rozmowy z Bogiem. Obraz może być też polem obserwacji świata dla artysty i obszarem odkrywania przez widza, na nowo, zapomnianych, zużytych, niezauważanych na co dzień z różnych przyczyn pomijanych okrucich najbliższej nam rzeczywistości. To, co jest pytaniem dla artysty, może być odpowiedzią dla widza. Z kolei pytania widza bywają inspiracją dla malarzy. Zawsze pomiędzy nimi jest ów obraz, zapis, emocja, refleksja, czasem pustka.

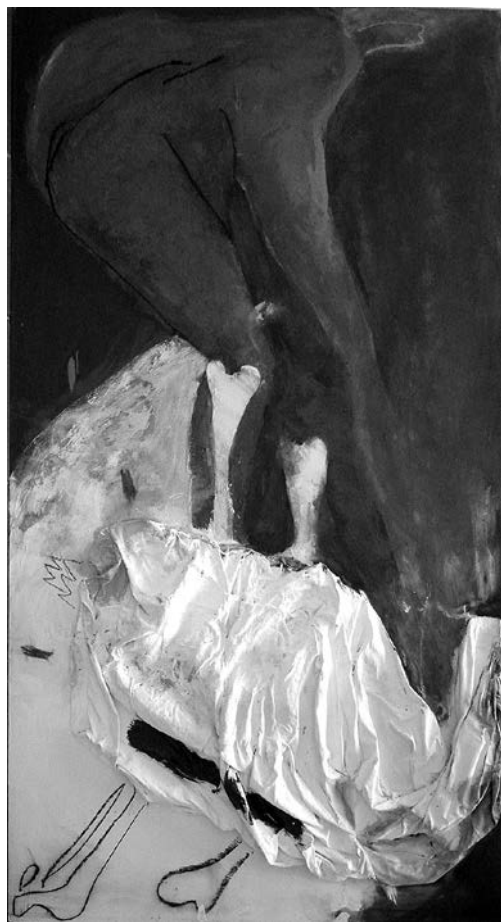
Joanna Szczesniewska, tworząc swoje prace, porusza się po swoistym laboratorium, bada rzeczywistość, dotyka, analizuje, preparuje, wyciąga wnioski i od nowa powiela ten proces. Cierpliwie, w przedziwnej ciszy, krok za krokiem powtarza, zdawać by się mogło ten sam rytuał. Dokąd zmierza? Przypuszczalnie nie wie, tak jak ja nie wiem i jak nie wiedział kiedyś Paul Gauguin. Jej prace budowane są na bazie charakterystycznej już struktury przypominającej płaskorzeźby i na zredukowanych gamach kolorystycznych. Pod względem konstrukcji obrazy Szczesniewskiej pomimo owych redukcji, skrótów, niosą ze sobą dużą skalę ekspresji wynikającej głównie z wysmakowanych kontrastów, z całej palety elementów i zestawień przeskalowanych. Autorka z pełną świadomością często balansuje na granicy malarstwa i rysunku, zestawia drobne, kruche linie, niezauważalne na pierwszy rzut oka litery, cyfry z dużymi masami szarości, czerni, uzupełniane o trzeci wymiar odlewów własnego ciała lub struktur na kształt skały wulkanicznej. Połączenie mas koloru przestrzenności i przeskalowania elementów, oprócz ekspresji samej w sobie, niesie za sobą niezwykle światło malarskie, które tworzy sama autorka podczas procesu powstawania obrazu, ale też światło, które pojawia się pod wpływem oświetlenia zewnętrznego samego obiektu takim, jakim jest obraz. W ten sposób powstaje wyjątkowa dla mnie poetyka, niekiedy będąca swoistym niemalże projektem

scenograficznym. Nie bez przyczyny wspominałem wcześniej o laboratorium twórczym Szczesniewskiej. Powstawanie kolejnych serii prac, niezależnie od tego, czy są to obrazy, grafiki, czy kompozycje tworzone za pomocą perforacji kartek papieru są jej procesem poznawczym. To odkrywanie i poznawanie wymagało czasu, skupienia, ale też niezwyklej cierpliwości i systematyczności pracy autorki. Tylko ten przyjęty system pracy umożliwił stworzenie tego osobistego laboratorium. Dlatego oprócz wartości artystycznych, które dla mnie są w tym przypadku szczególnie, niezwykle wiarygodny pozostaje przekaz malarski. Autorka nie dąży do komplikowania pytań i zagadnień, wręcz przeciwnie – stara się je systematyzować i w klarowny sposób precyzować. Nie ma znaczenia czasowego fakt, iż Joanna Szczesniewska jest świeżo upieczonym Magistrem Sztuki Instytutu Sztuk Wizualnych Uniwersytetu Zielonogórskiego. A nie ma to znaczenia, ponieważ Szczesniewska, będąc młodą osobą, jest dla mnie dojrzałą artystką. Uważnie przygląda się sobie i rzeczywistości, spokojnie oddziela to, co nieistotne i miażdżące we współczesności, od tego, co uniwersalne i trwałe. Posługując się w obrazach odlewami fragmentów swojego ciała pyta o to, kim jest, nie tylko, jako osoba z imienia i nazwiska, ale kim jest, jako człowiek i twórca sam w sobie w obliczu tzw. współczesności, czymkolwiek jest ta współczesność. Szczesniewska mówi – oto fragmenty mnie i fragmenty świata, pasujemy do siebie, czy nawzajem się wykluczamy? To dlatego wspominałem wcześniej o tym kieferowskim „podążaniu po krawędzi krateru” przez Szczesniewską. Granice ciała i granice świata, moje ciało, jako mój świat, a świat, jako mój organizm. Niezwykle interesującym jest dla mnie fakt, iż Joanna posługując się formami będącymi fragmentami ciała, nie odwołuje się do wszechobecnej dziś seksualności. Nie ma takiej potrzeby, ponieważ wie, że to, o co pyta w swoich obrazach, nie jest kwestią rozstrzygnięcia sezonu jesień–zima jak w świecie mody, to kwestia lat, być może życia. Ów laboratoryjny świat Joanny Szczesniewskiej pozwala jej, moim zdaniem, na odnalezienie idealnej niszy twórczej. Dzięki kontrastowaniu i wyważaniu, balansowaniu na granicy barwy, zestawianiu form płaskich z przestrzennymi

poziom abstrakcji jej obrazów jest komunikatywny nawet dla widza potencjalnie nieoswojonego z tego typu malarstwem, a jednocześnie skrót i przemilczenia, którymi autorka operuje, pozwalają widzowi na odnalezienie własnej ścieżki interpretacyjnej i własnych potencjalnych odpowiedzi. Autorka nie mówi widzowi: chodź, zaduszę cię... o tak, Ty – Widzu...! ciężarem egzystencjalnym ciętej, czerwonej róży, żeby było lżej, napij się taniego wina! Przeciwnie

– w zetknięciu z obrazami Joanny Szczesniewskiej ma się wrażenie współuczestniczenia w jej procesie laboratoryjnym, widz czuje, że jest swoistym dopełnieniem całego tego procesu, a artystka poprzez obrazy mówi jedynie: taki jest dziś świat, widzisz go podobnie jak ja? Być może nie, ale to już inna historia. Dobranoc.

Wrocław, 30 listopada 2013



Joanna Wawryk

Sto lat Leśmianowskich baśni¹

Minęło sto lat od momentu ukazania się *Klechd sezamowych* i *Przygód Sindbada Żeglarza* Bolesława Leśmiana. Oba tomy baśni to wyjątkowe pozycje w dziejach recepcji *Księgi tysiąca i jednej nocy*, w polskiej literaturze dla dzieci, w dorobku samego autora i – podejrzewam – w ścieżce lekturowej wielu odbiorców baśni. Na powstałych w Młodej Polsce utworach wychowało się już kilka pokoleń czytelników. Leśmianowskie dzieła tak świetnie znoszą próbę czasu, gdyż ich cudowna baśniowość jest ponadczasowa (czy raczej pozaczasowa), a zryt-

mizowany, poetyzujący styl sprawia, że tekst wciąż nie traci świeżości. Ich autorem jest genialny poeta, którego twórczość doczekała się wielu znakomitych interpretatorów. Liczne monografie, artykuły, wstępy, omówienia... – mogłyby wypełnić już niejeden regał. O *Klechdach sezamowych* i *Przygodach Sindbada Żeglarza* napisano zaś niewiele, a i badacze zwykli traktować je marginalnie (dopiero w 2012 powstała pierwsza monografia poświęcona *Przygodom...* – Bogusława Grodzkiego *Leśmianowska baśń nowoczesna*). Tymczasem to właśnie baśnie dla dzieci

¹ W artykule wykorzystuję fragmenty mojej książki *Wokół Leśmianowskich baśni dla dzieci* (Wrocław 2013).

miały najwięcej wznowień i – prawdopodobnie – najwięcej rzeczywistych odbiorców. Cóż, niekiedy tekst musi bronić się sam...

U genezy

Nad *Klechdami sezamowymi i Przygodami Sindbada Żeglarza* Leśmian pracował w czasie pobytu z żoną i córkami we Francji. U genezy tych książek leży zamówienie wydawnicze złożone przez Jakuba Mortkowicza. Pracy tej nie można jednak postrzegać jedynie w kategoriach zlecenia realizowanego dla pieniędzy. Leśmian – w opinii wspominających go znajomych i przyjaciół: mało życiowy, pogrążony w fantastycznym świecie stworzonego przez siebie poetyckiego uniwersum – nigdy nie był koniunkturalistą. Skoro podjął się pisania książek dla dzieci w oparciu o wschodnie opowieści, widać orientalne obrazowanie i rozmach wyobraźni były mu szczególnie bliskie. W epoce, która szczególnie lubowała się we wszelkich przejawach baśniowości, fantastyczny świat dżinów, królewien, czarnoksiężników i cudowności musiał zachwycać. Wschodnie baśnie były lekturą dzieciństwa wielu literatów, co też przełożyło się na liczne nawiązania w ich dorosłej twórczości do tychże fabuł. Motywy wzięte z arabskich opowieści stały się fragmentem literackiego kodu, który był powszechnie zrozumiały i nie wymagał specjalnych objaśnień. Szeherazada, Aladyn, Sindbad weszli do polskiej literatury jako synonimy pewnych postaw, zachowań czy też po prostu jako reprezentanci cudownego Orientu. Baśnie arabskie w swej najbliższej oryginale postaci są chyba najmniej znane. Za to parafrazy czy przeróbki ciągle cieszą się popularnością.

Sięgnięcie po materiał z *Księgi tysiąca i jednej nocy* było gwarancją wydawniczego sukcesu. Same fabuły zaś nie musiały być dla Leśmiana czymś zupełnie obcym, wszak bardzo prawdopodobne, że słyszał je w dzieciństwie. Śladem tego może być wiersz *Wspomnienie* (inc. „Te ścieżyny, których stopą dziecięcą”), w którym zostaje przywołane dzieciństwo i pojawia się dwuwers, nasuwający skojarzenie

z baśnią *Ali Baba i czterdziestu złodziei*: „Przy śniadaniu patrzyłem w stół, jak w pustynię, / Śniąc, że na wielbłądzie jadę... Złobcą jestem...”².

Być może kreując wspaniałą, niemającą żadnego pierwowzoru w arabskich opowieściach, postać wuja Tarabuka – poety grafomana, starającego się bezustannie o zapewnienie swoim dzieciom formy, która da im możliwość przetrwania – dyskretnie zakpił ze swojej sytuacji.

Tak więc praca nad książkami dla dzieci nie mogła być dla Leśmiana przykrym obowiązkiem, a efekt końcowy usatysfakcjonował wydawcę. I tak oto zaczęły funkcjonować w obiegu czytelnicznym, ciesząc kolejnych odbiorców.

Losy wydawnicze

W skład *Klechd sezamowych* weszło sześć utworów: *Baśń o rumaku zaklętym*, *Ali Baba i czterdziestu złodziei*, *Rybak i geniusz*, *Opowiadanie króla Wysp Hebanowych*, *Baśń o Aladynie i o lampie cudownej*, *Baśń o pięknej Parysadzcie i o ptaku Bulbulezarze*. Zbiór pojawił się na rynku pod koniec 1912 roku jako „książka na gwiazdkę” (na karcie tytułowej widnieje jednak rok 1913), a *Przygody...* – w 1913. Pierwsza książka niedługo po ukazaniu się została recenzowana w „Nowej Gazecie” przez Jana Lorentowicza i w „Kurierze Lwowskim” przez Stanisławę Szadurską jako literatura dla młodzieży i „wydawnictwo gwiazdkowe”³. Pierwodruk drugiej natomiast nie miał żadnej recenzji. Dopiero wznowienie z 1936 roku przez Instytut Wydawniczy Biblioteka Polska w serii „Biblioteka Miłośników Książki” doczekało się pierwszych wzmianek i recenzji: w periodyku „Naród i Wojsko”, w „Nowej Książce” i w „Bluszczu”. Anonimowy recenzent w ostatnim z wymienionych czasopism polecał tę książkę jako „opowieści interesujące żywo zarówno dorosłych, jak i małych”⁴. Znamienne okazały się słowa otwierające recenzję, gdyż stan rzeczy nakreślony przez jej autora utrzymywał się przez lata (w odniesieniu do krytyki): „Wszyscy znamy Bolesława Leśmiana jako znakomitego poetę,

2 B. Leśmian, *Poezje zebrane*, oprac. J. Trznadel, Warszawa 2010, s. 413.

3 Podaję za: M. Gorczyńska, *Miejsca Leśmiana. Studium topiki krytycznoliterackiej*, Kraków 2011, s. 33.

4 Cyt. za: tamże, s. 52.

natomiast jego utwory prozą, mimo że są również niepośledniej miary, poszły w niepamięć”⁵.

Kolejny druk *Przygód...* (z podtytułem *Powieść fantastyczna*) nastąpił w 1944 roku w Jerozolimie. Rzecz ukazała się w serii „Szkolna Biblioteczka na Wschodzie”, a zilustrowały ją Krystyna Domańska i Alicja Drwęska (książka zawiera osiem czarno-białych sygnowanych ilustracji).

W 1950 roku obie książki wydano w Polsce (*Klechdy sezamowe* – kolejne wydanie w 1954) i jak stwierdza Małgorzata Gorczyńska: „Jest znakiem czasu, że żadna z nich nie doczekała się krytycznoliterackiego rezonansu”⁶. W ciągu kolejnych 20 lat wydawnictwo Czytelnik jeszcze kilkakrotnie wznawiało obie książki. Co interesujące, w powojennych wydaniach Czytelnika zastosowano cenzurę w przypadku dwóch elementów *Klechd sezamowych*. W *Baśni o rumaku zaklętym* pojawia się czarownik Indianin (w znaczeniu Hindus), w późniejszych wydaniach usunięto „Indianina”. W *Opowiadaniu króla Wysp Hebanowych* w pierwodruku jest „potwór, ogromny czarny Murzyn”. Usunięto określenie „Murzyn”, tak że został tylko „potwór”. Dopiero wydanie w edycji *Dzieł wszystkich* Leśmiana konsekwentnie przywraca formy zgodne z oryginalną postacią tekstu, co też wydawca zaznacza, wskazując na dwie wcześniejsze ingerencje cenzury⁷.

Od lat 90., wraz z nowymi możliwościami wydawniczymi w Polsce, pojawiły się liczne wydania *Klechd sezamowych* i *Przygód Sindbada Żeglarza*. Autorskie prawa majątkowe do tych utworów wygasły, więc można je rozpowszechniać. Skorzystało z tego wiele oficyn, m.in. Siedmioróg, Rytm, Prószyński i S-ka, Rebis, Krąg, Zielona Sowa, Greg. Obecnie na rynku księgarskim, w bibliotekach (także cyfrowych) i na aukcjach internetowych są dostępne liczne wydawnictwa, różniące się nośnikiem, formą graficzną, formatem i poziomem edytorskim. Baśnie wchodzące w skład *Klechd sezamowych* ukazują się pojedynczo lub w innych „niekanonicznych” zesta-

wieniach. Przede wszystkim baśń *Ali Baba i czterdziestu zbójców* oraz *Baśń o Aladynie i o lampie cudownej* wychodzą w niedrogich, broszurowych wydaniach, jako „wydanie z opracowaniem”.

W 2003 roku wyszedł pierwszy audiobook z *Przygodami Sindbada Żeglarza* (czyta Krzysztof Kolberger). W 2012 roku w formie audiobooków ukazały się oba tomy baśni (*Klechdy sezamowe* czyta Hanna Kinder-Kiss; *Przygody Sindbada Żeglarza* – Jacek Kiss) – ten fakt świadczy nie tylko o przeobrażeniach nośników literatury, ale również o zapotrzebowaniu na te dzieła w nowej formie.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na szatę graficzną kolejnych wydań, gdyż w przypadku książki dla dzieci odgrywa ona istotną rolę. Już pierwsze wydanie *Klechd sezamowych* miało wspaniałego ilustratora – Edmunda Dulaca. Z datą 1913 równolegle ukazała się wersja bez kolorowych ilustracji, z pewnością odpowiednio tańsza. Pierwsze wydanie *Przygód Sindbada Żeglarza* natomiast miało czarno-białe ilustracje Józefa Toma. Drugie wydanie z 1936 roku ukazało się w opracowaniu graficznym Atelier Girs-Barcz. Miało ono dwie wersje. Jak podaje wydawca: „Trzydzieści egzemplarzy odbito na krajowym papierze czerpanym z ilustracjami wykonanymi w akwaforcie iluminowanej z inicjałami złożonemi dukatem”⁸.

Po wojnie wydawnictwo Czytelnik kilkakrotnie wznawiało Leśmianowskie baśnie, korzystając z pracy kilku znakomitych ilustratorów. W przypadku *Klechd...* byli to: Eugenia Różańska (wyd. 1950 i 1954) oraz Jan Lenica (wyd. 1959, 1968, 1973, 1978 i 1983), a *Przygód...* – Janusz Stanny (wyd. 1965, 1972, 1977). Po roku 1990 w innych wydawnictwach *Przygody...* ukazały się z ilustracjami Beaty Batarskiej (Krąg, 1991), Artura Łobusia (Siedmioróg, 1999), Krystyny Lipki-Sztarbałło (Prószyński i S-ka, 1998), Pawła Głodka (Kama, 2000) i Marka Szala (Zielona Sowa, 2000). W 2004 roku oficyna Rebis wydała oba tomy w opracowaniu graficznym Lucyny Talejko-

5 Cyt. za: tamże.

6 Tamże, s. 72.

7 Zob. *Od wydawcy*, [w:] B. Leśmiana, *Baśnie i inne utwory prozą*, zebrał i oprac. J. Trznadel, Warszawa 2012, s. 891.

8 Publikacja jest dostępna w Cyfrowej Bibliotece Narodowej Polona (<http://www.polona.pl/item/887154/4/>).

-Kwiatkowskiej. (Różnorodnych wydań jest oczywiście więcej, wymieniam te najpowszechniejsze, dostępne w bibliotekach publicznych). Poza tym swoich ilustratorów mają poszczególne klechdy wydane jako osobne książki, np. *Baśń o pięknej Parysadzcie i ptaku Bulbulezarze* (Krajowa Agencja Wydawnicza, 1983) i *Baśń o rumaku zaklętym* (KAW, 1990) z ilustracjami Antoniego Boratyńskiego, który też opracował graficznie *Ballady Leśmiana* (Glob, 1991). Na szczególną uwagę zasługuje *Baśń o rumaku zaklętym* wydana przez Oficynę Olszynkę w 2006 roku. Pięćdziesiąt mistrzowskich ilustracji Józefa Wilkonia znakomicie współgra z Leśmianowskim tekstem i książka w pełni zasłużyła na Nagrodę Honorową „Książka Roku 2007” w konkursie IBBY.

W ten sposób dzieła żyją w czytelnym obiegu, a ilość ukazujących się edycji świadczy o tym, że w czasach, gdy trzeba zabiegać o czytelnika (również dziecięcego), stuletnie baśnie radzą sobie całkiem dobrze.

Nie tylko dla dzieci

Klechdy sezamowe i *Przygody Sindbada Żeglarsza* zostały zamówione, napisane, wydane, dystrybuowane i rozpowszechnione z myślą o dzieciach. Można powiedzieć, że w obu przypadkach cały proces twórczy i wydawniczy był nastawiony na małoletniego adresata i nadal jest, bowiem kolejne edycje to książki formą i szatą spełniające wymogi książki dziecięcej (wyjątkiem jest tu wydanie PIW w edycji *Dzień wszystkich; Klechdy... i Przygody...* weszły do trzeciego tomu: *Baśnie i inne utwory prozą*, Warszawa 2012). Jednakże w bibliotekach książki te zwykle są klasyfikowane jako literatura dla czytelników w wieku 11-14 lat (trzeci poziom). Podejrzewam, że i młodsze dzieci świetnie by sobie poradziły z odbiorem tychże książek, nie wydają się one lekturą aż tak trudną czy pełną grozy, bowiem mocniejszą dominantą niż groza jest humor.

Na oczywistej konstatacji, że głównym adresem jest dziecko, można by poprzestać, gdyby nie odautorskie sygnały w baśniach, że mamy do czynienia z utworami bardziej złożonymi i wielowarstwowymi aniżeli prosta fabuła przeznaczona dla najmłodszych. W Leśmianowskie baśnie zostały bowiem wpisane dwa poziomy odbioru (o ile nie więcej)⁹. Pierwszy poziom – nakierowany na dziecko, któremu należy pokazywać i przedstawiać świat, a nawet powiedzieć, jak go odczuwać: „Trzeba bardzo natężyć uwagę, aby od początku do końca wysłuchać baśni o zaklętym rumaku”. W przywołanym wprowadzeniu do *Baśni o rumaku zaklętym* kilka zdań dalej padają słowa: „Każdemu, kto jest znawcą bajek z tysiąca i jednej nocy, wiadomo od dawna, że w Persji Nowy Rok przypada na wiosnę”¹⁰ – i tym samym autor, na swój sposób apelując o wykorzystanie doświadczeń lekturowych, odsyła do drugiego poziomu odbioru, niekoniecznie zrozumiałego przez dziecko. Cytowany fragment pokazuje, jak narrator jest kreatorem świata przedstawionego, a zarazem jego odbioru. Dziecko to odbiorca bezpieczny, gdyż niezmanierowany i pozbawiony wiedzy, więc niemożący rozpoznać kontekstów historycznoliterackich i odniesień intertekstualnych. Po raz pierwszy spoty-



Ilustracja Edmunda Dulaca w książce: *Klechdy sezamowe*, oprac. B. Leśmian, Wydawnictwo J. Morkowicza, Warszawa – Kraków 1913 (ze zbiorów Biblioteki m. st. Warszawy; Biblioteka na Koszykowej, nr inw. 10090)

9 Na dwupoziomową sytuację komunikacyjną w Leśmianowskich baśniach dla dzieci wskazali Anna Czabanowska-Wróbel oraz Grzegorz Leszczyński. Zob. A. Czabanowska-Wróbel, *Baśń w literaturze Młodej Polski*, Kraków 1996, s. 218; G. Leszczyński, *Młodopolska lekcja fantazji*, Warszawa 1990, s. 81.

10 B. Leśmian, *Klechdy sezamowe*, il. i oprac. graf. L. Talejko-Kwiatkowska, Poznań 2004, s. 7.

kając się z historią Sindbada Żeglarza, pięknej Parysady czy Ali Baby, nie odczyta aluzji do *Księgi tysiąca i jednej nocy*, nie rozpozna trawestacji rozmaitych stylów czy miejsc, w których konwencja baśni zostaje naruszona. Taki odbiór wymaga czytelnika wyposażonego w pewną wiedzę i doświadczenie lekturowe. Dla dziecka Leśmian buduje fabułę zgodną z konwencją baśni. Dla niedziecięcego odbiorcy natomiast sygnałami powinny być miejsca, w których następuje pęknięcie przedstawionego świata i narrator (czy sam autor) na chwilę przestaje pełnić rolę „strażnika fikcji”. Tak więc i słuchające dziecko, i czytający dorosły mogą się czuć usatysfakcjonowani.

Baśnie nowoczesne

Kościęc fabularny baśni dla dzieci (od którego i tak częstokroć autor odchodzi) został wzięty z *Księgi tysiąca i jednej nocy*. Jednakże stopień oryginalności omawianych dzieł sprawia, że wschodniość (czy arabskość) tychże opowieści rozmywa się na rzecz leśmianowości. To, co orientalne, jest „materiałem wyjściowym” przetworzonym przez arcywyobraźnię dla wyrażenia własnej baśni. Autor wybrane wątki ukazał za pomocą tych samych chwytów stylistycznych, które chętnie wykorzystywał w poezji i zwłaszcza w balladach. Specyficznego poczucia humoru, ujawniającego się za pomocą komizmu, ironii, parodii czy groteski, raczej nie uświadczy czytelnik *Księgi tysiąca i jednej nocy*, ale takich poetyckich cyklów jak *Postacie* czy *Pieśni kalekujące* – już tak. Nowatorstwo Leśmianowskich baśni jest jeszcze bardziej wyraźne w zestawieniu z utworami dla dzieci, jakie przyniosła poprzedzająca je epoka, czyli pozytywizm. Po przełamanie antypozytywistycznym, który objął też literaturę adresowaną do najmłodszych, o prymarnym utylitarystym nie ma już mowy, zaczynają dominować różne odmiany baśniowości i fantastyki. Zakres innowacji w przypadku baśni Leśmiana jest duży i w pewnych obszarach bardzo pionierski. Nowatorstwo tychże teksów ujawnia się przede wszystkim w podejściu autora do konwencji baśni oraz operowaniu kategorią śmiechu i użyciu elementów groteski.

Klechdy sezamowe i *Przygody Sindbada Żeglarza* są utrzymane w konwencji baśni, a tym samym realizują jej paradygmat, ale z istotnym zastrzeżeniem: autor wielokrotnie odchodzi od konwencji, modyfikuje schemat fabularny wzięty z arabskiego zbioru, jak i same baśniowe wzorce. Po pozytywistycznym dydaktyzmie nie ma tu śladu – pod tym względem omawiane baśnie są bardzo młodopolskie, a zarazem już zawierająca pewne zjawiska, które dopiero we współczesnej literaturze dziecięcej rozgościły się na dobre. Są wręcz prekursorskie, jeśli chodzi o tak humorystyczno-groteskowe ujęcie. Oba tomy zawierają baśnie nowoczesne, czyli odbiegające od tradycji, odrzucające cele moralizatorskie na rzecz nieskrępowanej wyobraźni, wyrażające – posługując się sformułowaniem Krystyny Kulickowskiej – „z idei protestu przeciw skostniałym schematom myślowym i martwym już konwencjom literackim”¹¹.

W *Klechdach...* i *Przygodach...* baśń wyznacza reguły wykreowanej rzeczywistości, która jednak momentami wymyka się schematowi, odsłaniając tym samym fasadowość i umowność fantastycznego świata. Dzieje się to między innymi przez autotematyzm. Zabieg ten podważa baśniowość poprzez demonstrowanie ułudy. Sygnałami, może nie tyle pęknięć w świecie przedstawionym, co dialogu autora z konwencją baśni, są też miejsca, w których dochodzi do głosu humor wspomagany przez różne chwytów stylistyczne. Z zabawy słowem, które zostało poddane rozmaitym zabiegom, powstał fantastyczny świat pełen kontrastów, wyolbrzymień, przesady, przeobrażeń, cudowności. Przedstawiona rzeczywistość jest momentami światem na opak nie tylko dlatego, że występują w niej elementy poetyki *à rebours*, lecz również ze względu na odwrócenie konwencjonalnych wątków. *Przygody Sindbada Żeglarza* są nietypową baśnią gdyż: królowy mają swoje wady, czarodziej utracił magiczną moc i stał się kupcem, bycie królową bywa nieatrakcyjne, bohater nie zawsze zostaje nagrodzony za odwagę, czasem warto wierzyć pozorom, a słowom i radom

11 K. Kulickowska, *W świecie prozy dla dzieci*, Warszawa 1983, s. 111.

wytrawnych marynarzy nie trzeba ufać. „Poniechaj wiary w bajki i strachy” – przewrotnie radzi Sindbadowi jeden z nich. A u kresu żeglarskiej opowieści na podróżnika nie czeka królowa, tylko córka kupca. Historia zostaje rozwiązana. Również w *Klechdach sezamowych* nadchodzi moment, gdy trzeba uciąć bajanie – czyni to bohaterka ostatniej baśni: „Dość tych bajek! – zawołała Parysada. – Dość gadania i gładzenia! Nie mam czasu do stracenia”¹². Przy tym historii z obu tomów nie są antybaśniami. Uczą otwarcia na świat, przynoszą pochwałę baśni, która może się kryć wszędzie; każą poszukiwać skarbów, nie bać się tajemnicy i z odwagą realizować swoje marzenia. Jedną z najpiękniejszych pochwał baśni i zarazem natury autor zamieścił w *Ali Babie i czterdziestu złodziech*: „Pełno na świecie bajek, ale najpiękniejsze bajki kryją się w lesie. Bajki czają się w gęstych krzakach, szumią w rozchwianych gałęziach, dzwonią w powietrzu wtedy właśnie, kiedy cisza dzwoni”¹³.

W *Przygodach...* granie z baśniową konwencją służy do opowiedzenia własnej opowieści, za którą Leśmian bierze odpowiedzialność jako autor. *Klechdy...* zaś zostały wydane jako zbiór opracowany przez Leśmiana. Ich nowoczesność opiera się w większym stopniu na deziluzji, odstawianiu konstruowanego według reguł baśni świata, intertekstualności. Leśmian odnawia wzorzec. Punktem wyjścia są arabskie baśnie, punkt dojścia zaś sytuuje się już poza autorem, bowiem późniejsi pisarze książek dziecięcych podjęli i rozwinięli wiele nowatorskich pomysłów. Tak więc nie wschodnie, nie arabskie, a nowoczesne są Leśmianowskie baśnie i ta nowoczesność też sprawia, że stają się pełnoprawną (pod względem artystycznym i znaczeniowym) częścią dorobku poety.

„Wciąż u wniść tysiąca”, czyli prolegomena

Gdy Leśmian pracował nad *Klechdami sezamowymi* i *Przygodami Sindbada Żeglarza*, jego pierwszy tomik poetycki był już w opracowaniu wydawniczym. *Sad rozstajny*, który ukazał się na

krótko przed baśniami dla dzieci, jak i wcześniejsze publikowane w czasopiśmie utwory w pewnym stopniu przyszykowały grunt kreacjom zawartym w *Klechdach...* i *Przygodach...* Już w debiutanckim zbiorze pojawiły się postacie, które wskazują na zainteresowanie baśniowością i cudownością, często o wschodniej proveniencji. Chodzi tu przede wszystkim o takie utwory jak: *Sidi-Numan*, *Poematy zazdrosne* (z tego cyklu m.in. *Tarcza i Pantera*) i *Nieznana podróż Sindbada-Żeglarza*. Wątki orientalne są w nich pretekstem do wyrażenia własnych treści. W kolejnym zbiorze, zatytułowanym *Łąka* z 1920 roku, też znajduje się kilka postaci nawiązujących do *Klechd...* i *Przygód...*, więc i pośrednio do *Księgi tysiąca i jednej nocy*. Na przykład królowa Czarnych Wysp jest zaprzeczeniem Chryzeydy z *Opowiadania króla Wysp Hebanowych*. Cudowne drzewo z wiersza *Dąb* ma wiele wspólnego z dębem-samograjem z *Baśni o pięknej Parysadzie i o ptaku Bulbulezarze*. Jedną z „kalekujących” postaci – szewczyk-kuterno-



Ilustracja Józefa Toma w książce: B. Leśmian, *Przygody Sindbada Żeglarza*, Wydawnictwo J. Morkowicza, Warszawa – Kraków 1913 (ze zbiorów Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego)

¹² B. Leśmian, *Klechdy...*, s. 210.

¹³ *Ibidem*, s. 43.

ga ma swojego kolegę po fachu w łataczu butów z *Ali Baby i czterdziestu zbójców*. Są i zjawy z *Nocy bezsennej* – personifikacje lęków (Wicher, Tęsknota i Ciemność) jak strachy z Góry Cmentarnicy (miejsce akcji w *Baśni o pięknej Parysadzie*...) stają się kompanami lub prześladowcami ludzkiej samotności. Nie będą to więc postacie wzięte z arabskich historii jako takie, lecz ukazane przez pryzmat poetyki, na którą składa się i baśń, i natura, i cudowność, i symbolizm. Innymi słowy: nie o same postacie, wątki czy motywy, których pierwowzorów można doszukiwać się w *Księdze tysiąca i jednej nocy*, chodzi, ale i o pewien typ obrazowania, zasilany przez znamioną dla literatury Wschodu fantastyczność, z jej prawem do metamorfozy, która w Leśmianowskim wydaniu łączy się z Bergsonowskim élan *vital* i wyraża poetycki bunt przeciwko granicom.

Leśmian w *Klechdach... i Przygodach...* zawarł wiele motywów, wątków, postaci i ujęć, które następnie wykorzystał (w zmodyfikowanej lub rozwiniętej postaci) w swojej poetyckiej twórczości, której nowatorstwo nie budzi żadnych zastrzeżeń. W ten sposób baśni dla dzieci stają się cennym kontekstem dla tego, co dzieje się w świecie poezji. Na przykład Sindbad to Leśmianowski *homo viator* z uczuciowością i podejściem do podróży typowymi dla Młodej Polski, Tarabuk jest parodią koncepcji poety wpisanej w autotematyczną twórczość Leśmiana, a wątek Urgeli znajduje rozwinięcie w Rusałce Leśnej z dramatów mimicznych. Również uwikłania czasoprzestrzenne posiadają swoje odpowiedniki w światach i zaświatach przedstawionych w poezji. Las Ali Baby otwiera się na cudowność, podobnie jak to ma często miejsce w balladach i poematach autora. Ponadto kolorystyka zastosowana w baśniach to cenny trop interpretacyjny, pozwalający się przenieść na „symbolikę czystych podstawowych barw w poezji Leśmiana”, na co zwróciła uwagę Anna Czabanowska-Wróbel¹⁴. Także elementy stylistyki *Klehd...* i *Przygód...*, w których co prawda nie ma

jeszcze tzw. leśmianizmów, autor wykorzystał w innych dziełach (m.in. ironię, parodię i absurd). Ważną kategorią jest też groteska – w wypadku polskiej książki dziecięcej Leśmian właściwie nie miał poprzedników w tak groteskowym ujmowaniu świata przedstawionego, a prócz tego chętnie posługiwał się tą kategorią w poezji i balladach (np. w cyklu *Pieśni kalekujące*). Jak zauważył Edward Boniecki: „[...] parafrazując klechdy wschodnie, poeta dążył do ujęcia ich w swoim własnym stylu, rozwijanym w praktyce poetyckiej, chociaż spotkanie z bajkami arabskimi wpłynęło niewątpliwie także na rozwój jego stylu poetyckiego” i – co wydaje się istotniejsze – „poznał Leśmian niejako «od środka» strukturę baśni i zakodowany w niej pierwotny sposób myślenia”¹⁵. To doświadczenie z baśnią niewątpliwie wpłynęło na krystalizujący się w czasie pracy nad *Klechdami...* i *Przygodami...* światopogląd, któremu poeta był wierny, konsekwentnie budując świat swojej poezji. I nie orientalizm, lecz właśnie baśń stała się kluczowym pojęciem tego nowoczesnego światopoglądu.

Klechdy sezamowe i *Przygody Sindbada Żelaznika* można więc postrzegać jako prolegomena do twórczości poetyckiej – kolejny komentarz do genialnej poezji autora. Są to zarazem baśnie, które prawdopodobnie większość zna bądź kojarzy z dzieciństwa i w tym sensie też pozwalają się traktować jako wprowadzenie do kolejnych doświadczeń lekturowych, wśród których może się znaleźć wybitna poezja ich autora.

Trzeba sceptycznie przyjmować slogany typu „ta książka jest dla każdego”, „każdy w niej znajdzie coś dla siebie”. Baśnie są dla tych, którzy chcą ich wysłuchać; dla tych, którzy mają potrzebę cudowności. Tak że nie zamierzam nikogo przekonywać, że warto po nie sięgnąć czy do nich wrócić. Autor sam zaprasza: „Jest to bowiem baśń pełna zdarzeń niespodzianych i cudów niesłychanych. Naprawdę czarodziejska baśń. [...] Prosimy więc o ciszę, gdyż oto baśń się zaczyna!”¹⁶. Sto lat Leśmianowskim baśniom!

14 Zob. A. Czabanowska-Wróbel, *Złotnik i śpiewak. Poezja Leopolda Staffa i Bolesława Leśmiana w kręgu modernizmu*, Kraków 2009, s. 279.

15 E. Boniecki, *Archaiczny świat Bolesława Leśmiana*, Gdańsk 2009, s. 56.

16 B. Leśmian, *Klechdy...*, s. 7.

Cudze chwalicie, swego nie znacie, czyli rockowy underground po zielonogórsku

Zielona Góra słynie na całą Polskę z kilku rzeczy – Winobrania, Festiwalu Piosenki Rosyjskiej (zwanej dawniej ze zrozumiałych przyczyn radziecką) oraz Zagłębia Kabaretowego. Mądre głowy w regionie zastanawiają się, dlaczego do tych elementów nie dojdzie jeszcze jeden, a mianowicie muzyka rockowa.

W powszechnym myśleniu pokutuje mit, że takie rzeczy istnieją tylko w wielkich miastach: Warszawie, Poznaniu, Wrocławiu czy Katowicach. Jednak każdy, średnio zorientowany fan rocka wie, że lwia część dużych nazw w tej muzyce pochodzi właśnie z mniejszych miejscowości. Wystarczy wymienić KSU, TSA czy T. Love, którzy co prawda śpiewali o stolicy naszego kraju, ale pochodzą z Częstochowy. Zielona Góra jest kolejnym dowodem na słusność tej tezy. Przez wiele lat powstały tu setki zespołów, w których zdarzały się naprawdę duże talenty. Uznane kapele koncertujące tutaj i mające za *support* lokalną grupę, często chwaliły zielonogórskich muzyków, ich wyobraźnię, warsztat i wreszcie twórczość. Sporo tutejszych formacji zdobyło uznanie w całym kraju, a nawet poza jego granicami, podobnie jak niektórzy muzycy indywidualni, koncertując po całym świecie i szerząc tam dobre imię naszego miasta i rockowej sceny. W myśl zasady *cudze chwalicie, swego nie*

znacie, mało kto z szarych obywateli Zielonej Góry o tym nie wie albo nie chce wiedzieć. Ba, czasem nawet ci „mniej szarzy” zdają się nie widzieć całego zjawiska, a działalność zielonogórskiej sceny jest naprawdę godna uwagi.

Jej początki sięgają przełomu lat 80. i 90., kiedy to na naszym gruncie coraz prężniej zaczęły działać formacje grające ciężkiego rocka. Mowa tu zarówno o najklasyczniejszej odmianie tego gatunku, jak i punk rocku czy metalu, którym to gatunkom poświęcimy w tym tekście miejsce. Zespoły z pierwszego nurtu nie były bowiem w tamtym okresie bardzo aktywne, jeśli chodzi o rewiry undergroundowe.

Obydwa środowiska na samym początku przynikały się. Wtedy po prostu chodziło o granie ciężkiej i głośnej muzyki, a kwestie ideologiczne były dużo mniej istotne. Zresztą nawet dziś zdarzają się przypadki muzyków metalowych, którzy na początku lat 90. przewinęli się przez jakieś punkowe składki i odwrotnie. Punk zaczął się rozwijać w Zielonej Górze wcześniej niż ekstremalny metal (który jak się po latach okazało, stał się jednym z bardziej rozpoznawalnych elementów naszego miasta poza jego granicami). Takie zjawisko miało miejsce w całej Polsce, ale tutaj trzeba by było zrobić analizę tego, co się działo w kraju od momentu wystartowania

pierwszego festiwalu w Jarocinie i pojawienia się tam pierwszych punkowych bądź okołopunkowych grup. My zajmujemy się własnym podwórkiem.

Ojcowie założyciele

Pojawianie się pierwszych punkowych i hard-core'owych formacji w Zielonej Górze pod koniec lat 80. pamięta Piotr, który w Akademickim Radiu Index prowadzi audycję **Scena.de**, poświęconą niemieckiej muzyce niezależnej. O tej zielonogórskiej wie sporo i przytacza nam kilka zespołów kwalifikujących się do interesującego nas zagadnienia:

Od końca lat 80. w Zielonej Górze działali Flaneli. Był to punkowy band, który miał próby w Szkole Podstawowej nr 19. Na wokalu był Wima, na gitarze Jonasz, brat niejakiego Dżakisa... Grały tam jeszcze dwie osoby, ale nie pamiętam teraz kto. Potem się rozpadli, jakoś na początku lat 90., i Wima założył P.O.W. Grali coś *à la* Biohazard i na pewno na pierwszej demówce był jakiś utwór jeszcze z repertuaru Flanelistów. Z tego, co pamiętam, to chyba *Pijackie Reggae*.

Większość osób z wymienionych do tej pory kapel zakończyło już aktywną przygodę z muzyką. Jednak nie wszyscy, bo, jak zdradził nam Piotr, Jonasz z Flanelistów gra do dziś. Poszedł w nieco innym kierunku, ponieważ został gitarzystą... bluesowym.

Wracając do samych prekursorów punkowego grania – było ich zdecydowanie więcej. Nasz roz-

mówca jest w stanie przypomnieć sobie jeszcze kilka nazw:

Z zespołów klasycznie punkowych na pewno należałoby wymienić ADP, Czerwonego Kapturka, Ocet czy Kłoshi Lumpen Terror. Większość z nich działała, dość krótko, w pierwszej połowie lat 90. Ciekawą sprawą jest to, że w Czerwonym Kapturku grał Reyash, znany dziś ze swojej działalności na scenie metalowej. Wydaje mi się, że z wymienionej stawki najbardziej znani byli Kłoshi Lumpen Terror. Przypuszczam, że nawet dziś wśród młodych punków znalazłby się osoby, które ich kojarzą.

To stwierdzenie może być prawdziwe, gdyż popularna obecnie w Zielonej Górze punkowo-reggae'owa formacja Jakoś To Będzie, wykonuje cover z ich repertuaru. Ciekawostką jest również to, że swego czasu w wielu miejscach Zielonej Góry można było znaleźć na murach napisy Kłoshi. Jak zatem widać, ich działalność zdołała wzbudzić zainteresowanie wśród lokalnych miłośników punkowego grania.

Piotr: Ciężko mi sobie przypomnieć, czy chłopaki coś nagrali podczas swojej działalności. Udało im się jednak wbić do świadomości ludzi za sprawą swoich energetycznych koncertów.

Inną załogą, o której pamięć jest podtrzymywana przez wciąż grających kolegów, jest ADP.



Christ Agony, Estrada 1994



Piotr: Zespół Jugosławia na koncercie z okazji 10-lecia swojego istnienia zagrał ich cover tytułowany *Chodzi lisek koło drogi*. To była taka forma oddania hołdu starym czasom, z których przecież oni też się wywodzą.

No właśnie, Jugosławia. Chyba jedyna punkowa załoga z początku lat 90., która przetrwała do dziś. Ba, w ubiegłym roku obchodzili swoje 20-lecie istnienia. Jej założycielem i liderem jest Paweł Prokopiuk, znany bardziej jako Bełcyk. Dziś, oprócz współtworzenia składu nie tylko Jugosławii, ale także wspomnianego już zespołu Jakoś To Będzie, jest także organizatorem cyklicznych koncertów pod hasłem Art Of Underground. Jugosławię założył w 1992 roku, jak sam pisze w oficjalnej biografii zespołu, pod wpływem takich zespołów jak Dead Kennedy's czy krajowy Defekt Muzgó. Kapela ma na koncie trzy nagrane materiały studyjne, które zostały wydane na taśmach przez wytwórnię Rovers/Arlekin z Wałbrzycha. Dwie z nich ukazały się jeszcze w latach 90., natomiast ostatnia, *Pustka w pustce*, w roku 2000. Sporo koncertowali w Zielonej Górze i okolicach, ale mogą się także pochwalić trasą po Polsce wraz z argentyńską formacją Argies, która od kilku lat regularnie odwiedza Zieloną Górę z występami na żywo. Bełcyk, opisując myśl przewodnią swojego zespołu, stwierdza:

Nasza dewiza brzmiała i brzmi cały czas tak samo: każdy ma prawo myśleć i decydować za siebie, w swoim mózgu ma kształtować pozytywne postawy ludzkie wedle jego indywidualnych kryteriów.

Gatunkiem, który naprawdę rozstawił Zieloną Górę na undergroundowej scenie muzycznej w kraju, był jednak metal. Ekstremalny metal. Takie nazwy jak Supreme Lord, Witchmaster czy In The Depth Of Night są znane dziś w niemal całej Polsce, a także poza jej granicami. Co prawda w okresie, który nas interesuje, zaczynał tylko pierwszy z wymienionych bandów, ale wszystko po kolei. Korzenie tego typu grania w naszym mieście sięgają przełomu lat 80. i 90. Wtedy to niektórym długowłosym mieszkań-

com Zielonej Góry przestało wystarczać samo delektowanie się metalowym łomotem z nośników zakupionych w najbliższej księgarni muzycznej. Postanowili sami chwycić za gitary.

Pierwszą kapelą, grającą ekstremalne metalowe dźwięki w Zielonej Górze, była formacja Slow Death. Potwierdza to Tomasz „Reyash” Rejek – muzyk Supreme Lord, Witchmaster, Profanum, a także Christ Agony czy amerykańskiej legendy death metalu Incantation (występuje w tej kapeli sporadycznie, w charakterze muzyka sesyjnego na koncertach). Warto dodać, że w latach 2008-2011 był basistą zespołu Vader.

Reyash: Slow Death jako pierwsi bawili się na naszym gruncie w tzw. ekstremalne granie. Później co prawda przeistaczali się muzycznie – swego czasu zmienili nazwę na Stillborn i zaczęli grać rzeczy pokroju Biohazard, a ostatecznie skończyli na muzyce pod Toola. Ale jeśli chodzi o ciężki metal w Zielonej Górze, to oni byli pierwsi. Potem pojawiliśmy się my z Mortuary.

Mortuary to oczywiście nazwa, pod jaką w początkowej fazie swojej działalności funkcjonowało późniejsze Supreme Lord. Obecny sztyl przyjął w 1995 roku, kiedy to wydali własnym sumptem pierwsze oficjalne demo *At the Black Moon Night*. Jak podkreśla nasz rozmówca, jego zespół jest jedyną kapelą z tamtych czasów, która funkcjonuje do dziś. Byli też pierwszą grupą, która zaprezentowała zielonogórskiej publiczności death metal. Poprosiliśmy zatem jej lidera, aby spróbował cofnąć się pamięcią do zamierzchłej przeszłości i przypomnieć sobie, jakie były reakcje na ten występ:

Reyash: Było to w 1992 roku i to był dla wielu ludzi szok! Nasz pierwszy koncert zagraлиśmy bodajże w takim klubiku Tawerna Deliryczna, a zebrało się na nim jakoś ponad dwieście osób. W większości nie byli związani z muzyką ekstremalną i pierwszy raz dopiero mogli liźnąć czegoś takiego. To była ich pierwsza styczność z growlem, przesterowanymi gitarami, podwójną stopą itd. Nic więc dziwnego, że reakcje były takie a nie inne.

Reyash przyznaje, że poza Slow Death i Mortuaty pojawiło się trochę nowych kapel, ale jest w stanie wymienić na chwilę obecną jedynie dwie nazwy: thrash metalowy Posejdon i kapelę z dziwną nazwą Pik-Pok Sadysta. W późniejszych czasach ekip, które poszły w ślady wymienionych grup, było coraz więcej. Wystarczy wymienić Profanum, Witchmaster, Demogorgon, Epitafium, Panteon czy Goatlord, a to tylko kropla w krwawym morzu metalowych grup z Zielonej Góry. Im więcej czasu poświęcimy w kolejnych artykułach. Teraz skupimy się na samych początkach. Znamy już „ojców założycieli”, czas dowiedzieć się nieco o otocze ich działalności.

Wino, kobiety i koncerty

Ciekawostką, która może być dzisiaj dla niektórych nie do pomyślenia, jest fakt, że we wczesnych latach 90. podział na subkultury nie był czymś, co... dzieliło. Okazuje się, że w tamtych czasach wszyscy trzymali się z wszystkimi. „Metale bujali się z punkami, punki z metalami, a czasem do tego wszystkiego dołączali się jeszcze hipisi” – wspomina Reyash. Wtedy jedna i druga subkultura były undergroundem, alternatywą dla szarej rzeczywistości. Właśnie to było dla nich spoiwem – bycie w opozycji do powszechnie panujących trendów, a także tworzenie czegoś własnego, co je wyróżnia. Warto zauważyć, że na tle innych miast takie wyraźne podziały do dziś nie są mocno widoczne. Wciąż część przedstawicieli sceny hardcore/punk przychodzi na koncerty

zespołów metalowych i odwrotnie. Przyczyną tego stanu rzeczy jest zapewne fakt, że duża część ekipy zaczynającej swoją działalność w interesującym nas okresie, jest cały czas aktywna, przynajmniej jeśli chodzi o wspieranie sceny przez swoją obecność na gigach.

Jak można się domyślić, sieć pubów i klubów rockowych na początku lat 90. nie była w Zielonej Górze tak mocno rozwinięta jak obecnie. Nie można jednak stwierdzić, że ówczesna undergroundowa młodzież nie miała gdzie spędzać czasu. Zapytany o to zagadnienie Reyash potrafił wymienić kilka takich punktów:

Jednym z takich miejsc spotkań była knajpa studencka U Ojca, która istnieje nadal... Oprócz tego chadzało się do Bieryozki, a także do wspominaanej już przeze mnie Tawerny Delirycznej. Mieściła się przy Wzgórzach Piastowskich.

Wspomniana Bieryozka mieściła się dokładnie w tym samym miejscu, w którym dziś możemy znaleźć Straszny Dwór. To miejsce zresztą zmieniało właścicieli i profil kilkakrotnie, ale w roku 2004 postanowiono przywrócić kultową nazwę i wskrzesić dawnego metalowego ducha. Przez jakiś czas znowu odbywały się tam koncerty, a pomieszczenie wypełniały długowłose, odziane w ramoneski istoty. Jak wiemy, ten stan rzeczy niestety nie potrwał do dnia dzisiejszego. Bieryozka ustąpiła Straszniemu Dworowi w okolicach 2006 roku.



Vader, Estrada 1994



Oprócz klubów można było się spotkać z ekipą znajomych pod chmurką, jeśli tylko zezwalała na to pogoda. Betyk wspomina:

Pamiętam, że informacje o imprezach, koncertach często przekazywane było pocztą pantoflową, a miejscem takowych spotkań, gdzie można było dowiedzieć się wszystkiego, był plac Bohaterów Westerplatte. Na placu wieczorami spotykała się ekipa zielonogórska i można było dowiedzieć się wszystkiego oraz wypić wszystko.

Łączenie przyjemnego z pożytecznym, jak wiadać, było również chlubną cechą zielonogórskiego undergroundu.

Wywołany został tu także temat koncertów. Jak Polska długa i szeroka na przełomie lat 80. i 90. nie można było liczyć na organizowanie ich przez państwowe instytucje, a o czymś takim jak prywatne agencje koncertowe można było wówczas pomarzyć. Zielona Góra nie była w tej kwestii wyjątkiem. Nie była też wyjątkiem, jeśli chodzi o próby wzięcia spraw koncertowych w swoje ręce przez członków prężnie rozwijającej się sceny undergroundowej. To zjawisko w naszym mieście dowodzi po raz kolejny słuszności staropolskiej mądrości *chcieć to móc*. Podczas gdy dziś często narzeka się, że nie ma pieniędzy na organizację czegokolwiek, wtedy oprócz tego dochodziło do takich sytuacji, że nie było nawet... klubu, w którym taki koncert mógłby się odbyć.

O wypowiedź na temat sytuacji koncertowej w naszym mieście w tamtych czasach, poprosiliśmy Igora Skrzyczewskiego, menadżera artystycznego klubu 4 Róże dla Lucienne:

Wtedy nie było tylu klubów, gdzie można by zorganizować koncerty. Zresztą samych koncertów było bardzo mało. Jak już się jakiś odbył, było to duże wydarzenie. Organizowano je np. w szkołach. Dużym wydarzeniem był przegląd kapel o „Złoty Nocnik” w zielonogórskim Amfiteatrze. Koncerty odbywały się także w nieistniejącej już Estradzie, na scenie głównej lub części w holu. Od czasu do czasu grano także w muszli koncertowej w Parku Tysiąclecia, teraz w tym miejscu jest skatepark.

Wspomniany przez Skrzyczewskiego przegląd „Złoty Nocnik” to wydarzenie, przy którym warto byłoby się zatrzymać. Była to w tamtych czasach jedyna impreza, na której każda młoda kapela mogła się zaprezentować, niezależnie od muzycznego stażu, umiejętności czy wykonywanego gatunku. Przekrój uczestników był naprawdę szeroki – od łagodnego rocka, przez punka, po ciężkie metalowe brzmienia. Najważniejsze jest również to, że ów przegląd przyciągał także grupy spoza Zielonej Góry. Udział brały kapele z okolicznych miast ówczesnego województwa zielonogórskiego. Najmocniej jednak reprezentowany był Winny Gród.

Reyash: To było naprawdę wielkie wydarzenie.

Cała zabawa wyglądała tak, że najpierw były eliminacje, w których startowało ok. 20-30 zespołów z całego województwa. Z tego zestawu do dalszego etapu przechodziło chyba dziesięć, a potem zostawały najlepsze cztery. I te cztery najlepsze zespoły mogły później zagrać jako *support* przed jakąś gwiazdą typu Acid Drinkers, Illusion czy Houk, która przyjechała by dawać koncert w Zielonej Górze.

Innym wspomnieniem Reyasha z przeglądów „Złotego Nocnika” jest jego frekwencja. Koncerty potrafiły przyciągnąć na amfiteatr ponad tysiąc osób, a niekiedy niemal w całości go zapelnąć. Warto jednak pamiętać, że to były czasy, kiedy ludzie faktycznie uczęszczali na wszelkiego rodzaju koncerty, jak podkreśla nasz rozmówca. Zdaniem wielu spadkobiercą tradycji zapoczątkowanej przez ów przegląd, jest dziś festiwal Rock Nocą organizowany przez Fundację Rozwoju Kultury Kombinat Kultury, który doczekał się już czternastu edycji i od kilku lat jest wydarzeniem nie tylko ogólnopolskim, ale również międzynarodowym, posiadającym swoje sceny w kilku innych krajach Europy.

Wracając do czasów minionych, jak wspominają nasi rozmówcy, koncerty kapel znanych i posiadających już wyrobioną renomę, były rzadkością w Zielonej Górze. Od wielkiego dzwonu trafiał się koncert wspomnianych Acid Drinkers, albo innych grup tego pokroju. Miłośnicy punka mieli jeszcze gorzej, po-

nieważ występów ich ulubionych zespołów było jak na lekarstwo. Podobnie sytuacja miała się z fanami bardziej ekstremalnych odmian metalu niż ta prezentowana przez Titusa i kolegów. Jak się nie ma, co się lubi... to trzeba zakasać rękawy i to zdobyć!

Zaczęły się pierwsze próby organizowania koncertów na własną rękę. Początkowo były to imprezy obsadzone przez lokalne kapele np. w szkolnych aulach. Byli jednak tacy, którzy nie bali się pójść o krok dalej i postanowili zaprosić do Grodu Bachusa kapele spoza miasta... i to z górnej półki.

Reyash: W 1993 roku zaprosiłem na koncert do Zielonej Góry zespół Christ Agony, który przyjechał jeszcze rok później, tym razem w towarzystwie Vadera. Ten drugi koncert odbył się w holu nieistniejącej już Estrady. Były to pierwsze, a przynajmniej jedne z pierwszych koncertów z ekstremalnym metalem w Zielonej Górze.

Były one zresztą strzałem w dziesiątkę, ponieważ zgromadziły ok. 300-400 osób każdy i to publiki mieszanej, nie tylko związanej z najcięższymi odłami metalowej muzyki. Nie trzeba chyba nikomu przypominać o dzisiejszej pozycji zespołu Vader, a i w czasach zaproszenia ich po raz pierwszy do Zielonej Góry była ona wysoka. Zespół był świeżo po wydaniu debiutanckiej płyty *The Ultimate Incantation* dla angielskiej wytwórni Earache Records. Udało im się jako pierwszej polskiej metalowej kapeli podpisać kontrakt z wytwórnią spoza granic na-

szego kraju. Christ Agony dziś również wymieniani są w czołówce polskiego (i nie tylko) metalu. Na początku lat 90. wydawali swoje pierwsze albumy, które dziś cieszą się statusem kultowych.

W zaciszu kanciapy

Zanim zespoły wkroczyły na sceniczne deski, aby zaprezentować się szerokiej publiczności, musiały opracować i przećwiczyć repertuar. Jeśli chodzi o sale prób w Zielonej Górze, ich liczba i stan także stanowiły problem. Obrazki jak z amerykańskich filmów, gdzie kapela zamyka się w swoim garażu i tam w pocie czoła kleci nowe utwory, były rzadkością. Bo nawet jeśli ktoś taki garaż posiadał, pojawiał się inny ciężki do przejścia kłopot – sprzęt, a raczej jego brak.

Bełtyk: Próby, podobnie jak i koncerty, odbywały się wtedy w miejscach dość dziwnych... Warunkiem było tylko posiadanie jakiegoś sprzętu i prądu. Na samym początku takowego sprzętu brakowało, więc często zdarzało się tak, że koncerty i próby odbywały się na jednym zestawie wzmacniaczy, gitar sklejonych na „zapałki”... Ale wtedy liczyło się tylko to, że można pograć, wyrazić swoje emocje głośno i szybko.

Reyash: W Polsce nie było wtedy ani gitar, ani wzmacniaczy, ani perkusji, a jeśli już jakimś cudem coś z tych rzeczy udało się znaleźć, to ludzi nie było na to stać. Zresztą w sprzęt zaopatrywano się wtedy najczęściej w ówczesnym NRD albo Czecho-



Reyash na probie Mortuary, 1994



Przygotowania do koncertu, 1993

słowacji. My na początku pożyczaliśmy gitary od znajomych, a wzmacniacze robiliśmy z odtwarzaczy magnetofonowych albo winylowych. Perkusja to były natomiast zazwyczaj dwa stołki, kanapa i jakieś poduszki. Generalnie większość kapel w Polsce w tamtych czasach tak grała próby.

Jak widać, można przeskoczyć wszystko, bo przecież od czego jest pomysłowość i potrzeba grania. Z czasem sytuacja ekonomiczna w Polsce zaczęła się poprawiać i młodzi muzycy mogli powoli zaopatrywać się w sprzęt, chociaż ten najbardziej podstawowy. W Zielonej Górze takim miejscem był sklep muzyczny przy ulicy Bohaterów Westerplatte. Mieścił się w tym samym miejscu, gdzie dziś możemy znaleźć placówkę jednej z ogólnopolskich sieci handlujących instrumentami.

Reyash: Z perspektywy czasu można śmiało powiedzieć, że tam tak naprawdę nic nie było. Ale było to jedyne miejsce w mieście, gdzie można było kupić wtedy struny, gitarę na raty czy coś w tym stylu.

Wróćmy jednak do samych miejsc, w których można było grać. Jak udało się nam ustalić dzięki pomocy Bełcyka, próby robiło się gdzie popadnie. Jednak w tej kwestii miasto z czasem okazało się być bardziej pomocne niż w wypadku organizowania koncertów. Pomocną dłoń do młodych kapel wyciągnął Zielonogórski Ośrodek Kultury (wówczas Centrum Kultury), który udostępniał im pomieszczenia, w których mogli swobodnie ćwiczyć. Na dodatek były one już wyposażone w niezbędny sprzęt, więc odpadał kolejny problem.

Reyash: Na dole budynku Centrum Kultury była taka piwnica, w której zrobiono zaimprovizowane studio. Tam właśnie robiliśmy próby i jak naliczyliśmy, swojego czasu korzystały z tej salki dwadzieścia dwie kapele. Wszystkie zespoły były z pogranicza metalu, rocka, punka itd.

Co ciekawe, owo miejsce było również użyteczne, jeśli ktoś chciał przećwiczone utwory za-

rejestrować. Ze słów Reyasha wynika, że zastane tam warunki były odpowiednie do nagrania materiału promocyjnego lub dema. Była to też opcja dla tych, którzy nie mogli sobie pozwolić na wydatek i wizytę w profesjonalnym studiu. Takim było Poly-sound, mieszczące się do dziś przy ulicy Sienkiewicza w budynku Regionalnego Centrum Animacji Kultury.

Reyash: Tam swoje materiały nagrywaliśmy my i wiele zespołów nawet spoza Zielonej Góry. To było niewątpliwie najbardziej profesjonalne studio w mieście w tamtym czasie.

Igor Skrzyczewski: Innym, obok salki w Centrum Kultury, popularnym miejscem do grania była salka prowadzona przez Andrzeja Żołądziejewskiego. Andrzej jednak co dwa lata zmieniał chyba jej miejsce, ze względu na hałas i idące za tym problemy z sąsiadami.

To jednak nie lokalizacja, a osoba właściciela stanowiła magnes dla początkujących zespołów, aby grać właśnie u niego. Żołądziejewski to gitarzysta rockowy, który był związany z kilkoma lubuskimi kapelami, w tym jedną, w której śpiewała finalistka pierwszej edycji Idola, Ewelina Flinta. Oprócz tego, że wynajmował pomieszczenie do grania prób, udzielał lekcji gry na gitarze elektrycznej, basowej, a także podstaw gry na perkusji. Na tym polu działa zresztą do dziś. Krążą anegdoty, że jest jedynym człowiekiem w Zielonej Górze, który zna wszystkich tutejszych muzyków rockowych.

Wrogowie publiczni (?)

Jak wszem i wobec wiadomo, subkultury powiązane z cięższymi odmianami muzyki rockowej, nie zawsze spotykały się ze zrozumieniem i sympatią pozostałej części społeczeństwa. Do dnia dzisiejszego różnie z tym bywa, a co dopiero w okresie sprzed 20 lat. Zwłaszcza środowisko metalowe było na cenzurowanym, ze względu na swoje podejście do kwestii religijnych, które – delikatnie mówiąc – dalekie było od powszechnie przyjętych w naszym kraju. Niejeden długowłósy młodzieniec zarówno w tamtych czasach, jak i dziś, zmagą się z metką satanisty, nie zawsze

słusznie przypinaną. Takie szufladkowanie jest tak samo stare jak muzyka metalowa, bo dotknęło przecież takich grup jak Black Sabbath czy Iron Maiden, które z kultem piekieł nie miały nic wspólnego.

W Polsce zmianie wizerunku metalowca nie pomagały poczynania rodzimych formacji, takich jak Kat czy Test Fobii Kreon, którzy spalili na scenie krzyż podczas swojego występu w Jarocinie. Każdy fan metalu wie jednak, że epatowanie diabelską symboliką to z reguły wyłącznie element wizerunku scenicznego i artystycznej ekspresji, a nie zjawisko, które może komukolwiek zagrozić. Ciężiej to wytłumaczyć szaremu Kowalskiemu, który na nieszczęście młodego metalowca posiadającego swój zespół, jest często właścicielem dogodnego miejsca do grania prób. Ze względu na pewne przesłanki, o których usłyszał w telewizji czy w radiu, nie wyraża zgody, kiedy ów metalowiec z kapelą przyjdą spytać, czy nie wynająłby im pomieszczenia na próby. W końcu mogą zjeść tynk ze ścian, zakąsić go wykładzinami i popić krwią gruchających w okolicy gołębi. Historii o wyrzucaniu zespołów metalowych z ich sal prób bez podania konkretnej przyczyny jest mnóstwo. Nawet takie tuzy jak Vader musiały się swojego czasu zmagać z czymś takim. To zjawisko pokutowało w przeważającej części kraju. W przeważającej, bo okazuje się, że w Zielonej Górze nie było pod tym względem tak źle. Młodzi adepci metalowego grania generalnie mogli liczyć w naszym mieście, jeśli nie na przychyłność, to chociaż tolerancję dla swojej pasji.

Reyash: Nie było jakiegoś wytykania nas palcami czy robienia problemów. W Zielonej Górze takie zachowania były marginesem. Z tego, co wiem, o wiele gorzej pod tym względem było we Włocławku czy Płocku. Tam nagonka była aż tak duża, że nie trzeba było słuchać metalu, a wystarczyło mieć długie włosy i już taki człowiek był ganiany, dochodziło do pobić itd. W Zielonej Górze nie mieliśmy z tym nigdy jakiegoś problemu.

Większych problemów z tolerancją wśród pozostałej części mieszkańców nie odnotowali również przedstawiciele sceny hardcore/punkowej w na-

szym mieście. Swego czasu często angażowali się w akcje społeczne, polegające na zbieraniu ubrań lub pożywienia dla bezdomnych, czy też pomagające zwierzętom z lokalnego schroniska.

Krąży jednak mit, że punkowcy i metalowcy między sobą także nie darzyli się specjalną sympatią. Do bójek i starć między tymi subkulturami dochodziło dość często w innych miastach Polski, ale jak już wspominaliśmy wcześniej, na tym tle Zielona Góra również się wyróżniała.

Bełcyk: Słyszało się o tym, że niekiedy dochodziło do jakichś „nieporozumień” na linii metale–punk, ale ja osobiście nic takiego nie przeżyłem, ani nie widziałem... W moim środowisku osiedlowym czy szkolnym trzymaliśmy zgodę ze względu na znajomość. Trudno było się kłócić, skoro się znało. Pamiętam, bodajże sobotnie, popołudniowe mecze w piłkę nożną między punkami i metalami, więc raczej było OK.

Jest to na pewno w dużej mierze spowodowane wielkością miasta, a także faktem, że w czasach, gdy cały underground się tu rodził, miało to miejsce na konkretnych osiedlach, gdzie osoby tworzące to zjawisko, znały się od dziecka i te przyjaźnie przysłaniały to, z jakiej subkultury kto się wywodzi. Żeby jednak nie było za słodko, warto wspomnieć o pewnym zjawisku związanym tylko z subkulturą metalową, które miało swojego czasu miejsce w całej Polsce, nie wyłączając z tego Zielonej Góry. Chodzi o tzw. krojenie, czyli egzaminowanie metalowej młodzieży ze składu i dyskografii zespołu, którego logo posiada na koszulce, naszywce lub przypince. Oblanie egzaminu wiązało się z... utratą wymienionych fantów – jednego z nich, a niekiedy wszystkich naraz. Takie sytuacje często były spotykane na koncertach, które przez osoby uczęszczające w nich w tamtym okresie wspomniane są różnie, ze względu na to, po której stronie „krojenia” się stało. Była to jednak niewątpliwie dodatkowa doza adrenaliny. Dla niektórych to taka forma metalowego folkloru, inni uważają to po prostu za odsiewanie ziaren od plew, czyli metalowym językiem mówiąc, eliminację pozerów. Z tego, co wiadomo autorowi tego artykułu, zjawisko to

jest w niektórych częściach Polski praktykowane do dziś, a niekiedy nawet przenoszone za granicę. Należy bowiem zaznaczyć, że w innych krajach poza naszym jest ono mało znane. Pewnie dlatego, że u nas zostało wymuszone przez sytuację finansową u schyłku PRL-u i na początku transformacji. Obecnie, gdy wszystkie metalowe gadzety są na wyciągnięcie ręki, rytuał ten odszedł do lamusa i istnieje głównie jako przekazywana z ust do ust legenda o dawnych dziejach.

Kamyczek uruchamiający lawinę

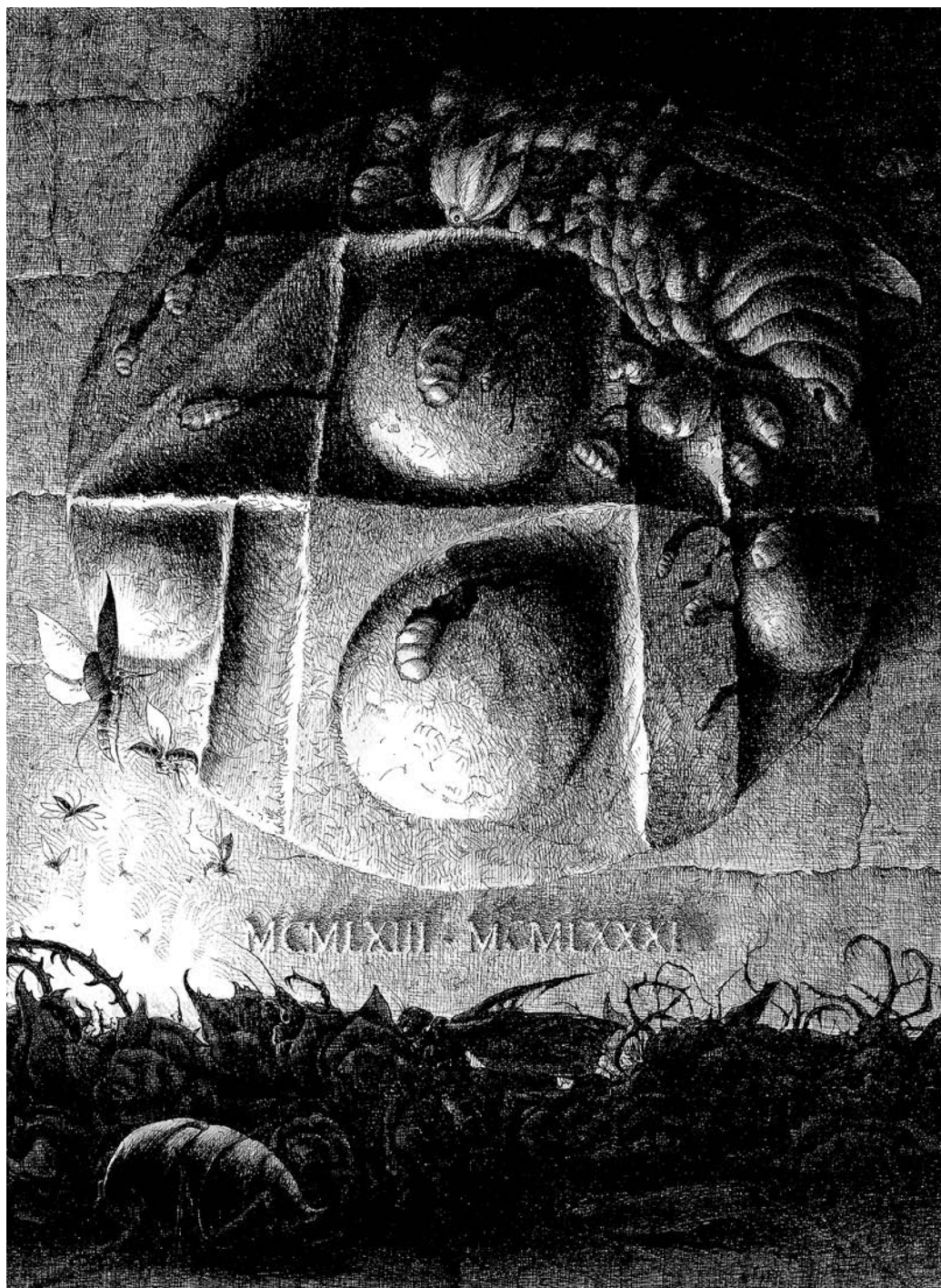
Na przełomie lat 80. i 90. w Zielonej Górze rzucono jeden mały kamyczek, który uruchomił lawinę muzyków i kapel, które swojego czasu powstawały jak grzyby po deszczu. Wiele z nich nie przetrwało próby czasu, ze względu na problemy ze składem, prozę życia czy po prostu brak wytrwałości. Jest jednak spora część, która niezrażona dalszym trwaniem w muzycznym podziemiu wciąż rwie struny, łamie pałeczki i pali wzmacniacze w zaciszu swoich sal prób i będzie grać jeszcze długie lata, bo po prostu kocha to robić. Garstce zespołów z Winnego Grodu udało się wybić daleko poza granice naszego miasta, a nawet kraju. Już nie tylko w Polsce mówi się przecież o takich kapelach jak Witchmaster, Artrosis czy

Supreme Lord. Wiele pozostałych zespołów metalowych, a także hc/punkowych, regularnie koncertuje poza granicami miasta, gdzie spotykają się z bardzo dobrym przyjęciem. Duża liczba osób „siedzących” w undergroundowej muzie, zdążyło już zauważyć takie zjawisko jak „Zielonogórskie Zagłębienie Metalowe”, żeby sparafrazować określenie Piotra Bałtroczyka na to, co dzieje się w Zielonej Górze w kwestii kabaretów.

Początki zielonogórskiej sceny undergroundowej i zaistnienia takiego zjawiska zaczęły się tak naprawdę od... jednego nagrania.

Reyash: Myślę, że to było po ukazaniu się naszego demo *At the Black Moon Night* w 1995 roku. Pojawiły się potem jego recenzje w różnych magazynach, zinach, „zwykłych” gazetach... Wtedy też zaproszono nas na festiwal Vox Mortis do Warszawy, gdzie zebraliśmy bardzo dobre recenzje. I wydaje mi się, że wtedy zaczęto się mówić w Polsce, a nawet poza jej granicami, że w Zielonej Górze się dzieje i tam też grają ekstremalnie.

Grają i to do dziś w niemal podobnej liczbie jak około 20 lat temu. Przez ten czas zdążyło się zdarzyć niezwykle wiele ciekawych rzeczy. Ale to już temat na inną historię.



Igor Myszkiewicz, *Zdobycy II*, tusz, 42x56 cm

Pięćdziesiąt lat później. W cieniu legendy

Mamy jubileusz

W tym roku mija 50 lat od pierwszego Złotego Grona – obrosło już legendą wydarzenia artystycznego, które znalazło swoje zasłużone miejsce w historii sztuki polskiej. Sympozja i wystawy zlotogronowe odbywały się w Zielonej Górze przez dwie dekady i były widocznym znakiem obecności lokalnego środowiska na artystycznej mapie kraju. Legendarne to dzisiaj czasy i legendarni ludzie, obecni wciąż w anegdocie, przypominani w kolejnych opracowaniach, książkach, artykułach, utrwaleni w słowie, pamięci i spizu... Mimo upływu lat ich dorobek wciąż rzuca potężny cień.

A jak wygląda dzień dzisiejszy? Jaka jest mapa zielonogórskiej sztuki współczesnej *Anno Domini* 2013? Spróbuję, rzecz jasna subiektywnie, naszkicować jej zarys.

Jest więc... inaczej. Zamiast jednego, skonsolidowanego środowiska mamy wielość grup, stowarzyszeń, instytucji i indywidualności; zamiast jednego głosu – chór śpiewający różne pieśni.

Zacznijmy od miejsc – scen i aren, na których sztuka współczesna może przeżyć muskuły, szczerzy kły i rozpościerać pawie ogony.

Zielonogórska Galeria Biura Wystaw Artystycznych (13 miejsce w tegorocznym rankingu najlepszych polskich galerii tygodnika „Polityka”) sama w sobie jest nieoficjalnym pomnikiem lokalnego środowiska twórczego i jego złotego wieku. Nie jest jednak mauzoleum minionej chwały, lecz miejscem nieustannych poszukiwań i eksperymen-

tu. Program instytucji, kierowanej przez Wojciecha Kozłowskiego, jest autorski i bezkompromisowy, daleko odchodzi od idei utylitarnej galerii miejskiej (co dla jednych jest zaletą i przyczyną sukcesu, dla innych zdecydowaną wadą placówki). Wokół BWA skupiło się także środowisko młodych, acz już zauważonych zielonogórskich artystów. Przy Galerii działała też Lubuska Zachęta Sztuki Współczesnej, dziś jednak zdaje się pozostawać w stanie uśpienia.

Nieprzerwanie od dekad sztuką współczesną interesuje się Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, zwłaszcza Galeria Nowy Wiek (prowadzona przez Leszka Kanię) wprowadza na muzealne sale awangardę nie tylko polskich twórców, umieszcza także aktualne poszukiwania w szerszym kontekście czasu. Przykładem takiego podejścia może być wystawa *Marian Szpakowski – kontynuacja* z 2008 roku, w ramach której grupa młodych zielonogórskich artystów odnosiła się do twórczości i legendy artysty. Dział Sztuki Współczesnej MZL koncentruje się na prezentacji sztuki nowoczesnej ostatniego stulecia, a działająca także w Muzeum Galeria Twórców Galera (pod kierunkiem niżej podpisanego) skupia się z kolei na „poboczach sztuki współczesnej” – ilustracji, komiksie, grafice cyfrowej i flirtach z popkulturą.

Istotnym miejscem wystaw i wydarzeń artystycznych są również przestrzenie Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida, instytucji gromadzącej pokażne zbiory prac naszych artystów. Przy bibliotece działa Muzeum Ilustracji Książkowej, które można zwiedzać również wirtualnie.

Na zielonogórskiej starówce wciąż działa Galeria Pro Arte Okręgu Zielonogórskiego Związku Polskich Artystów Plastyków. Obecnie kierownikiem Galerii jest Iwona Peryt-Gierasimczuk, wystawy odbywają się regularnie, prezentując twórczość artystów nie tylko należących do struktur zielonogórskiego ZPAP. Sam Okręg zrzesza dziś blisko setkę twórców różnych pokoleń – od artystów sędziwych, związanych z naszym Miastem od dziesięcioleci po świeżych absolwentów uczelni artystycznych. W kontekście jubileuszu Złotego Grona warto przypomnieć, że to właśnie Okręg Zielonogórski ZPAP był głównym organizatorem sympozjów. Dziś, mimo że artyści zrzeszeni reprezentują bardzo wysoki poziom i odnotowują znaczące sukcesy, sama organizacja zdaje się angażować w kształtowanie kulturalnego pejzażu Miasta z wyraźnie mniejszym entuzjazmem niż w dekadach poprzednich.

Kreśląc mapę zielonogórskiej kultury, nie można nie wspomnieć o Instytucie Sztuk Wizualnych Uniwersytetu Zielonogórskiego. W jego strukturach działa kilka galerii: Galeria PWW, Na Dole, Rektorat, Galeria Biblioteki Sztuki. Prezentują one zarówno twórczość ważnych artystów nowoczesnych, jak i studentów, będąc często miejscem ich debiutu. Kadrę uczelni tworzą w dużej mierze twórcy zielonogórcy (m.in.: Alicja Lewicka-Szczegóła, Magdalena Gryśka, Radosław Czarkowski, Jarosław Dziecielewski, Wojciech Kozłowski, Mirosław Gugęła oraz zmarły niedawno Zenon Polus). Instytut przez ponad dwadzieścia lat swego istnienia wrósł w ciało Miasta i zauważalnie zmienił jego artystyczny kształt.

Głównie za sprawą absolwentów. Przybywa ich rok po roku, część pozostaje na stałe, tworząc coraz liczniejsze środowisko połączone wspólną przeszłością. Znajdziemy ich chyba już w każdej lokalnej instytucji kulturalnej czy agencji reklamowej. Nie ma prawdopodobnie w mieście restauracji, kawiarni czy knajpy, gdzie nie odbywałyby się czasem jakieś wernisaże i wydarzenia artystyczne. Czasem są to wydarzenia jednorazowe, czasem przyjmują charakter mniej lub bardziej efemerycznych galerii. Wielu spośród absolwentów Instytutu zaznaczyło już swoją obecność w sztuce nie tylko polskiej.

Ciekawym przykładem wydarzeń efemerycznych mogą być spontaniczne akcje, happeningi, działania w miejskiej przestrzeni, wystawy sztuki zaangażowanej w nietypowych, opuszczonych przestrzeniach realizowane przez nieformalny kolektyw F13/Centrallę Twórczą. Grupa rozpoczęła działalność w ruinach starej fabryki włókienniczej C. Eichmanna przy ul. Fabrycznej 13, przekształcając to miejsce w centrum alternatywnej kultury. Po, nie do końca dobrowolnej, wyprowadzce z dawnej tkalni grupa koncentruje się na cyklu działań Look&See, imprezach promujących współczesną kulturę audiowizualną, niszową muzykę... Równocześnie animatorzy F13, Anna Kraśko i Adrian Nejman starają się aktywnie uczestniczyć w dyskusji o kształcie przestrzeni Miasta. Warto tu wspomnieć spontaniczną akcję sprzątania grobowca Georga Beuchelta czy ocalenie przed zniszczeniem szyldów Polonu i Hermesa. Wróćmy jeszcze na chwilę na ulicę Fabryczną.

W 2011 roku zakończył się remont starej tkalni Eichmanna, odrestaurowany budynek przeznaczono na żer kultury. Wraz z sąsiednimi obiektami utworzył on Zaułek Artystów, szybko przemianowany na Krzywy Komin. Działalność jako pierwsza rozpoczęła Fundacja Salony, założona przez grupę młodych artystów i animatorów kultury (Fundację tworzą: Marta Gendera, Michał Rogoziński, Basia Bańda, Jarosław Jeschke, Aleksandra Kubiak, Michał Jankowski, Rafał Wilk, Marek Lalko). Grupa, obok organizacji wystaw i pokazów, stara się również aktywnie uczestniczyć w życiu Miasta. Przykładem może być trwająca już od wielu miesięcy akcja mająca na celu rewitalizację Parku Tysiąclecia i uczynienie z niego przyjaznej przestrzeni, nie tylko rekreacyjnej. Artyści nie proponują tu gotowej recepty, założeniem projektu jest jej wypracowanie, także z udziałem mieszkańców. Projekt ma charakter otwarty i jeszcze nie można stwierdzić, czy doprowadzi do nowej jakości kreowania wspólnej przestrzeni, czy spektakularnej katastrofy. Obserwując działania i aktywność Fundacji, mam wrażenie, że powoli staje się ona dla Miasta tym, czym w latach 60. i 70. był zielonogórski ZPAP, czuję tu aspekt symbolicznego dziedzictwa, kontynuacji...

Również w Zaułku Artystów znajduje się Galeria Art Marii Idzikowskiej, miejsce dla nieco innej publiczności, przede wszystkim prowadzące sprzedaż dzieł sztuki.

Trzecim przyczółkiem sztuki współczesnej w cieniu Krzywego Komina jest Galeria Twórców Galera. Tu Galera działa w gościnnych przestrzeniach klubu Piekarnia Cichej Kobiety, prezentując twórczość najczęściej młodych artystów (choć obok debiutów zdarzają się wystawy twórców już uznanych). Sama galeria jest przedsięwzięciem nieformalnym, mimo to (a może właśnie dlatego?) działa już siedemnasty rok, do dzisiaj pod jej sztandarem zorganizowano 205 wystaw. Galera realizuje swoje działania w różnych miejscach, początkowo były to korytarze Instytutu Sztuki i Kultury Plastycznej (obecnie Instytut Sztuk Wizualnych), potem studenckie kluby, kilka pubów i ośrodków kultury, a obecnie portami Galery są Muzeum Ziemi Lubuskiej i Piekarnia Cichej Kobiety. Kierownictwo Galerii spoczywa w rękach moich i Anny Nabel-Myszkiewicz.

Wciąż powstają nowe miejsca prezentacji sztuki nowoczesnej. Warto wymienić tu choćby Bunkier Kultury, działający od kilku miesięcy w dawnym schronie przy Centrum Biznesu. Odbiło się tu już kilka wystaw i pokazów, Bunkier nawiązał także współpracę z Galerią Pro Arte. Koordynatorem przedsięwzięcia jest Łukasz Musielak, a inicjatorem Klub Krytyki Politycznej w Zielonej Górze. Autorzy projektu widzą w działaniach artystów znak zmian zachodzących w kulturze i chcą w tych zmianach czynnie uczestniczyć.

Bardzo ciekawą inicjatywą jest działająca przy Młodzieżowym Centrum Kultury i Edukacji Dom Harcerza Galeria „Dzika” – pokazuje prace współczesnych, zielonogórskich artystów widowni, którą stanowią dzieci i młodzież.

Nie sposób wymienić wszystkich miejsc, środowisk i inicjatyw. Raz, że część z nich ma charakter jednorazowy, efemeryczny, dwa, że dzieje się po prostu dużo. Również obszar poszukiwań nie ma ostrych granic; sztuka wysoka przenika się z popkulturą, język hermetyczny krytyków z komiksowym dymkiem.

No właśnie – komiks. Zielonogórskie środowisko komiksowe rozwija się z żelazną konsekwencją.

W zeszłym roku ukazała się drukiem antologia 30 będąca symbolicznym wyjściem zielonogórskich komikarzy ze świata undergroundowych zinów, w tym roku doczekamy się kolejnej zbiorowej publikacji. Niektórzy twórcy mają już na koncie dobrze przyjęte albumy, wymienimy choćby *Kapitana Niepalnego* Marka Starosty i Szymona Teluka. Podobają się także komiksy sieciowe zielonogórczyków – *Niecodziennik MKK* Martyny Krutulskiej-Krechowicz (w tym roku ukaże się także wersja drukowana!), mój *Zdeptaki i Kryzys Wieku...* Zielonogórskie komiksy prezentowane są także często w formie wystaw. Liderem i animatorem Zielonej Grupy Komiksowej jest Sławomir Sznajder.

Widoczni są także rzeźbiarze, w ciągu ostatnich kilku lat nastąpił wysyp pomników i rzeźb w przestrzeni miejskiej, w większości były to prace miejscowych twórców. Wymienimy tu choćby pomnik Ignacego Łukasiewicza i *Matkę Sybiraczkę* Roberta Tomaka, *Obelisk Smoleński* Małgorzaty Bukowicz i oczywiście Bachusiki wyżej wymienionych rzeźbiarzy i Artura Wochniaka. Są one kreowane na jeden z symboli i atrakcję turystyczną Miasta, przez jednych znienawidzone, kochane przez drugich. Często padają ofiarą celowych dewastacji, choć raczej nie z powodów ideowych, lecz pewnej niefrasobliwości w wyborze miejsca i sposobu usadowienia. Nasi rzeźbiarze mają także na koncie bardzo spektakularne realizacje – świebodziński Chrystus Król powstał według projektu Mirosława Pateckiego, członka zielonogórskiego ZPAF, natomiast Artur Wochniak jest autorem rekonstrukcji (na podstawie modeli Ernsta Rietschela z 1863 roku) *Kwadrygi Brunonii* w Brunszwiku, jest to największa rzeźba tego typu w Europie.

Nie przeoczmy także murali. Barwne kompozycje pokrywające wyznaczone ściany przykuwają wzrok, często nawiązując do funkcji danego budynku lub zielonogórskiej symboliki czy historii. Zielonogórcy streetartowcy działają pod egidą Fundacji Bezpieczne Miasto, a za ich niekwestionowanego lidera można uznać Jakuba Bitkę, również absolwenta Instytutu. Na kilku ścianach znajdziemy także arty Sławomira ZBIOKa Czajkowskiego, artyści i graficy zauważonego już w kraju i za granicą.

Jego zielonogórskie murale nawiązują do dramatycznych wydarzeń mających tu miejsce w dawnej (XVII-wieczne procesy czarownic) i mniej odległej (zamieszki po śmierci kibica Falubazu z 2011 roku) przeszłości naszego Miasta.

Kulturalnego pejzażu Zielonej Góry nie tworzą tylko środowiska profesjonalne. Swoją rolę mają także uprawiający sztukę rekreacyjnie amatorzy (choćby studenci Uniwersytetu Trzeciego Wieku), jak i artyści traktujący ją bardziej jak zawód i sposób na życie, choć bez dyplomu w kieszeni. Nie sposób przemilczeć tu osoby Jana Papiny, od lat przenoszącego obrazy Matejki w monumentalne, drewniane płaskorzeźby. Choć jego prace zyskały rozgłos i wielbicieli, Papina jest zaciekle atakowany, najczęściej przez twórców profesjonalnych (jestem dziwnie przekonany, że gdyby ten rzeźbiarz był zawodowcem, luminarze sztuki zachłystywaliby się nad „przewrotną transpozycją dzieła zastanego” lub czymś podobnie enigmatycznym).

Dyplom uczelni artystycznej nie jest już dziś (w dobie wolności sztuki) gwarancją posiadania konkretnych umiejętności. Jego brak zresztą też. Liczy się tylko weryfikowalny etap końcowy, jak choćby długa lista nagród i wyróżnień dla teoretycznie nieprofesjonalnych fotografików i grafików cyfrowych – Bogusława Strzegowskiego, Adama Andrearczyka, Patryka Cielieńskiego, Rafała Karalusa. Tworzenie jest dzisiaj popularne, trendy; dzięki społecznościom sieciowym nie ma także problemu ze znalezieniem towarzyszy, mentorów i nauczycieli. Grupa zielonogórska na portalu artystycznym digart.pl liczy dziś 456 dusz, profesjonalistów i amatorów.

Dzieje się więc dużo. Obraz zielonogórskiej sztuki tkają przeróżne środowiska i utalentowane jednostki (na szersze omówienie poszczególnych sylwetek wyróżniających się artystów potrzeba by niejednego tomu). Nie ma tygodnia bez przynajmniej jednego wydarzenia artystycznego, nigdy też w naszym mieście nie mieszkało tak wielu, tak różnych, kreatywnych artystów. Sztuka współczesna objawia się w pełnej palecie swych odcieni, od zaangażowanej awangardy, przez nawiązania i flirty z klasyką aż do popkulturowych gier. A jednak wciąż z nostalgią wspominamy tamte czasy sprzed trzydziestu,

czterdziestu lat. Powracają nazwiska: Szpakowski, Felchnerowski, Rojowski, Słocki, tamte wystawy, przytaczane po wielokroć te same anegdoty... Czytając o sztuce współczesnej w Zielonej Górze, odnoszę czasem wrażenie, że zakończyła się na latach 80. i to raczej w pierwszej połowie. Dlaczego?

Czy w ciągu ostatnich trzech dekad nie działo się nic istotnego, nie pojawiło się żadne nazwisko lub wydarzenie godne zapamiętania? Wręcz przeciwnie, dzieje się tyle, że nie sposób we wszystkim uczestniczyć. Może więc sztuka dzisiejsza jest słabszej próby? Inna – oczywiście, ale dowolna wystawa retrospektywna powinna wyleczyć nas z kompleksów.

Z pewnością żyjemy w innym świecie, inaczej zorganizowany jest nasz czas, inne myśli, inne sny, ale chyba nie o to tylko chodzi. Czego więc brakuje? Kalendarze kulturalne pękają w szwach, na wernisażach nie ma problemów z frekwencją.

Brakuje barda.

Nie wystarczy wydarzenie, choćby i było spektakularne. Potrzebny jest jeszcze bard, nie tylko świadek, ale i pieśniarz, który zamiast prostej relacji zamieni wspomnienia w opowieść, felieton, artykuł, pieśń, legendę. I nie o chwałę tu chodzi, ale właśnie o ciekawą, porywającą lub też szyderczą i drażniącą opowieść. Opowieść wartą zapamiętania.

Dziś artyści nie mają swojego Andabaty, w którego felietonach, potem książkach przetrwałaby i uwzniośliła się ich codzienność. Lokalna prasa zamieszcza czasem relacje z wystaw, ale od lat nikt nie odważył się napisać recenzji. Głębsze teksty o lokalnej kulturze można właściwie spotkać tylko na tych łamach, może kolejnym miejscem stanie się redagowany przez Łukasza Musielaka „Grinzi”? Nie ma już także dyskusji, kontrowersji, sporu. Może to znak czasów lub towarzyskiego konformizmu, ale bez tego opisanie, opisanie subiektywnego, a zarazem porządkującego, wszystko, co robimy, dołączyć do terabajtów skompresowanych i automatycznie kasowanych wspomnień, nie utrwalonych chwilą refleksji czy ciętą anegdotką.

A wielki, fascynujący cień tamtych czasów, tamtych artystów sprzed dekad, będzie leżał na nas jak ciężki, mokry całun, aż wszystkich późniejszych nas i nasze działania pochłonie.

Historia pewnej poezji, czyli wiersz idzie do pracy

Radiowy przypadek Zenona D.

Mapa Zielonej Góry dla przeciętnego użytkownika kultury to zieleń, Piotr Bukartyk, tutejsze kabarety, kryminalne powieści Koziółka czy bachusiki rozsiane po ulicach Winnego Grodu. Biblioteka Norwida, Galeria BWA, Lubuski Teatr, Muzeum Ziemi Lubuskiej oferują co prawda szeroki wachlarz repertuarowy, który nie pozwala odbiorcom sztuki wizualnej się nudzić. Co jednak z audiofilami? Nie mówię tu bynajmniej o fanach gatunków czysto muzycznych. Oni znajdują w mieście w miarę zróżnicowany wachlarz imprez. Chodzi mi o nieprzewidywalną formalnie i niekonwencjonalną sztukę foniczną. Artystyczne kroki przechodniów (które w ramach eksperymentu rejestrowałem kiedyś w okolicach deptaka), przenikliwy głos Norwida spod bibliotecznej ławeczki, głosy Tatiany Kołodziejskiej i Janusza Młyńskiego w Radiowej Książce Poetyckiej – to nie wszystko. Jako smakosz dźwięków wyrwanych spod hegemonii obrazu (tak zwanej sztuki radiowej, audialnej) upraszałbym się, by w mieście o tak bogatej tradycji słuchowiska, ten gatunek powrócił i zamieszkał ponownie. Co jest dziś w stanie zaoferować regionalna rozgłośnia? Dzięki radiu każdy może stać się bohaterem dnia codziennego. Radio skutecznie łamie

hegemonię w „światkach” artystycznych. Skazywani na niebyt, niewidoczni artyści mogą poprzez eter dotrzeć do mas. Kultura obrazu nauczyła nas plakatowości, gdzie wszyscy przechodnie zlewają się w jedną plamę. Jedynie tutaj, w radiu, obudzić się z ciszy mogą niewinni czarodzieje literatury. Poniżej zawarłem przykład na to, że dzięki sztuce dźwięku żadne podziały nie mają miejsca, a „szufladowa” twórczość każdego z nas może znaleźć nowe mieszkanie: eter radiowy.

Co słyszał w ZG?

Radio Zachód zamilkło na mapie teatru radiowego. Powodem może być co prawda niszowość i kosztowność tej gałęzi sztuki, tak często dziś zaznaczane. Czy to jednak nie jest czasem wygodna i dyplomatyczna wymówka ludzi mediów? Dowodami na to, że regionalna stacja może powrócić do sztuki fonicznej w trudnych dziś „misyjnych czasach” są rozgłośnie w Lublinie, Poznaniu, Krakowie, Gdańsku, Szczecinie, Koszalinie, Bydgoszczy. Nie marzę o wielkich poszukiwaniach formy, superprodukcjach audialnych na miarę krakowskiego *Wesela*¹. Chciałbym, by w ramówce radiowej znalazła się

1 W zeszłym roku Radio Kraków zrealizowało *Wesele* Stanisława Wyspiańskiego z udziałem publiczności. Reżyser, Andrzej Seweryn, nie dokonał w realizacji żadnych skrótów. Tekst został „podany” przez aktorów bez skrótów przy uwspółcześnionej muzyce Adama Walickiego.

choć jedna godzina rocznie poświęcona wyłącznie teatrowi radiowemu. W mieście żył i tworzył Michał Kaziów, człowiek z „otwartym uchem” na świat i ceniony teoretyk tej ulotnej gałęzi sztuki, jaką jest teatr radiowy. W pamięci słuchaczy zostały zapewne słuchowiska Zdzisława Morawskiego, Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza, Kazimierza Malickiego. Tak znane głosy w Polsce jak Halina Lubicz, Zdzisław Wardejn czy Jerzy Glapa najwcześniej były słyszalne właśnie w „zielonogórskim teatrze wyobraźni”, jak mawiał o regionalnej sztuce radia Kaziów. Irena Linkiewicz wprowadzała na niwę radiową projekt „teatru naturalnego” (naturszczycy odtwarzali sceny ze swojego życia), a Zygmunt Galek z pasją realizował spektakle zielonogórskiej rozgłośni. Czesław Markiewicz z Radia Zachód wspominał mi, że niegdyś utworzyła się nawet komórka artystyczna, zwana „Departamentem Słuchowiska”, która miała odpowiadać za uobecnianie tego gatunku w przestrzeni ramówki. Niestety, dzisiaj z tych planów wiele już nie pozostało. Co pozostało ze starej szkoły zielonogórskiego słuchowiska? *Radiowa książka poetycka*? Powstają formy hybrydyczne, niekiedy ocierające się o słuchowisko (utwory radiowe Cezarego Galka, syna Zygmunta) czy eksperymenty performatywne autorstwa Małgorzaty Nabel (m.in. nagrania grupy *Wątpliwi Krewni Orsona Wellesa*). W tym roku Radio Zachód obchodziło swoje 60-lecie. Zabrakło z okazji tych obchodów akcentu artystycznego, na jaki naszą rozgłośnię stać (Koszalin, dla porównania, z okazji 60-lecia swojej rozgłośni przysposobił radiowo *Siedem dalekich rejsów* Leopolda Tyrmanda w reżyserii nagrodzonego Prix Europa Krzysztofa Czczota). W Zielonej Górze gatunkowego teatru radiowego niestety nie ma. Mijają kolejne lata przeglądu słuchowisk Dwa Teatry w Sopocie, a Zielona Góra repertuarowo nie żyje. Każdy impas można przerwać. Udowodnił to jeden z katowickich pasjonatów sztuki dźwięku.

W przestrzeni ogólnopolskiej zła karta zaczęła się już odwracać. W tegorocznej edycji festiwalu PRIZ EUROPA najlepszym słuchowiskiem Starego Kontynentu zostało polskie słuchowisko *Andy* autorstwa wspomnianego Czczota. Gatunek ten zaczął rozwijać się prężnie na nośnikach cyfrowych (audio-

booki przybierają formę wielogłosowych spektakli) i wrócił wreszcie z ciekawą ofertą artystyczną do nowo kształtowanych misyjnych ramówek regionów. To dobry czas, by Zielona Góra włączyła się w ten radiowy dialog. „Niewidzialny teatr” zaczyna ponownie wracać do łask. Słuchowisko kontynuuje swoją drogę misyjną, jednocześnie stanowiąc wizytówkę radiowej marki Krakowa, Olsztyna czy Lublina. Dlaczego nie Winnego Grodu? W eterze znajdują dziś niszę artyści, którzy ujrzeni przestrzeń dla sztuki wolnej od komercji i polityki marketingowej. Dzięki odwadze i pasji jednego z młodych twórców z Górnego Śląska dostaliśmy sygnał, że istnieje ktoś taki jak Zenon Dytko.

Z Katowic w eter ogólnopolski

Słowa uczą (stąd rola radiowego teatru jest nieoceniona), a przykłady pociągają, dlatego mam nadzieję, że przemówi nam do wyobraźni przykład z Katowic. Śląska rozgłośnia zamiliła kilka lat temu głośnym, nagradzanym i mocno osadzonym w realiach tamtejszego miasta (strajki w kopalni Wujek) słuchowiskiem Feliksa Netza *Pokój z widokiem na wojnę polsko-jaruzelską* (2006 rok). Znalazł się jednak młody twórca, który zaryzykował i zobaczył w medium radiowym bardzo chłonne miejsce dla twórczych poszukiwań. To Krzysztof Kiczek – realizator dźwięku, filolog, któremu zapaliła się w głowie lampka z pewnym nieszałonowym pomysłem. Postanowił otworzyć nowy katowicki rozdział teatru radia. Na warsztat reżyserski i adaptatorski wziął wiersze mało znanego w Polsce poety, Zenona Dytki. Ten „antypoetycki”, jak niektórzy mawiają autor, zawarł w kilku swoich tomikach na tyle interesujące wiązki poetyckiej układanki, że Kiczek usłyszał je w partyturze słowno-dźwiękowej. Tej kompozycji dał nazwę *Grymas O*. Tytuł zaczerpnął z jednego tomiku Dytki. Słuchowisko przekonało do siebie odbiorców do tego stopnia, iż miało swoją premierę ogólnopolską, na antenie I Programu Polskiego Radia.

Na takich aktorów, jacy wystąpili w poetyckim spektaklu Kiczka, nie każdy reżyser może sobie pozwolić: sam autor Dytko, prof. Krzysztof Kłosiński z UŚ, szef anteny Radia Katowice Jacek Filus, redaktor teje rozgłośni Maciej Szczawiński, akto-

rzy: Grzegorz Przybył i Dariusz Chojnacki, a nawet (uwaga!) syntezator mowy IVONA. Skład obsady zwiastował już, że nie będziemy mieli do czynienia z klasycznym spektaklem. Nie otrzymaliśmy jednak awangardowego miksu, a pogłębiony, antropologiczny obraz artysty. Słuchowisko dotyka bowiem tworzenia w bardzo ludzkim tego słowa znaczeniu. Kiczek nie szukał w wierszach Dytki poetyckich sensów naddanych, spiętrzonych metafor czy hiperbol. Ułożył z rozrzuconych tekstów, wypowiedzi i dźwięków zagadkę twórcy, który nie musi być szyfrem w stylu „czterdzieści i cztery”, a może być prostym sąsiadem zza ściany, który pisze po to, by w pewnym sensie być.

Spektakl wprowadza nas w twórczość poety *in statu nascendi*. Słyszymy, jak redaktor Radia Katowice, Szczawiński dzwoni do Prof. Kłosińskiego, by ten wziął udział w poetyckim spektaklu o Dytce. Z rozmowy telefonicznej wyłania się słuchaczom obraz poety. Ten uciekinier ze świata metafory i lirycznego splendoru „nie kombinuje, a jeśli kombinuje, to tak, że się całkowicie rozbraja artystycznie”. Co jakiś czas z kolażowo zaprojektowanych ujęć fonicznych wyłania się głos Dytki, który rytmicznie przeplata się z głosami aktorów mówiących wiersze. Niektóre dźwięki budzą słuchacza jak w przerwany koszmara. Muzyka nie pełni tu roli tła. Jest realnie istniejącym w obrębie świata przedstawionego WSPÓŁBOHATEREM. Nie jest to bohater wesoły, radosny. Do „uśmiechniętego” głosu Dytki muzyka wprowadza melancholijny „znak wodny”, który pomaga nam czytać tego twórcę fenomenologicznie, bez wyrobionych gustów, poglądów czy ugruntowanej wiedzy. Kiczek do słuchowiska wybrał te wiersze Dytki, w których podmiot staje się przechodniem, zatrzymanym w miejscu *flaneurem*. Poeta kadruje rzeczywistość w konkretnych mgnieniach i grymasach (w przejściu podziemnym, na ulicy, w autobusie, na parkingu). W tych miejscach przejść i poczekalniach poetyckich czai się koza. Tak, koza. Profesor Kłosiński zauważa, że to usymbolizowane zwierzę stanowi oś jego wierszy. „Na pochyłe drzewo każda

koza wlezie” – to przysłowie sprawdza się chociażby w tekście Dytki z puentą: „ja, cywil/ żaden awangardzista/ [...] biedny człowiek/ słabe mięśnie/ pochyły kręgosłup/ byle koza wlezie”. W każdym wierszu świat zaczyna ukazywać swoje nowe krzywizny. Nie wiadomo już, czy to poeta się nam tak garbi, czy widnokrąg się zakrzywia. Kruchość istnienia szybko jest tu jednak ucinana złowróżbną puentą: „ale miejcie tego świadomość/ że co do mnie to taka figę dostaniecie/ i popamiętajcie ruski miesiąc”². Dytko co rusz podsuwa tu nam swoje sugestie co do głosu aktorów recytujących jego teksty. Wiemy, co akceptuje, co chętnie by zmienił. Ta nieskrywana obecność poety w tym spektaklu na początku może drażnić. Dopiero z czasem uświadamiamy sobie, że to jego osoba jest właściwym tekstem do odczytania, samotworzącym się wierszem z krwi i kości. Ten wiersz idzie do pracy, wraca autobusem, mieszka w pokoju o metrażu 5 metrów na 3 metry. Wiersz może mieć pusty portfel, słuchać muzyki i nie musi chcieć dyskutować z ludźmi. Dytko jest wierszem najistotniejszym. Bardzo ważną kwestią poruszoną w słuchowisku jest głos poety. Dytko ma ciepły, delikatny głos z szeroką paletą groteskowych przeobrażeń. Potrafi jednak się zdenerwować i powiedzieć prosto z mostu. Żaden aktor nie jest w stanie zaoferować nam tak intymnej prawdy o swojej twórczości. Nikt nie przeczytał genialnych wierszy Bursy lepiej niż sepleniący ironista z absurdem wypisanym w głosie jak Bursa właśnie. Nikt także w spektaklu *Grymas* Onie sili się na stwarzanie poetyckiego, nadmuchanego parnasu wokół Dytki. Fenomen poezji przedstawiony jest tu jako rebus kulturowy, który próbuje rozwikłać błyskotliwy umysł Profesora Kłosińskiego. Badacz zaskakuje swoim żartobliwym i ironicznym stosunkiem do spraw, które porusza w rozmowie. Kłosiński zaciekawia, wprowadza w swoje antropologiczne refleksje sporą dawkę bystrej obserwacji i humoru.

Jednym z pośrednich bohaterów słuchowiska są bezkręgowce. „Dla mnie robak to trochę jak człowiek”, mówi roześmiany Dytko. Mamy tu historię mszycy, która „zaczyna grać na nosie”,

2 Wiersz do znalezienia także w tomiku. Z. Dytko, *Grymas O*, Chorzów 2007, s. 8.

muchy, z którą podmiot liryczny chciałby się czasem zamienić. Świat Dytki jest także światem cmy, z którą bohater dzieli mieszkanie. Owad projektuje wreszcie Innego, którego trzeba znaleźć, by lepiej umiejscowić siebie. To obce ciało, które Ignie do naszego domu i chce tu zostać. „Człowieku, nie śpij spokojnie/ być może w kącie twojego pokoju lub gdzieś w świecie właśnie się coś wylęga/ by zakłócić twój spokój”. Owady stają się furtką ku temu, co ciemne, „podskórne” i „niepokojące”. Podobne skojarzenia wypełnia poezja dużo szerzej znanego i bardzo radiowego twórcy Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego (co za podobieństwo nazwisk), gdzie znajdziemy np. ślimaki. Tkaczyszyn podczas wieczorów autorskich tworzy ze swojej poezji układankę dla słuchaczy, gra konwencjami i burzy co chwilę odbiór. To bardzo foniczne zabawy z wierszem. W omawianym słuchowisku za tę grę odpowiada Kiczek. Z pomocą przychodzi także Gombrowicz, który głosem aktora wypowiada swoje słynne: „ja cię dutknę!”. „Odrobaczenie to jest z jednej strony dobra rzecz, a z drugiej zła. Nie można całkowicie być odrobaczonym. A jak się nie da, to nie ma innej możliwości – trzeba zakatrupić” – mówi w słuchowisku Dytko. Dźwiękowe rozgryzanie tej poezji można porównać z odrobaczaniem właśnie. Jednocześnie, ów robak jest potrzebny, by pisać i myśleć. Stan względnej czystości wróży śmierć twórcy. W *Grymasie O* obok słuchaczy roztacza się świat, w którym czai się niepilnowany Wróg. Kusiciel przejawia się wszędzie: w gazecie, w sklepie, w reklamie, w powrocie z pracy, w wietrze. Jest tu wreszcie, uobecniany poprzez odgłosy biczenia i chóralne *Stabat Mater Dolorosa*, motyw odkupienia poprzez cierpienie. Jest to najbardziej zagadkowa i mroczna strona idiomu poetyckiego Dytki. To, co rejestruje Kiczek „pod słowem”, jest zawsze wskazówką, ścieżką dookreślającą. Ten spektakl nie ma początku i końca. Dla każdego zaczyna się w najmniej oczekiwanym momencie odsłuchu. I to jest jego wielka siła. Od tego momentu, który „złapiemy”, spektakl jest już „nasz”. Nie przypomina on w niczym kameralnych montażu poetyckich, gdzie aktorzy siłą się nad recytacją poszczególnych wierszy Wieszcza. Kiczek uruchamia pewien proces, który planowo wymyka się spod kontroli. Bohaterowie tego słuchowiska krążą

między sztuką a życiem i podporządkowują się prawom nieokiełznanego dźwięku. Mamy tu rozmaite zabiegi na poziomie modulacji głosu i masteringu, które stanowią wyrafinowaną podróż akustyczną.

Dziś, w dobie tryumfalnie wieszczonego kresu kultury wysokiej (rzecz jasna przesadnia), literatura może wyjść z ciasnych bibliotek i zajrzeć do odbiornika. Przy nim siedzieć będzie młody słuchacz, którego w szkole męczą jedynie słusznym Słowackim czy innym Mickiewiczem. Zamiast spędzać wieczór z joystickiem i najnowszą wersją *Call of Duty* czy *FIFY*, ten młody obywatel świata Kultury może nagle w wierszach mało znanego Dytki usłyszeć wreszcie siebie. Dlaczego? Ponieważ nikt mu w radiu nic nie rozkaże i nie narzuci. On sam poprzez głosy wydobywające się z eteru, zrozumie, że ktoś do niego mówi. W poprzednim numerze „Pro Libris”, Przemek Grzesiński powiedział mi, że dzielenie odbiorców na głupszych i mądrzejszych jest u swych podstaw błędne. Nie można skreślać z obiegu kultury tych, którzy Paderewskiego myślą z Pendereckim a *Pana Tadeusza* z *Panem Wołodyjowskim*. To właśnie oni mogą stać się najbystrzejszymi jej adresatami, niewykłanymi w to, „co jedynie ważne, mądre i prawdziwe”. To „budowanie piętrowe” jest przyszłością sztuki, które nie będzie eliminowała i wykluczała niewyrobionych słuchaczy, czytelników, widzów.

Grymas O to dzieło jednego człowieka. Skomponowanie takiego spektaklu to wieloaspektowa czynność. Sterem, żeglarzem i okrętem jest sam sobie Kiczek. Montaż, reżyseria i muzyka to wyłączna praca katowickiego twórcy. To ewenement jak na debiutanta (*Grymas O* jest pierwszym słuchowiskiem tego twórcy). Kiczek to rzadko spotykany przykład reżysera mozaikowego, który łączy wiele czynności w jednym planie artystycznym. W tym spektaklu najbardziej dotyka mnie chęć zrozumienia zwyczajności. Pewien nikomu niewadzący poeta, zamieszkujący jedno z małych, śląskich mieszkań staje się poprzez radio naszym sąsiadem, z którym spacerować będziemy ulicą, jeść kolację i jechać samochodem (jedna z przyczyn przewagi radia nad telewizją). Tak samo jak Dytkę, dopaść nas może „koza” i w równym stopniu możemy czuć się samotni. A jeśli radio mówi językiem skromnego poety z Chorzowa, to i nam

w tym teatrze samotności jest różnie. Zielona Góra także może mieć swojego Dytkę. Czy nie stać nas na to? Mielśmy i mamy wydarzenia poetyckie. Niedawno pożegnaliśmy poetkę zjawiskowego pióra, Annę Tokarską (jak ona potrafiła mówić poezją!). Formu-listyczna zagadka Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza również domagałaby się fonicznej realizacji. Wśród młodszych pokoleń bogactwem ironii i obserwacji wykazuje się Małgorzata Stachowiak-Schreyner (wiersze, które w Radiu Zachód czytała Tatiana Kołodziejska, zapadły mi głęboko w pamięć). W mieście rodzą się kolejne mikroświaty poetyckie. Artystyczny potencjał jest tu obecny. Odwieczne porównania z parnasek literackim i kompleksy „niższości” to nadmuchany balon. Wielka sława to żart. W każdym miejscu świata kryć się może poeta. Może mieć złe

uzębienie i dykcję. Nie musi być autorytetem moralnym i nieskazitelnym piewcą Prawdy. Wystarczy, że jest sobą, jak Zenon D.:

nie udawało mi się z kobietami
nie udało mi się zostać naukowcem
nie dla mnie to wszystko
jedyne co się udało to być poetą

Grymas O

Autor wierszy – Zenon Dytko

Adaptacja, reżyseria, realizacja akustyczna i opracowanie muzyczne – Krzysztof Kiczek

Premiera ogólnopolska: 6.10.2013 r., I Program Polskiego Radia



Zatrzymajmy chwilę

Jakże bezkresna jest potęga przyrody! Ileż w niej zagadek, piękna i grozy! Jakaż pracowitość połączona z nadzieją każe jej dokonywać zmian oblicza stosownie do pory roku. Wydawać mogłoby się, że w otchłani dziejów powinna tworzyć formy, które oprą się tym przemianom. Tymczasem wiosna jak młodość niesie nadzieję, lato słoneczne w trwałość mierzy, jesień na szaleństwo się nie waży, zima gołymi konarami zwiastuje zmianę kalendarzy.

Dzięki Niebu za ten świat kolorowy. Jakimiż kolorami oczy nasze jesienią pieści! Czy odradzanie się przyrody wiosną, jej pełnia, a potem przygasanie, wschody i zachody słońca, przyplawy i odpływy mórz nie były źródłem wierzeń religijnych naszych protoplastów? Od sześciu lat w naszym regionie chcemy zwrócić się do społeczeństwa w momencie pożegnania ze spadającymi liśćmi i zbliżania się pory chłodu, że śniegiem i długą nocą:

Czy to wina jesieni, że bzy kwitną w maju? Otrzymujemy za to kolorowe drzewa, jarzębinę czerwoną, niepowtarzalną atmosferę grzybobrania. Drzewa pracują nocą i dniem przez wiosnę i lato. Pragną więc jesienią udać się na spoczynek. I to im się należy.

Korzystając z przychylności „Gazety Lubuskiej”, Telewizji Regionalnej, Uniwersytetu Trzeciego Wieku, wielu szkół i przedszkoli, Biblioteki Norwida, Zielonogórskiego Ośrodka Kultury i ludzi otwartych, z poczuciem humoru zatrzymujemy się na chwilę, przyglądamy się zachodzącym zmianom, rozważamy nasze zrozumienie dla związków łączących los człowieka z różnymi aspektami i przejawami tej więzi. Ostatnie dni lata to nowy impuls nadany dniu

23 września przez Dom Dziennego Pobytu „Retro” i Ośrodek Terapii Zajęciowej Arkadia z ul. Głowackiego w Zielonej Górze. Imprezy społeczne, na początku, z przejściem przez miasto Pani Jesieni (tę rolę z wdziękiem realizowała Barbara Bartusz), potem ze śpiewem starych piosenek, pisanie i czytanie utworów gotyckich, muzyką i konkursami, nie mogą prowadzić do smutnych wniosków. Przyroda, jak zaznaczyliśmy wyżej, zmienia się w więzi z losem człowieka. Taki wniosek potwierdza ostatnia piękna impreza w Arkadii.

Radość młodości wiosny, nabiera cech dojrzałości lata i jesieni. To pora na wykorzystanie doświadczenia i życiowej mądrości. Jest naszym zamysłem, aby spadający liść spowodował, że w tym momencie zadumamy się różnorodnością natury, jej potrzebami i wpływem na kształtowanie sylwetki duchowej człowieka.

Traktujemy liście edukacyjnie. Mogą je przynosić do szkoły dzieci i uczyć się rozpoznawania drzew, z których pochodzą.

Poeci mogą stworzyć wiersze poświęcone jesieni, możliwe są przedstawienia teatralne z tematyką zawierającą stosowną problematykę. A ile piosenek może być nadane w rozgłośniach radiowych! Dobry jest każdy pomysł, który rozweseli nadciągające krótsze i chłodniejsze dni. Bo przecież jesienią w kalendarzu tak mało świąt! W tym roku, gdy już po raz szósty obchodzimy ten dzień, wyszliśmy z nowym hasłem – w mojej dzielnicy, na mojej ulicy, w mojej wsi mówimy sobie „Dzień dobry”. I to nawet wtedy, gdy się osobiście nie znamy. Spotykamy się przecież niemal codziennie. Będzie to nasz wkład w tworzenie

cieplejszych stosunków sąsiedzkich! Czyż nie warto uczynić tego kroku zbliżającego bliskich przecież ludzi?

Taki obyczaj panuje w wielu krajach. Pokonajmy sztuczną obcość. Poczujemy się przyjaciółmi, związanymi z lepszym funkcjonowaniem społeczności miasta, dzielnicy, wsi. Niech nam towarzyszą słowa hymnu spadających liści:

Dlaczego nikt nie pyta liścia
O jego dzieciństwo
Dlaczego jestem zielony
Choć całkiem dojrzały
Dlaczego kolorowy
Choć przecież opadający
Dlaczego nikt nie żałuje
Szarej pamiątki lata?
A jednak z sercem
Życie pędziłem ulotne
Jeśli choć jeden człowiek
O dniu moim pamięta
Dla niego zachowam
Moją przyszłość w pąku zamkniętą

I gdy odejdzie
Z moimi przyjaciółmi
Nad jego grobem zaszumie.

A w przypływie dobrego nastroju człowiek z poczuciem humoru przeczyta wiersz *Nocturn* Jana Lechonia:

Cóż ja jestem? Liść tylko, liść z drzewa, co leci
Com uczynił – wszystko było pisane na wodzie
Liść jestem, co spadł z drzewa w dalekim ogrodzie
Wiatr niesie go aleją, w której księżyc świeci.
[...]
Ucisza, srebrna nocy, całą ziemię śpiewną!
A ja padnę na trawę wilgotną od rosy
Lub będę muskał cicho nigdyś złote włosy
Których dziś już koloru nie poznałbym pewnie
(cyt. za: J. Lechoń, *Poezje*, Warszawa 1987)

Jeżeli kogokolwiek zainteresuje on poezją, i wzbudzi uśmiech, to dla przyrody i człowieka będzie miłą satysfakcją, bo z uśmiechem żyje się przyjemniej.



Ewa Mielczarek

Kargowa kultywuje dobre tradycje

XIV Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Eugeniusza Paukszy

Od kilku lat mam sposobność i dużą przyjemność obserwować działania związane z Ogólnopolskim Konkursem Literackim organizowane w Kargowej, niewielkim lubuskim miasteczku, które jest coraz szerzej znane w Polsce z różnorodnych przedsięwzięć podejmowanych w sferze kultury. Poza wspomnianym Konkursem w Kargowej odbywa się Bilateralna Polsko-Niemiecka Wystawa Filatelistyczna, Święto Czekolady, Kozzi Gangsta Film – Festiwal Filmu i Teatru, Polsko-Niemieckie Spotkania z Archeologią oraz szereg pomniejszych imprez.

Ponadto, dzięki współpracy Kargowej z partnerską gminą niemiecką Schulzendorf, stało się możliwe



Uczestnicy gali Konkursu

Ewa Mielczarek

Kargowa kultiviert seine guten Traditionen

14. Polnischer Literaturwettbewerb „Eugeniusz Pauksza“

Seit einigen Jahren habe ich die Möglichkeit, aber auch eine große Freude, die Arbeiten an dem Polnischen Literaturwettbewerb in Kargowa, einer kleinen lebuser Ortschaft zu verfolgen, welche in Polen durch ihre zahlreichen kulturellen Veranstaltungen immer bekannter wird. Über den oben genannten Wettbewerb hinaus finden in Kargowa Bilaterale Polnisch-Deutsche Briefmarken-Ausstellung, das Schokoladenfest, Kozzi Gangsta Film – Film- und Theater-Festival, Polnisch-Deutsche Begegnungen mit Archäologie sowie viele andere kleine Veranstaltungen.

Dank der Zusammenarbeit Kargowas mit der Partnergemeinde Schulzendorf in Deutschland wur-



Delegacja w Linach

rozszerzenie formuły Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego o kolejne przedsięwzięcia: Polsko-Niemiecki Konkurs Literacki im. Eugeniusza Paukszty oraz Polsko-Niemiecki Konkurs Plastyczny „Kargowa i Schulzendorf w oczach młodego pokolenia”.

Oba te wydarzenia są współfinansowane w ramach Funduszu Małych Projektów w Euroregionie „Spree-Nysa-Bóbr” dla Programu Operacyjnego Współpracy Transgranicznej Polska (Województwo Lubuskie) – Brandenburgia 2007-2013 w ramach „Europejskiej Współpracy Terytorialnej”.

W dużej mierze realizowane w Kargowej zdarzenia są kontynuacją idei głoszonych przez literata związanego z tym miejscem – Eugeniusza Pauksztę, popularnego w latach 50. i 60. ubiegłego wieku powieściopisarza i publicysty, autora książek, w tym powieści obyczajowych i historycznych, tomów opowiadań oraz powieści dla młodzieży. Paukszta poruszał najczęściej problematykę Ziem Północnych i Zachodnich w kontekście integracji powojennej, kształtowaniu się polskości, wzrastania młodego pokolenia. Czasy są już inne, wartości przyświecające tym działaniom pozostały niezmiennie – kolejnym pokoleniom wpaja się umiłowanie małych ojczyzn oraz pielęgnowanie najbliższego środowiska. Te zamierzenia kultywują organizatorzy Konkursu, a obrazuje je naczelną maksyma: Małe ojczyzny – pogranicze kultur i regionów.

Tegoroczne, uroczyste rozstrzygnięcie XIV edycji przypadło tradycyjnie – w ostatni piątek września (27.09.2013). Zgromadziło laureatów, uczestników,

de es auch möglich, den Polnischen Literaturwettbewerb um weitere Veranstaltungen zu ergänzen: den Polnisch-Deutschen Literaturwettbewerb „Eugeniusz Paukszta” und den Polnisch-Deutschen Kunstwettbewerb „Kargowa und Schulzendorf in den Augen der jungen Generation”.

Beide Veranstaltungen werden aus den Mitteln des Europäischen Fonds für Regionale Entwicklung im Rahmen der Operationellen Programme der grenzüberschreitenden Zusammenarbeit Polen (Województwo Lubuskie) – Brandenburg 2007-2013 (Kleinprojektefonds der Euregio „Spree-Neiße-Bober”) finanziert.

Die zum größten Teil in Kargowa realisierten Events setzen die Ideen des mit diesem Ort verbundenen Buchautors und Publizisten, Eugeniusz Paukszta fort, der in den 50-er und 60-er Jahren des 20. Jahrhunderts für seine historischen und Gesellschaftsromane, Erzählungsbände und Jugendromane sehr beliebt war. Paukszta behandelte in seinen Büchern Integrationsprobleme der Menschen auf den von Polen im Norden und Westen wiedererlangten Gebieten in der Nachkriegszeit, das Problem der Bildung polnischer Identität und des Aufwachsens der jungen Generation. Die heutige Zeit ist anders, doch die Werte, die unseren Handlungen zugrunde liegen, sind unverändert geblieben – neue Generationen werden die Liebe zu ihrer kleinen Heimat und die Pflege der nächsten Umgebung gelehrt. Die Organisatoren dieser Wettbewerbe wurden von diesen Absichten geleitet, die ein Hauptgedanke verbildlicht:



Nagrodzeni, organizatorzy i jurorzy Konkursu



Zwycięzcy Konkursu Literackiego

jurorów, przedstawicieli władz samorządowych, grupy młodzieży szkolnej i sympatyków imprezy. Jak co roku, zgodnie z ustalonym scenariuszem imprezy, zgromadzeni odwiedzili położoną parę kilometrów od Kargowej Leśniczówkę Pracy Twórczej nad Jeziorem Liny, oddając tym samym hołd patronowi Konkursu, który upodobał sobie to miejsce do tworzenia i wypoczynku.

Na oficjalną część imprezy, zorganizowaną przez Gminną Bibliotekę Publiczną im. Eugeniusza Paukszty, która odbyła się w Sali Gminnego Ośrodka Kultury im. Wilhelma Blanke w Kargowej, składały się m.in. wystąpienia Burmistrza Sebastiana Ciemnoczołowskiego, Dyrektora GBP Małgorzaty Kwiecień i Dominika Paukszty (syn patrona Konkursu) oraz prelekcja *Legendy dzisiaj* wygłoszona przez Janusza Koniusza.

Kulminacyjnym momentem spotkania było odczytanie wyników XIV Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Eugeniusza Paukszty. Zgodnie z werdyktem Jury z 9 września 2013 r. wśród laureatów znaleźli się:

I miejsce: Anna Kokot z Przeźmierowa (godło QUAQUA) za tekst *Listy z bieliźnianego sznura*

II miejsce: Edward Derylak z Żagania (godło łyszek „D”) za tekst *Drugie życie Józefa*

III miejsce: Wioletta Malinowska z Nowego Kramka (godło Izsi) za tekst *Zagubieni*

Troje wyróżnionych literatów nagrodzono, uhonorowano gratulacjami i uwieczniono na zdjęciach podczas sesji fotograficznej.



Część artystyczna uroczystości

Kleine Heimatregionen – Grenzgebiete der Kulturen und Regionen.

Die Entscheidung der diesjährigen, 14. Ausgabe des Wettbewerbs fiel traditionell auf den letzten Freitag im September – 27. September 2013. Es kamen viele ehemaligen Preisträger, Teilnehmer, Juroren und Vertreter der Stadtverwaltung, Jugendliche und Freunde des Wettbewerbs. Wie jedes Jahr und dem Protokoll folgend, besuchten alle Teilnehmer zunächst das einige Kilometer von Kargowa entfernte „Forsthaus der Kreativen Arbeit“ am Liny-See, um dem Namensgeber des Wettbewerbs Eugeniusz Paukszta die posthume Ehre zu erweisen, der an diesem Ort als Arbeits- und Erholungsstätte Gefallen gefunden hatte.

Der offizielle Teil der Veranstaltung, der im Gemeindesaal des Kulturhauses „Wilhelm Blanke“ in Kargowa stattfand und von der Eugeniusz-Paukszta-Gemeindebibliothek organisiert worden war, bestand u. a. aus Reden von dem Bürgermeister Sebastian Ciemnoczołowski, Direktorin GBP Małgorzata Kwiecień i Dominik Paukszta (Sohn des Namensgebers des Wettbewerbs) sowie aus dem Vortrag „Legenden heute“ von Janusz Koniusz.

Den Höhepunkt der Veranstaltung bildete die Verlesung der Namen der Gewinner des 14. Polnischen Literaturwettbewerbs „Eugeniusz Paukszta“ entsprechend der Entscheidung der Jury vom 9. September 2013:

Platz 1: Anna Kokot aus Przeźmierów (Passwort QUAQUA) für den Text *Listy z bieliźnianego sznura*

Platz 2: Edward Derylak aus Żagania (Passwort łyszek „D”) für den Text *Drugie życie Józefa*

Platz 3: Wioletta Malinowska aus Nowego Kramka (Passwort Izsi) für den Text *Zagubieni*

Alle drei Gewinner erhielten Auszeichnungen, Gratulationen und wurden im Rahmen einer Fotosession fotografiert.

Im weiteren Verlauf der Veranstaltung wurden auch Teilnehmer des Polnisch-Deutschen Literaturwettbewerbs „Eugeniusz Paukszta“ und des Polnisch-Deutschen Kunstwettbewerbs „Kargowa und Schulendorf in den Augen der jungen Generation“ ausgezeichnet. Anzumerken sei hier, dass zum Finale beider Wettbewerbe eine große Gruppe

W dalszej części imprezy nagrodzono uczestników Polsko-Niemieckiego Konkursu Literackiego im. Eugeniusza Paukszty oraz Polsko-Niemieckiego Konkursu Plastycznego „Kargowa i Schulzendorf w oczach młodego pokolenia”. Warto dodać, że na finał obu konkursów przybyła spora grupa młodzieży wraz z opiekunami z gminy Schulzendorf.

Oprawę uroczystości uświetnił koncert gitarzystów z Wolsztyna oraz wystawa prac plastycznych pn. „Kargowski Pejzaż”.

Impreza przebiegała pod patronatem honorowym Elżbiety Polak, Marszałek Województwa Lubuskiego, zaś patronat medialny nad imprezą objęły: „Gazeta Lubuska”, „Dzień Wolsztyński” oraz Telewizja Gorzów Wlkp.

der Jugendlichen mit Betreuern aus der Gemeinde Schulzendorf angereist war.

Den feierlichen Rahmen erhielt die Veranstaltung durch das Konzert der Gitarrenspieler aus Wolsztyn und die Ausstellung der Arbeiten zum Thema „Kargowas Landschaften”.

Die Veranstaltung stand unter der Schirmherrschaft von Frau Elżbieta Polak, Marschällin der Woiwodschaft Lubuskie, die mediale Schirmherrschaft übernahmen „Gazeta Lubuska”, „Dzień Wolsztyński” und Telewizja Gorzów Wlkp.

Übersetzung von Renata A. Thiele



RECENZJE I OMÓWIENIA

Papusza po lubusku

Angelika Kuźniak, *Papusza*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2013, 204 s.

Reportażowo-biograficzna publikacja Angeliki Kuźniak poświęcona życiu Papuszy, obok filmu Joanny Kos-Krauze i Krzysztofa Krauzego, może być wydarzeniem artystycznym mijającego sezonu. Na książkę Kuźniak składają głównie zachowane na taśmach rozmowy oraz listy cygańskiej autorki pisane przez nią i do niej, ale też jej męża Dionizego Wajsa. Obok ocalałej twórczości epistolarnej sporo miejsca zajmują też opisy tła społeczno-politycznego zgotowanego Cyganom przez władze PRL-owskie, zwłaszcza w zakrojonych na szeroką skalę przymusowego osiedlania społeczności romskiej, tworzenia obozów pracy i poddania dzieci obowiązkowi nauki.

Najciekawsze w biografii cygańskiej poetki obok jej wspomnień wojennych z Wołynia i wcześniejszych z Podola, wydają się właśnie wątki lubuskie, bowiem na Ziemiach Odzyskanych spędziła swoje dojrzałe życie i po części starość, a co najważniejsze tu zaczęła się na dobre jej przygoda z literaturą. Już w 1949 r. tabor Wajsów liczący około 130 osób przebywał w okolicach Wieprzyc pod Gorzowem. Zimą 1950 r. spędzili w Słubicach, a wiosną tego roku zatrzymali się w Witnicy, aby dorobić przy pracach w tartaku. Na krótko zatrzymują się jeszcze w Gorzowie, a potem podróżują przez Elbląg, Chełm Pomorski, Świecie, Bydgoszcz i Wrocław, aby pod koniec 1950 r. na dłużej zadomowić się w Żaganiu. Tam Papusza mieszka przez ponad trzy lata, najpierw przy ulicy Rybackiej, a potem Szprotawskiej. W tym czasie nawiązuje znajomość z Jerzym Ficowskim, tłumaczem języka romskiego, spisuje pierwsze swoje pieśni i wiersze, a wreszcie debiutuje w 1951 r. na

łamach „Nowej Kultury”. Pod koniec 1954 r. tabor Wajsów osiadł na stałe w Gorzowie Wielkopolskim. Papusza mieszkała początkowo przy ulicy Młyńskiej, a od 1959 r. przy Kosynierów Gdyńskich. W tym też okresie ukazuje się jej debiutancki zbiór *Pieśni Papuszy*, który przynosi jej międzynarodową sławę, bowiem w dziejach literatury zapisała się jako pierwsza na świecie poetka cygańska.

Jednak wraz z sukcesem literackim na Papuszę spada cygańska klątwa i wyrok współbraci (*magardo*). I tu Kuźniak odkłamuje obiegowe historie, jakoby Papusza będąc zdrową na umyśle, skrywała się przed żądnymi zemsty Cyganami w szpitalach psychiatrycznych. Prawda jest zgoła brutalniejsza, bowiem Papusza dość boleśnie przeżyła wyklęcie jej z rodu cygańskiego i rzeczywiście cierpiała katusze psychiczne. Jak podaje Kuźniak, opierając się o zachowane karty chorobowe i diagnozy psychiatrów, poetka cierpiała na histerię i urojenia prześladowcze (psychoza inwolucyjna). Miewała omamy i napady szału. Tak zdiagnozowali ją lekarze ze szpitala chorób umysłowych w Lublińcu koło Częstochowy, gdzie trafiła w 1954 r. W tym też czasie Papusza w przepływie złości spaliła wiele swoich wierszy i większość korespondencji od Juliana Tuwima.

W 1957 r. Papusza przez miesiąc przebywała w areszcie w Nowej Soli za kradzież kury, gdzie trafiła po wyroku gorzowskiego Sądu Powiatowego. Popadała w coraz większą biedę. Próbowali jej pomagać zarówno ci, do których zwracała się o pomoc, jak Ficowski, Tuwim czy Jerzy Putrament, Artur Międzyrzeczki, Jerzy Kornacki i Edward Czarnecki,

były oficer Pułku Tatarów, ale też inni, którym los poetki leżał na sercu. Byli to głównie literaci lubuscy i animatorzy kultury, jak Tadeusz Kajan, Bolesław Soliński, Zdzisław Morawski, Zbigniew Ryndak czy Anna Makowska-Cieleń. Zwłaszcza Tadeusz Janowski-Kajan, ówczesny sekretarz zielonogórskiego oddziału ZLP wielokrotnie interweniował u władz administracyjnych w sprawie pogarszających się warunków bytowych i zdrowotnych poetki.

W 1958 r. w Zielonej Górze zorganizowano Papuszy wieczór autorski oraz przyznano jej Lubuską Nagrodę Kulturalną, z czym wiązały się solidne zastrzyki finansowe. W 1962 r. przyjęto Papuszę w poczet członków Związku Literatów Polskich i natychmiast zwolniono ją z płacenia składek. Starano się dla niej o różnego rodzaju zapomogi z Komisji Socjalnej ZLP, zasiłki z Ministerstwa Kultury i Sztuki, a wreszcie o samą rentę państwową, przyznaną przez ZUS w Sulęcinie za „szczególne zasługi dla PRL”.

Lęki i zaburzenia psychiczne towarzyszyły Papuszy niemal do końca jej życia. Nasiliły się po śmierci męża w 1973 r., doszedł wtedy jeszcze reumatyzm, a pod koniec lat 70. także zaniki pamięci. W drugiej połowie lat 80. Papusza znów leczyła się w Wojewódzkim Szpitalu dla Nerwowo i Psychicznie Chorych im. J. Bednarza w Świeciu, gdzie mieszkał jej brat. W latach 1980-86 trafiała tam aż jedenaście razy z oznakami zaburzeń psychotycznych. Była niespokojna, czasami agresywna i kłóliwa, rozmawiała sama z sobą, lecz w obecności personelu i pacjentów była mało mówna, nie chciała jeść ani

brać leków. Żyła z poczuciem winy, ale ożywiała się pytana o wiersze. Recytowała je z pamięci i z dumą podkreślała swoją przynależność do zawodowej organizacji pisarskiej.

W 1984 r. Papusza przeprowadziła się na stałe do siostry w Inowrocławiu, lecz koszmar się nie skończył. Nadal towarzyszyły jej omamy lękowe i mania prześladowcza. Wycieńczona fizycznie coraz bardziej zapadała na zdrowiu. Do tego doszedł niekończący się smutek i pogłębiające osamotnienie. Do końca wystawała w oknie, oczekując przybycia przybranego syna Władysława nazywanego Tarzanem. W 1987 r., mając 76 lat, zmarła w szpitalu na zapalenie płuc. Wykluczenie ze społeczności cygańskiej ciągnęło się za Papuszą nawet po jej śmierci, bowiem pochowano ją z dala od mogił współbraci. Dopiero dziesięć lat później szczątki Papuszy przeniesiono do mogiły jej ojczyma Jana Wajsa na inowrocławskim cmentarzu.

Tak na marginesie, to szkoda, że zmieniono nazwę gorzowskiej biblioteki z Papuszy na Herberta. Myślę, że światowej sławy poetka cygańska i najwybitniejsza poetka lubuska, która swoim życiem na Środkowym Nadodrzu, przyniosła rozgłos temu regionowi, zasługuje na szczególne upamiętnienie. Może więc warto nazwać jej imieniem przynajmniej Lubuski Wawrzyn Literacki lub Lubuską Nagrodę Literacką ZLP, co z pewnością podniesie krajowy prestiż wspomnianych laurów.

Robert Rudiak

Domowe zwierzę albo *Absynt po polsku*

Katarzyna Jarosz-Rabiej, *Absynt po polsku*, Organon, Zielona Góra 2013, 70 s.

Najnowszy zbiorek opowiadań Katarzyny Jarosz-Rabiej (ukazał się tradycyjnie w zielonogórskiej oficynie Organon) nawiązuje tytułem do kapitalnego obrazu Henriego de Toulouse-Lautreca pod tytułem *Absynt*. Na tym obrazie widać przy obskurnym,

kawiarnianym stoliku, pod lustrem, młodą jeszcze, w żółtej sukience i ukwieconym kapeluszu, kobietę. Kobieta tępo patrzący w kieliszek: to jedyne danie, jakie zamówiła, ale przysiadł się koło niej mężczyzna.

Katarzyna Jarosz-Rabiej jest cenioną w swoim mieście pisarką, poetką i prozaikiem, tłumaczoną na rosyjski, grecki, francuski, niemiecki i angielski, za całokształt twórczości otrzymała w 2010 roku Nagrodę Kulturalną Prezydenta Miasta Zielonej Góry, nominowana też dwa lata wcześniej do prestiżowego Lauru Lubuskiego. Nie dziwię się. Ma niemały potencjał. Opowiadania jej czyta się właściwie jednym tchem. Trzymają w napięciu nie tylko wartkim tokiem narracji, brakiem dłużyzn. Są konsekwentne. Mają lekkość prawdy. Akcja powstaje tu ze scen – wyłaniają się osobowości, wзира ludzki dramat. Tematem jest wszakże tak lub inaczej dający o sobie znać alkoholizm, uwikłanie w alkohol, tyle że nie samego alkoholika (ten przedstawia niewielkie znaczenie, w gruncie rzeczy), ale osób mu bliskich, rodziny i przyjaciół.

Zwykłe życie. Zwykłe, banalne tragedie, banalne krzywdy i dozgonne miłości, pobożności oraz banalne samobójstwa. Pojawiają się siłą niespodziewanych wspomnień. W anegdotach „dla jaj”, albo kiedy raptem zmieniamy plan dnia, skręcamy w inną ścieżkę, a tam właśnie napatoczy się ktoś, kto zasunie taką gadkę, że hej! Albo nogi nas poniosą na cmentarz. Niejeden z bohaterów po prostu lubi pospacerować sobie po cmentarzu, miewa swoje ulubione groby. Jak dziecko na wagarach. Sama pamiętam wagary spędzane na cmentarzu: trzeba było długo wyszukiwać „ten jedyny”, symbolizujący oczywiście własny mój grób, więc najlepiej młodej dziewczyny, bo wtedy każdy denat po trzydziestce zdawał się nudny, kartoflany.

„Absynt” to wyraz rzadko używany w polskich rozpijaczonych środowiskach. W pierwszej chwili raził mnie. Jakież absynt? Piwsko, żyto, czysta, siwucho, wreszcie truskawkowa, dla przykładu, pryta, konsumowana w plenerze, w zacisznym a przytulnym miejscu, skoro nie ma domu. Autorka jednak faktycznie umieściła sobie punkt obserwacyjny na styku światów. Pracowite, skrzętne gospodarowanie każdym groszem, zdobywanie czegoś na obiad, nawet jeśli praca za biurkiem, ale wystarczy spojrzeć przez okno, wyjść z pieskiem (psy zawsze ciągną do śmietnika!), i jak nic, zderzamy się z wykluczonymi. Czasem znamy ich od dzieciństwa, to nasi klaso-

wi koledzy, koleżanki, dziewczyny, którym można było wręcz zazdrościć powodzenia u chłopaków. No, szalała, szalała, cięża, patrzcie, ukochany dał nogę i w siną dał, pojął dziewczę. Cóż, w katolickiej Polsce Magdalenom się nie wybacza – ja złośliwie dodam: nie u nas stworzono tę fascynującą, archetypalną, figurę świętej ładacznicy. Wiemy swoje. Że, po pierwsze, „kurestwa nie można wytłumaczyć”, po drugie „nie można się z kurestwa wyleczyć” (*Lato w Linie*). Wiara wiarą, a zdrowy rozum twardą ręką rządzi.

Katarzyna Jarosz-Rabiej doskonale czuje niejednoznaczność moralnego i środowiskowego upadku. Może dlatego, że sama przebywa na pograniczu sfer. Jej własny awans literacki pozwolił poznać z bliska wielu tuzów teatru i literatury, nawet nauk humanistycznych, mianowicie w sytuacjach balangowych. Tu plotkuje się na cały głos, mniej natomiast głębokich rozmów. Dyskusje w oka mgnienia będą kłótnią. Bezwiednie autorka *Absyntu* podchwyciła tę ważną cechę umysłowości tuzów: są wrażliwi, aż za, ale niereformowalni. Nieciekawi cudzego zdania, epikurejskich argumentów. Samą sztukę retoryki mają – sami powiedzą – w dupie. Są jak dzieciaki i właśnie to budzi tkliwość. Bezradni. Zgoła rodzony mąż albo tatuś, albo syn. Gorzej, jeśli pije artystka. Kobiety kojarzą się bowiem z synową, z płaczem wnuków, z zimnym piecem i pustymi garnkami. Kiedy pije mężczyzna, kobieta jakoś tam zaradzi. Weźmie nadgodziny, ubierze się (i to świetnie) w ciucholandzie, posadzi szczypiorek w ogródku lub przynajmniej w donicy w kuchni, zamiast płacić ciężkie pieniądze w zieleniaku. Nie zapomni o zielonej pietruszce na purée nawet, gdy nie ma mięsa. Pijący facet to rozumie, bardzo rzadko opuści, no, najwyżej podmacywać będzie tydkę rozmamłanej nad szklanecczą synowej. Co żony ani nie zdumiewa, ani nie upokarza. Żona wie, że synowa nie ulepi staremu pierogów, nie upierze pościeli, nie wykrochmali, a na dzieci potrafi tylko wrzeszczeć. I nie jest na żadnym etapie, i nikt jej nie wypłaca trzynastki. Najgłupszy pijak nie jest taki głupi, żeby jedną na drugą zamienić.

A zatem trzy wymiary: pisarze i pisarki, obnażający ciała i płyciznę intelektualną. Obnażający emocjonalną nieporadność (lub breję), przesądni, zabobonni, tchórzliwi i nieasertywni, a do tego za-

bawnie próżni. Toteż skromna, pracowita pisarka-prowincjuszka po kilku głębszych doskonale już wie, że po prostu pierogi, Apap na kaca, smalec, małosolne. Drugi wymiar: codzienność na prowincji, ta istna rolanda względnej zasobności i absurdałnego okrucieństwa (dom stoi, dom widać, a jakie ciągną się kredyty do spłacania, zazdrośnie łypiący okiem przechodzień nie widzi zza sztachetek). I nie widzi synowej w środku, ani (skoro istnieje tu jakaś, na psychologicznym planie, analogia synowej z pisarką) jak pije, ani jak byle zero może ją mieć. To są zresztą sytuacje do szpiku kości autentyczne.

Trzeci zaś wymiar: żebracy, przysłówiowi cyganie i wykolejńcy. Menele przebierający kosz na śmieci w poszukiwaniu puszek i petów. Tirówki. Beznadziejne młode pary w irokezach, o twarzach okoliczowanych, namiętnie całujące się pod drzewkiem jedynego tutaj publicznego skweru. Ba! Podobne moze pary, wychodzące ze ślub z kościoła.

Urzeka emocjonalna inteligencja Katarzyny Jarosz-Rabiej, gdy wprowadza w ten real. Po lekturze lepiej się rozumie idiotyczność naszych medialnych sporów, ich groteskowe chamstwo, a także bezsiłę tak zwanej wysokiej kultury polskiej wobec wyskoków polityków, chorych na władzoholizm. Nieuleczalny władzoholizm, który zresztą trawi u nas naukowców i artystów (pozycja zawodowa jako coś, czym, podobnie jak wódą, odreagować można, na chwilę chociaż, jakieś cholerne traumy, traumy wojny, powojennego stalinizmu, sercowych niespełnień). Kultura więc jako pałka dla mniemanej samoobrony. Pokazuje to opowiadanie o locie do Irlandii: celem jest znaleźć się na zdjęciu obok pomnika Jamesa Joyce'a. Kultura jest żoną pijaka. Trzyma tę pałkę (wałek do ciasta albo dechę do krajania chleba). Jednocześnie też oprócz kija i marchewkę: daje wieczne alibi, pierze pościel, filmem Wajdy o Katyniu próbuje za resztę kraju rozwiązać żmūt polsko-ruskich stosunków, filmem Agnieszki Hol-

land wyręczyć społeczeństwo w trudzie zrozumienia, czym jest antysemityzm albo (tu jej film o księdzu Popiełuszcze), kim jest kat, który zakatuje w końcu przyzwoitego księdza.

No, ale społeczeństwo nawet takie uprzejmości ze strony kultury wysokiej traktuje jak mąż-piak. Obiad zwróci, pieniądze z bieliźniarki podkradnie.

Rzecz jasna, aż tak dalekie tropy interpretacyjne nie są konieczne przy delektowaniu się *Absyntem*. Osobiście uważam za najlepsze *Mieszkanie do remontu* oraz *Lato w Linie*, ponieważ dotykane w nich są jakieś, w rzeczy samej, bebechy naszej psychospołeczności.

Przeszkadza w lekturze tylko jedno. Kwestia to być może redaktorska: mamy do czynienia z monologami bohaterów, zawiązuje się akcja, występują jakieś inne osoby. I mówią, i właśnie te partie dialogowe bywają denerwująco niejasne, a w każdym razie autorka nie próbuje wykorzystać możliwości tkwiących w dialogowym ping pongu, zarówno w tym, co dotyczy charakterystyki bohaterów (przez zróżnicowanie języka ich wypowiedzi), jak i w tym, co ukazałoby rzeczywistą odmienność myśli poszczególnych osób. Być może to ostatnie zastrzeżenie jest nietrafne, ponieważ chodzi właśnie o zdjęcie cieniutkich masek i o ukazanie, jak psychika i mentalność na społecznym dnie podobna bywa psychice i mentalności na wysokiej społecznej półce. Lecz wątpię, aby Katarzyna Jarosz-Rabiej celowo dokonywała takiej śmiałej operacji i diagnozy. Czyni ją wyłącznie intuicyjnie. Ma bowiem, owszem, wielką intuicję. Po prostu, tonując niektóre autentyki, uładniając lubianych znajomych, a także spierając się z wydawcą (redaktorem), bywa kobietą za dobrą. I będąc taką, za wszelką cenę chce happy endu... Książka jest o krok od znakomitej prozy.

Urszula M. Benka

„Trywialność i banał sięgnięty zenitu” – o zdradzie lirycznie

Sylvia Baczyńska, *Wieczór w garsonierze*, Vis-A-Vis Etiuda, Kraków 2005, 31 s.

Tematyka dotycząca zdrady i wszelkich uczuć z nią związanych jest obecna w literaturze od zawsze. Trudno znaleźć zjawisko nacechowane tak pejoratywnie i brutalnie, a tak ogniste i pociągające zarazem. O zdradzie rozpisują się psychologiczne pisemka, nierzadko zupełnie płytkie harlequiny, ale również literatura kryminału i sensacji. Okazuje się jednak, że można o niej pisać także lirycznie, czego dowodem jest niezbyt obszerny zbiór wierszy Sylwii Baczyńskiej.

Lekarz, nauczycielka jogi, dziennikarka współpracująca m.in. z „Życiem Warszawy”, wreszcie – autorka takich powieści, jak *Mistyk*, *Modliszki* czy *Zawał* tym razem opowiada historię niespełnionego małżeństwa w sposób bynajmniej nieprozatorski. Liryków z tomiku *Wieczór w garsonierze* nie sposób interpretować z osobna. Zaznając się z nimi od początku do końca, wprawny czytelnik bez trudu uchwyci ciągłość cyklu poetyckiego oraz zaobserwuje swoistą klamrę zbioru, który rozpoczyna się początkiem zdrady małżeńskiej pary, a kończy wierszem o sugestywnym tytule *Koniec romansu*. Niemożliwością jest tutaj także wyróżnienie jednej osoby mówiącej czy też jednego odbiorcy. Nierzadko w tym samym wierszu wypowiada się zarówno zdradzająca żona, jak i niewierny mąż czy też niemniej uwikłany w całą historię kochanek. Również adresatami liryków są nie tylko małżonkowie, ale i Bóg, do którego oboje wielokrotnie zwracają się z prośbą o wyjaśnienie sytuacji, w której się znaleźli oraz stanu uczuć, który ich dotknął. Adresat w postaci Stwórcy nie ma jednak nic wspólnego z chrześcijańskim ujęciem wszechpanującego i wszechwiedzącego Ojca. Przeciwnie – jest wręcz przez bohaterów obwiniany za swoją niewiedzę („No jak to, Boże, nie wiesz?”).

Urzekającym w tej lirycznej historii wydaje się fakt, że zdrada wykreowana przez Sylwię Baczyńską została przedstawiona zarówno z perspektywy kobiecej, jak i męskiej. Co istotne i wręcz sprzeczne z teoriami psychologicznymi, dominuje tutaj wspólny motyw takiego stanu rzeczy. Chociaż i ze

strony żony, i ze strony męża przejawia się szacunek względem partnera, zdradzają się oni wzajemnie, a motywem ich postępowania są wszechogarniające ich codzienność brak i pustka („Brak staje się częścią/ a może nawet treścią życia”), które zostały wręcz w lirykach upersonifikowane („Brak jest istotą rozumną”). Domowa „garsoniera” partnerów jest oziębiała, wypełniona marazmem i nicością, dlatego też raz w tygodniu oboje pozwalają sobie na ucieczkę od rzeczywistości.

Tomik jest absolutną demitologizacją miłości, która w świecie bohaterów wydaje się całkowicie nie istnieć, co najwyżej funkcjonować jako „beznamiętna i oślizgła”, co ciekawe, czy to względem małżonka, czy kochanka. Dzieje się tak dlatego, iż zdrada występuje tutaj tylko jako pretekst do tego, aby w końcu skupić się na samym sobie, swoim wnętrzu, aby odkryć swoje ego i prawdziwe „ja”, do którego nie zostaje dopuszczony ani żaden mężczyzna, ani żadna kobieta („Twój dotyk nie skala/ a nawet nie mógłby/ Nie potrafi dotknąć tego/ co we mnie najświętsze”). Już po przeczytaniu kilku liryków można wyraźnie dostrzec, że małżeńska niewierność to tylko z pozoru główny temat tego cyklu utworów. Zdrada jest tutaj jedynie okazją do samozatrącenia, do spojrzenia w głąb samego siebie. I właśnie dzięki temu autorka unika banalności tematu.

W historii bohaterów lirycznych wypalone jest nie tylko ich małżeństwo, ale i romanse („po co mi ten romans/ męczący wypalony/ jak małżeńskie meandry”). Pojawia się więc pytanie, czy oboje są oni jeszcze w stanie kochać miłością duchową, a nie tylko fizyczną? Czy po tym, co przeżyli i czego doświadczyli, są jeszcze w stanie dopuścić kogoś do siebie tak blisko? Każde z nich odczuwa głód bliskości, jednak dopóki nie poznają i nie rozumieją wewnętrznie samych siebie, dopóty nie będą w stanie utworzyć się przed drugim człowiekiem. Zostanie im tylko namiastka uczucia.

Język, którym posługuje się Baczyńska, jest z jednej strony pełen patetycznego, być może nawet lekko

przejaskrawionego liryzmu, niebanalnych epitetów i wysublimowanych metafor, z drugiej zaś strony dosadny, wręcz perwersyjny, niewahający się przed bezwzględną dosłownością, co w przypadku tego rodzaju współczesnej liryki mocno kobiecej i wyraźnie intymnej wydaje się być jedynie niepodważalną zaletą.

Taki eklektyzm stylowy ukazuje nie tylko różnorodne oblicza kobiecości, ale i męskości. Sprawia, że poezja autorki wyraża to, co wydaje się być niewyrażalne poprzez słowo. A jednak. Poetce się to udało.

Monika Derczyńska

Kabaret Gentlemen w Zielonej Górze

***Kabaret Gentlemen*, Lubuski Teatr im. L. Kruczkowskiego, Zielona Góra 13.09.2013**

Ma rację Ryszard Marek Groński, podkreślając w swoich opracowaniach dotyczących sztuki kabaretowej, że istotą aktorstwa kabaretowego jest umiejętność grania do publiczności, podczas gdy aktorstwo dramatyczne polega na grze w relacjach aktor–aktor, zaś publiczności przypisana jest zająca rola baczego obserwatora, mniej lub bardziej ochotczy bijącego brawa, zwykle po zakończeniu spektaklu, ewentualnie po jego części, ujętej w sztywne ramy aktu.

Mając takie minimum wiedzy na temat tych dwu, jakże różnych rodzajów aktorstwa, z zainteresowaniem czytam notkę w naszym zielonogórskim informatorze winobraniowym: „Jacek Borkowski i Tomasz Stockinger w przedstawieniu kabaretowym, jakiego jeszcze nie było: humor, żart, piosenka i dwóch gentlemenów”. No i dalej dopisek, że spektakl oparty będzie o wykonawstwo tekstów takich autorów jak Hemar, Jurandot, Przybora. A zatem dwaj aktorzy dramatyczni, filmowi, a ostatnio nawet bardzo serialowi, postanowili zaprezentować coś z zupełnie innej bajki. U licha, ale Hemar, Jurandot, Przybora – toż to już klasyka gatunku, ich teksty nie poddały się bezlitosnemu upływowi czasu, więc czyż możliwe jest zrobić, w oparciu o taką klasykę, kabaret „jakiego jeszcze nie było”? Kategorycznie postanawiam pójść na ten spektakl, lecz za bilet (kupuję go w przedsprzedaży) płacę kartą, bo to mniej boli (65 zł).

Sala Lubuskiego Teatru – ponad 400 miejsc – pełna, dostrzegam zaledwie kilka wolnych foteli. Dostawki ustawiono, ale nie są zajęte. Publiczność to ludzie wyłącznie dorośli, rzekłabym, że nawet bardzo dorośli. Zastanawiam się, czy obecność zaledwie kilkunastu osób w kategorii wiekowej 20+ lub 30+ jest efektem braku zainteresowania kabaretem literackim wśród ludzi młodych, czy też wysoka cena biletu spowodowała, że na spektakl przybyli ci, którzy dysponując nawet cienką emeryturką, ale regularnie wypłacaną, byli w stanie uciąć dość pokaźną kwotę na zakup biletu. Zastanawia mnie także, czy tak wysoka frekwencja widowni świadczy o popularności gatunku, jakim jest kabaret literacki, czy raczej widzowie przybyli tu tak licznie, by obejrzeć na żywo dwóch amantów serialowych, którzy na dodatek zapewne nie odmówią spotkania z publicznością w kawiarence na piętrze teatru, tuż po zakończeniu spektaklu.

A oto i oni. Kurtyna opuszczona, w krąg światła reflektora wbiegają, uściskawszy sobie uprzejmie dłonie, obaj panowie. Grafitowe garnitury, eleganckie pantofle, szaro-srebrne koszule. Błąd, twarze obu aktorów zdają się przybierać także szary kolor, pomimo klasycznie zawiązanych, bardzo jaskrawych krawatów. Zero rekwizytów – kolejny błąd. Przecież istotą spektakli kabaretu literackiego był i jest rekwizyt, element sztuki kabaretowej równie ważny jak aktor; wszak pierwsze, historycznie opisane imprezy kabaretowe były mieszaniną sztuk plastycznych i literatury!

Ale nic to, panowie witają się z publicznością, bardzo wdzięcznie i bardzo poprawnie odśpiewując piosnkę o tym, że wiek przejściowy jako żywo przypomina spektakl kabaretowy, a ich osobiste zainteresowanie kabaretem wynika z faktu, iż próbują na wszelkie możliwe sposoby uniknąć obsadzenia ich w roli króla Leara. Trochę w tym kokieterii, bo obaj mają świetne sylwetki i nienaganną prezencję. A kudy im tam do grania roli sędziwego starca!

Symbolem pierwszego kabaretu był czarny kot i takąż nazwę nosił pierwszy kabaret – paryski „Chat Noir”. A i publiczność kabaretowa też ma coś z kociej natury – zwykle musi się nieco rozruszać, oswoić, nim ufnie i z aplauzem przyjmie wyciągniętą ku sobie dłoń aktora. Na około trzydzieści (sic!) numerów spektaklu, już w siódmym pan Borkowski wyciąga do tańca jedną z pań siedzących w pierwszym rzędzie, tańczy z nią w rytm śpiewanej przez siebie piosenki. To wmieszanie się w publiczność wykonane jest zbyt wcześnie, tylko nieliczni widzowie klaszczą w rytm melodii, większość pozostaje obojętna. Dopiero kilka numerów dalej dajemy się rozruszać piosenką pt. *Flecek* z repertuaru Ludwika Sempolińskiego, świetnie zagrana przez Borkowskiego.

Mija około jedna trzecia spektaklu, a ja nie wyławiam z niego nic z owej niezwykłości, zapowiadanej w reklamie – to wszystko już było, tyle że tu zubożone zostało o bardzo istotny składnik spektaklu kabaretowego – rekwizyt. (Owszem, np. Artur Andrus, robiąc kabaret literacki, także nie postrzega rekwizytem, na dodatek jego warunki głosowe nie dorównują wokalowi obu panów, ale numery jego spektaklu spaja urokliwa konferansjerka, czyniąc z widowiska właściwie rodzaj literackiego *stand-up'u*). A tu – czysta klasyka, a jedynym rekwizytem, jaki dotychczas pojawił się, oprócz owych wspomnianych wcześniej jaskrawych krawatów, jest kapelusz, taki zwyczajny, który noszono na ulicach naszych miast gdzieś na początku lat 60. No i obaj panowie, kolejno wkładając go na głowę, próbują wyciągnąć z widzów informację, jakich doznajemy skojarzeń, patrząc na ich przebieranki. Pan Borkowski nie budzi żadnych skojarzeń, a na widok Stockingera z naciągniętym na uszy kapeluszem, pada nieśmiało z publiki: „... chyba soltys Kierdziołek...”. Okazuje się, że nie –

aktorzy odgrywają w tym przebraniu kilka krótkich scenek szmoncesowych. (Aj-waj, aż prosi się bodaj o melonik!)

Scenki szmoncesowe odegrane są jedynie poprawnie. W ogóle w całym spektaklu dominuje poprawność, a przecież istotą spektaklu kabaretowego jest brak poprawności! Dobry wokal Borkowskiego oraz bardzo poprawny Stockingera (obaj panowie mają za sobą młodzieńcze sukcesy wokalne na naszym zielonogórskim festiwalu) nie gwarantują zasadzenia się w klimacie piosenki kabaretowej, a sięgnięcie przez pana Tomasza po repertuar Andrzeja Zauchy wymagałoby zdecydowanie lepszych warunków głosowych niż te, którymi pan Tomasz dysponuje.

Ze sceny pada też kilka dowcipów bardzo starych (jeden z nich słyszałam, dziecięciem będąc, w latach 60.), dziś już zdecydowanie przebrzmiałych, bo m.in. piętnujących zakusy ówczesnego państwa na tzw. prywatną inicjatywę. (Dzisiejsze państwo skubie przedsiębiorców równie dotkliwie, aczkolwiek nieco odmiennymi sposobami).

Dobrze, z ogniem odśpiewany zostaje popularny romans *Oczy czornyje* (Borkowski), ale publiczność całkiem na serio „kupuje” dobrze zrobioną parodię stylu wokalnego Franka Sinatry (znów Borkowski)! Tu plus za zmianę stroju – biały zakiet zdecydowanie lepszy niż stalowy garnitur.

Ze sceny pada też kilka dowcipów aktualnych, ale ogólnie znanych, no i świetna „świeżynka” – nieznan mi skecz o lekarzu i marudnym, niezdecydowanym pacjencie (na scenie pojawiają się – stół, krzesło i biały fartuch lekarski). Nic dziwnego, że skeczu nie znam – po spektaklu, podczas spotkania w kawiarence dowiaduję się, że jest to współczesny tekst młodego satyryka, ale jego nazwisko nie zostało umieszczone w programie wśród innych autorów tekstów, a warto byłoby je ujawnić, gdyż skecz jego pomysłu był uroczy i bardzo zabawny.

Spektakl kabaretowy rzadko ma strukturę monolityczną, zwykle jest zlepkiem niezależnych tzw. numerów. Ale – jak mawiał charyzmatyczny przedwojenny konferansjer Fryderyk Jarosy – dobra konferansjerka ma jedną cechę wspólną z damskim biustonoszem – powinna być prawie niezauważalna,

ale ma dobrze trzymać całość. No a w tym spektaklu zabrakło owego spoiwa łączącego ze sobą te trzydzieści numerów w spójną całość, zagranych na dodatek w bardzo długim czasie – dwie godziny i pięć minut (bez przerwy)!

Czy *Kabaret Gentlemen* jest nazwą kabaretu, czy może tytułem obejrzanego programu – nie dowiedziałam się, niestety, nawet po spotkaniu z oboma panami w teatralnej kawiarence. Spotkania, podczas którego przyznali się, że obejrzany przez nas spektakl był właściwie próbą generalną w randze premiery, i że ruszają z nim teraz dalej w Polskę.

Po powrocie do domu zasięgam informacji u niezawodnej, świetnie zorientowanej w każdym temacie cioteczki Google, która sypie mi jak z rękawa np. sprawozdaniami z imprez okolicznościowych (np. 8 marca w Mierzęcicach), podczas których pan Borkowski prezentował numery tego spektaklu, głównie wokalne, przed publicznością składającą się z zapatrzonych w niego z uwielbieniem, tłumnie przybyłych pań. A w warszawskim Domu Kultury „Stokłosy” w roku 2013 wstąpił na ten spektakl był

wolny (nie podano spisu numerów, więc nie wiem, czy był identyczny z tym zielonogórskim, czy może to, co obejrzałam u nas, było jego modyfikacją).

No i tyle na ten temat pocziwa cioteczka Gie, która wszystko widzi, wszystko wie.

A oto jeszcze jedna refleksja, która nasunęła mi się po obejrzeniu owego spektaklu. Otóż, odnoszę wrażenie, że Jacek Borkowski, przeciwiczywszy z powodzeniem na objazdówkach swoje numery wokalne, zaprosił Tomasza Stockingera do współpracy, na zasadzie: No to róbmy kabaret – ja mam dobry wokal i dość dobre nazwisko, a ty masz bardzo dobre nazwisko (tu wypada wspomnieć, że tata pana Tomasza, Andrzej Stockinger, występował w popularnym kabarecie Owca) i dość dobry wokal, więc bierzmy na warsztat sprawdzoną klasykę – i hajda w Polskę!

Czy żałuję, że poszłam na ten spektakl? Nie, nie żałuję, ale mam świadomość, że przepłaciłam za bilet ok. 50 zł.

Halina Bohuta-Stąpel

Poezja znad brzegu piaskownicy

Małgorzata Stachowiak-Schreyner, *Jestem, która Jesteś*, Wydawnictwo ORGANON, Zielona Góra 2013, 52 s.

Aż siedem lat trzeba było czekać na drugą książkę Małgorzaty Stachowiak-Schreyner. Tyle czasu minęło od wydania pierwszego tomiku *O czymś*. Twórczość debiutanckiego arkusza oscylowała wokół tematów prowincjonalnych (autorka poruszała m.in. takie kwestie, jak brak perspektyw, zniekształcenie relacji pomiędzy ludźmi, przenikanie sfery *sacrum* i *profanum* itd.). Dominantą jej poetyckiego stylu była przede wszystkim ironia. W *Jestem, która Jesteś* Stachowiak radykalnie odchodzi od tematów społecznych. Prowincjonalna wędrowka zaprowadziła ją do siebie. Zmieniły się parametry jej wewnętrznego mikroskopu. Rozpoznawalny ironiczny ton na szczęście pozostał.

Autorka zamieszkuje niewielkie miasto Sulechów położone w centrum województwa lubuskiego. Jest młodą (ur. w 1975 roku) pisarką, i choć jak dotąd opublikowała tylko dwa tomiki, jest laureatką licznych nagród. Oprócz poezji tworzy krótkie formy prozatorskie. Obok Beaty Patrycji Klary, Agnieszki Gadzińskiej-Grądkiewicz i Agnieszki Leśniewskiej należy do jednych z najbardziej obiecujących młodych lubuskich poetek. Obiecujących, tzn. mających szanse na bycie dostrzeżonym w obiegu ogólnopolskim. Jak sama autoironicznie stwierdza:

W końcu przez wiele lat udało mi się ledwie
utrzymać

w branży dobrze zapowiadających się,
(znaczy takich, co nie dorośli do pięć nawet
sobie)¹

Wiersze z najnowszego tomiku Stachowiak są naślonecznione, wiele w nich światła, ciepła, delikatności („jestem po prostu jak ten kot,/ co mruży oczy pod pieszczotą słońca wyobrażając sobie ciepło ludzkiej dłoni”²). Są to teksty kobiece w tym sensie, że przyjmują kobiecą perspektywę oglądu rzeczywistości, mówią o doświadczeniach dostępnych tylko matce. Są zmysłowe i cielesne. Jak zobrazowany zostaje świat w utworach lubuskiej poetki?

Podstawowym chwytem Stachowiak jest unacornienie jakiegoś zjawiska, ujawnienie struktury rzeczy w taki sposób, że odbiorca doświadcza epifanii. Poetka posługuje się wyrazistymi, plastycznymi obrazami. Stąd figurę jej myśli można by nazwać ekfrazą. W wierszu *Julka* czytamy:

– Mamo co to jest wieczność? – pyta moja córka
na mazurskim pomoście
bosą stopą tańcząc między łuskami słońca
odbitymi w wodzie
i nagle przez pamięć ruszają karawany rodzinnych
pogrzebów
szlochają panny młode, wrzeszczą pulchne bety
pełne cioc
świeżo ochrzczonych prabab i kuzynów i białe
włos na wietrze
wplątany w liść fiołka tańczy lekki i żywy, choć
kogoś już nie ma.

Abstrakcyjna wieczność ujęta jest w kilka skojarzeń, które obrazują porządek egzystencji, splątanie narodzin i śmierci. Tłem rozmyślań staje się uroczystość pogrzebu. Towarzyszy jej płacz, smutek. Jedyne włosy jednej z uczestniczek wydarzenia „tańczą” na wietrze. Wieczność jest niezrozumiana przez człowieka, nielogiczna, konotuje poczucie pustki.

Wiele uwagi sulechowska poetka poświęca relacji córka–matka. Jest to zarówno przyjrzenie się biologicznym, instynktownym więzom, które powstają w okresie prenatalnym, jak i tym, które tworzą się na drodze przyjaźni. Pierwszy z tych wariantów można odnaleźć już w wierszu otwierającym tomik:

Na żyznych równinach mojego ciała stworzyłam
człowieka
Wykarmiłam krwią, miodem i pozwoliłam odejść
Wiem wszystko
Perłowym sznurem blizny na brzuchu
zamykam drogę do nieśmiertelności
Nie boję się
Wszecławiat jest we mnie
Jestem, która Jestem
Jestem, która Jesteś³

Tytuł tekstu nie bez przyczyny nawiązuje do biblijnej księgi stworzenia świata. W wyżej przywołanym wierszu ukazana została kobieta, która odkrywa swoją siłę, nieśmiertelność, w końcu też jedność ze Wszecławiatem. Poprzez parafrazę starotestamentowych słów Boga do Mojżesza: „Jestem, który jestem” Stachowiak przedstawia perspektywę kobiecą. Nie chodzi tu raczej o nadanie Bogu przymiotów żeńskich. Stachowiak po prostu doświadcza w sobie boskiego pierwiastka. Dziecko stanowi jego ekstrapolację. Miłość jest naturalnym uczuciem, które towarzyszy tej relacji. Przyjaźń okazuje się mniej oczywista. Wymaga równości stron, dostosowanego poziomu komunikacji, podmiotowego traktowania się nawzajem. Autorka tomiku razem z córką odkrywa tajemnice świata zakłute w codzienność:

– Skaczmy! Powoję jak złowrogie, jadowite węże
chcą opłatać nam stopy. Drapieżne pokrzywy
jak małe krokodyle czyhają przy ścieżkach.
Skradajmy się ostrożnie kładką krawężnika
pod tamten klon, co nie wie, że jest baobabem.

1 M. Stachowiak-Schreyner, *Oświadczenie*, [w:] *eadem, Jestem, która Jesteś*, Zielona Góra 2013, s. 34.

2 *eadem, Pamięć skóry*, [w:] *eadem, Jestem...*, s. 37.

3 *eadem, Genesis*, [w:] *eadem, Jestem...*, s. 7.

– Cii... tam pirat przepływa na starym rowerze.
I jeszcze...

– Mamo, znów się przez ciebie spóźnimy do
przedszkola.⁴

Zwykła wędrówka do przedszkola może stać się niebezpieczną i fascynującą przeprawą. Wystarczy pozwolić wyobraźni działać. Słowa dziecka puentują wiersz w nieoczekiwany sposób.

Stachowiak jest mistrzynią obserwacji. W *Historyjce obrazkowej*, jednym z najlepszych wierszy tego tomiku, określiła swój poetycki idiom.

Ostatnio głównie siaduję na brzegu piaskownicy,
gdzie moja córka nieświadoma faktów
historycznych
złości się, że sfinksowi znowu nos odleciał.
I jest tu jak na moło pośrodku kosmosu
z widokiem na Genesis i Sąd Ostateczny przez
szkło

bezpiecznej łoży specjalnego widza.

[...]

Przyglądam się dramatom i drobnym żdźbłom
trawy
spisuję drgnienia wiatru i pajęczę nici, obrazki,
myśli
słowa, jak chłodne szkło lupy trzymane cudzą
ręką
zawsze trochę obok.⁵

Przedmiotem jej poetyckich „badań” przestały być, jak zaznaczyłam już wcześniej, prowincjonalne problemy sąsiadów (w tomiku *O czymś* pisała: „Tylko tu można bezkarnie/ oglądać pod mikroskopem/ życie sąsiadów”⁶), a stała się rzeczywistość będąca dialektyką świata matki i dziecka. Bajkową oprawę świetne podkreśliły akwarele wykonane przez Anetę Godyń. *Jestem, która Jesteś* to książka w przemyślany sposób zaskakująca. Warto było czekać siedem lat.

Mirosława Szott



4 *Eadem, Zapisane w biegu*, [w:] *eadem, Jestem...*, s. 19.

5 *Eadem, Historijka obrazkowa*, [w:] *eadem, Jestem...*, s. 23.

6 *Eadem, Miasteczka*, [w:] *eadem, O czymś*, Tuchów 2005, s. 28.

KSIAŻKI NADESŁANE

Józefa Bonder, *Kronika nauczycieli seniorów miasta i gminy Witnica 1945-2012*, Sonar, Witnica 2013, 172 s.

Fantazje zielonogórskie. Antologia opowiadań fantastycznych, t. 3, red. M. Dobrowolski, W. Gruszczyński, Zielonogórski Klub Fantastyki Ad Astra, Zielona Góra 2013, 238 s.

Krzysztof Garbacz, *Przewodnik po zabytkach województwa lubuskiego*, t. 3, Agencja Wydawnicza PDN, Zielona Góra 2013, 343 s.

Adam Górski, *Procesy czarownic w Kolsku*, Wydawnictwo Eternam, Zielona Góra 2013, 104 s.

Janina Kaśka Izdebska, *Oczami wiedzmy*, Gubiński Dom Kultury, Gubin 2013, 237 s.

Edmund Kotlarski, *Wędrówki po Niezwykłej Ziemi Kębtowa. Genealogia rodziny Kotlarskich*, Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy Wolsztyn im. Stanisława Platara, Wolsztyn 2008, 160 s.

Ks. Robert Romuald Kufel, *Działalność pastoralna arcybiskupa Floriana Okszy Stablewskiego (1891-1906)*, Agencja Wydawnicza PDN, Zielona Góra 2013, 206 s.

Oto się trudzę nad kamieniem. Baśnie i wiersze, Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów, Zielona Góra – Warszawa 2013, 122 s.

Regesta fontium sommerfeldensium, oprac. A. Górski, B. Grelewicz, Wydawnictwo Verlag: Eternum, Lubsko – Zielona Góra 2013, 200 s.

Średniowieczny kościół w Kosieczynie. Historia zapisana w drewnie, red. P. Gorek, A. Żurek, Gorek Restaurowanie s.c., Kosieczyn 2012, 80 s.

Tradycje winiarskie na przedwojennej pocztówce Zielonej Góry. Ze zbiorów Sławomira i Jacka Ronowiczów, oprac. S. Ronowicz, Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra 2013, 93 s.

AUTORZY NUMERU

Urszula M. Benka

Pisarka, doktor nauk humanistycznych. Była stypendystką rządu francuskiego, Europejskiej Organizacji Niezależnych Intelktualistów w Paryżu, dwukrotna stypendystka Ministerstwa Kultury w Polsce oraz Rządu Saksonii. Twórczość Benki była tłumaczona na wiele języków, m.in. na angielski, czeski, fiński, francuski, niemiecki, szwedzki, rosyjski.

Halina Bohuta-Stapel

Publicystka, poetka, prozautorka. Uczestniczka i laureatka konkursów literackich, autorka pięciu tomików poetyckich. Publikuje w pismach: „Obrzeża”, „Pegaz Lubuski”, „Pro Libris”, „Gazeta Lubuska”, „Grünberger Wochenblatt” oraz na portalu internetowym pkpzin. Członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów, laureatka Nagrody Kulturalnej Wójta Gminy Świdnica za rok 2009. Wraz z Aleksandrą Sztukowską-Matusiak prowadzi Literacki Kabaret Dojrzałych Dam.

Agata Buchalik-Drzyzga

Absolwentka wrocławskiej PWSSP/ASP (dyplom w Pracowni Grafiki u prof. S. Dawskiego). Jej twórczość obejmuje: grafikę warsztatową i użytkową, tkaninę artystyczną, malarstwo sztalugowe, sztukę papieru oraz ekslibris. Autorka kilkadziesiąt wystaw indywidualnych i zbiorowych. Laureatka szeregu prestiżowych nagród, wyróżnień, odznaczeń i medali. Także pedagog, w latach 90. dyrektor zielonogórskiego BWA. Całe życie zawodowe związana z Zieloną Górą.

Jerzy Chłodnicki

Poeta, tłumacz, dziennikarz i animator kultury. Wykładowca Uniwersytetów Ludowych, dziennikarz „Dziennika Ludowego” i „Gazety Lubuskiej”.

Tamara Chorążyczewska

Organizator wystaw, specjalista ds. promocji w Uniwersytecie Ekonomicznym we Wrocławiu.

Michał Cierniak

Magister socjologii na Uniwersytecie Zielonogórskim. Były redaktor muzyczny Akademickiego Radia Index i szef działu kulturalnego miesięcznika studenckiego „UŻetka”. Rzecznik prasowy zielonogórskiego Stowarzyszenia Forum Art. Aktywny członek zielonogórskiej sceny muzycznej, występujący w grupach Warfist i Supreme Lord. Autor audycji muzycznej *Metalizacja*, nadawanej w Akademickim Radiu Index.

Monika Derczyńska

Ur. w 1988 r., absolwentka zielonogórskiej polonistyki, germanistyki, logopedii z terapią pedagogiczną, nauczyciel języka polskiego i języka niemieckiego, logopeda, doktorantka w Zakładzie Literatury XX i XXI wieku na Uniwersytecie Zielonogórskim, miłośniczka liryki, poetka, skupiająca swoje zainteresowania badawcze przede wszystkim wokół zjawiska barw w poezji kobiecej doby międzywojnia.

Grzegorz Dziamski

Absolwent socjologii UAM, doktorat i habilitacja z filozofii, od 1979 r. zatrudniony w Instytucie Kulturoznawstwa UAM, od 1982 r. wykładowca UAP. Zajmuje się współczesną praktyką i teorią sztuki, estetyką postmodernizmu, awangardą artystyczną oraz sztuką Europy Środkowej.

Marek Grewling

Ur. w 1963 r. w Gorzowie Wlkp. Z zawodu nauczyciel historii; absolwent teologii biblijnej. Autor sześciu książek poetyckich, inicjator wydania antologii, autor aforyzmów, wierszy, esejów, recenzji i artykułów publicystycznych; współpracownik „Pegaza Lubuskiego”. Od roku 2003 jest członkiem Związku Literatów Polskich.

Miroslaw R. Kaniecki

Ur. w 1957 r. w Brodnicy. Publikował w pismach ogólnopolskich, głównie w miesięczniku „Znak” i w prasie lokalnej, stale współpracuje z „Ziemią Michałowską”.

Anna Kokot

Ur. w Poznaniu. Politolog i dziennikarka. Debiutowała w piśmie „Protokół Kulturalny” opowiadaniem fantasy *Pożeracz brudu* w 1996 r. Autorka wielu nagrodzonych tekstów eseistycznych poświęconych twórczości między innymi Aleksandra Świętochowskiego, Witolda Gombrowicza, Zbigniewa Herberta, Bolesława Leśmiana, Jana Pawła II, kardynała Augusta Hlonda i Eugeniusza Paukszty. Drukowana w pismach literackich, prasie, książkach tematycznych i almanachach. Tłumaczona na język angielski i chiński. Regularnie pisze eseje i felietony do pisma „Protokół Kulturalny”, „Sosnart” i „Gońca Ziemi Wronieckiej”.

Hubert Kopacz

Licealista wywodzący się ze Świebodzina. Laureat nagrody Fundacji Wisławy Szymborskiej na kolaż artystyczny inspirowany twórczością noblistki.

Konrad Krakowiak

Ukończył filozofię na Uniwersytecie Zielonogórskim. Dziennikarz TVP Info i prezenter programu „Raport z Polski”. W 2002 r. współtworzył i przez cztery lata prowadził audycję „Kocioł Kulturalny” w zielonogórskiej Kabłównce. W 2006 r. był wydawcą serwisów informacyjnych w Rozgłośni Regionalnej Polskiego Radia „Radio dla Ciebie”, a następnie przez dwa lata pracował jako moderator w Polsat News. Autor tekstów piosenek i zapowiedzi estradowych oraz książki poetyckiej *Warto*.

Jan Kurowicki

Polski filozof, krytyk literacki, poeta, eseista i prozaik. Ukończył filozofię na Uniwersytecie Warszawskim. Jako poeta debiutował w 1966 r. na łamach tygodnika „Kultura”. W 1969 r. uzyskał stopień doktora za rozprawę *Literatura XX w. w perspektywie antropologii filozoficznej*, zaś w 1974 r. został doktorem habilitowanym za rozprawę *Próba społecznej charakterystyki poznania*. Od 1983 r. był profesorem nadzwyczajnym Uniwersytetu Wrocławskiego. Kierownik katedry Nauk Społecznych Akademii Ekonomicznej im. Oskara Langego we Wrocławiu na Wydziale Gospodarki Regionalnej i Turystyki w Jeleniej Górze.

Eugeniusz Kurzawa

Poeta, dziennikarz. Prezes Lubuskiego Oddziału ZLP. Pracuje w „Gazecie Lubuskiej”. Mieszka w Wilkanowie pod Zieloną Górą.

Janusz Łastowiecki

Absolwent polonistyki Uniwersytetu Zielonogórskiego, obecnie doktorant prof. UZ Małgorzaty Mikołajczak. Znanca problematyki reportaży i słuchowisk radiowych. Publikuje w lokalnej prasie kulturalnej.

Zbigniew Masternak

Ur. w 1978 r.; prozaik, autor scenariuszy filmowych, dramaturg. Studiował prawo na UMCS w Lublinie, następnie filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim. W 2009 r. ukończył scenariopisarstwo w Krakowskiej Szkole Filmu i Komunikacji Audiowizualnej. Debiutował prozą w 2000 r. na łamach „Twórczości”. Pracuje nad autobiograficznym cyklem powieściowym pt. *Księstwo*. Jest współautorem książki *Kino polskie 1989-2009. Historia krytyczna* oraz noweli filmowej *Jezus na prezydenta!* Tłumaczony na języki obce, m.in. wietnamski i mongolski, macedoński, słoweński oraz ukraiński. Jest laureatem Świętokrzyskiej Nagrody Kultury oraz Dorocznej Nagrody Starosty Puławskiego w Dziedzinie Kultury. W 2005 r. na podstawie jego opowiadania *Stacja Mirsk* powstał film, którego był współproducentem (Grand Prix na IX KRAKFFA). Występuje także jako aktor. Gra w piłkę błotną w klubie BKS Roztocze Krasnobród. Jest kapitanem Reprezentacji Polskich Pisarzy w Piłce Nożnej. Pochodzi z Piórkowa, obecnie mieszka w Puławach.

Ewa Mielczarek

Ur. w 1961 r. w Gnieźnie. Redaktorka, szefowa Działu Wydawnictw WiMBP w Zielonej Górze. Prowadzi Oficynę Wydawniczą Pro Libris; jest sekretarzem redakcji kwartalnika „Pro Libis”.

Maria Miłek

Ur. w 1954 r. w Myślenicach; autorka dwóch książek i redaktorka kilkunastu innych. Współpracownik pism literackich i laureatka wyróżnień w konkursach literackich.

Igor Myszkiewicz

Ur. w 1974 r. w Zielonej Górze; artysta plastyk, zajmuje się malarstwem, rysunkiem, ilustracją książkową, ikonografią i komiksem. Uczestniczył w wielu wystawach zbiorowych i indywidualnych. Absolwent Instytutu Sztuki i Kultury Plastycznej przy WSP w Zielonej Górze. Aktualnie pracuje jako plastyk oraz kustosz w Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze. Współzałożyciel działającej od 1997 r., Galerii Twórców Galera, promującej młodych artystów. Redaktor zinów „Tartak”, „Ave Galera!”, „Anarion”, „Przestrój”; współtwórca grupy artystycznej Korporacja Trylobit (jako Trylobit Wschodu). Członek grupy twórczej Wątpliwi Krewni Orsona Wellesa. Od 2006 r. wiceprezes Zielonogórskiego Okręgu ZPAP.

Aarne Puu

Ur. 1948 r. w Tallinie. Poeta, tłumacz literatury polskiej i estońskiej. Studiował psychologię i filologię rosyjską na Uniwersytecie w Tartu, a w 1979 r. ukończył teatrologię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Od 1973 r. mieszka w Krakowie, pracuje w Katedrze Filologii Węgierskiej UJ.

Marcin Radwański

Ur. w 1978 w Zielonej Górze. Absolwent Zespołu Szkół Budowlanych i Centrum Kształcenia Ustawicznego. Zajmuje się sprzedażą sprzętu komputerowego. Publikuje opowiadania na łamach „Parnasika” i „Akantu” i na stronach internetowych „Szafa”, „Mroczna Środkowo-Wschodnia Europa”.

Bogumiła Różewicz

Ur. się w 1961 r. w Zielonej Górze. Miłośniczka poezji, członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Debiutowała książką poetycką *Welon na fali* w 2011 r.

Robert Rudiak

Poeta, prozaik, publicysta, krytyk i historyk literatury, doktor nauk humanistycznych, autor kilku książek poetyckich, współautor antologii i szkiców literackich. Członek Zarządu Oddziału Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze i Lubuskiego Stowarzyszenia Miłośników Działań Kulturalnych „Debiut”. Otrzymał Nagrodę Kulturalną Prezydenta Miasta Zielona Góra i Lubuską Nagrodę Literacką ZLP. Pracuje w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. C. Norwida.

Alfred Siatecki

Ur. 1947 r. w Kostrzynie nad Odrą. Autor powieści, zbiorów opowiadań i reportaży, prac biograficznych i bibliograficznych oraz słuchowisk zrealizowanych w Polskim Radiu Zachód. Zajmuje się krytyką literacką i historią literatury. Jego utwory przekładano na białoruski, łużycki, niemiecki i rumuński. Nagradzany za twórczość i działalność kulturalną, m.in. laureat Lubuskiego Wawrzynu Literackiego (2000).

Norman Smużniak

Artysta malarz. Adiunkt na Uniwersytecie Zielonogórskim w Instytucie Sztuk Pięknych oraz na Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu w pracowni malarstwa i rysunku.

Witold Stankiewicz

Ur. w 1954 r. w Zielonej Górze, absolwent zielonogórskiej WSP (studia pedagogiczne); poeta, członek Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Dotychczas publikował w internecie (portale poetyckie).

Jerzy Szewczyk

Długoletni szef lubuskiej inspekcji pracy, miłośnik kultury śródziemnomorskiej, autor publikacji prasowych poświęconych Hiszpanii, Andorze i Malcie oraz książek, prezes ZG Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Greckiej, działacz TKKF i NOT, podróżnik, fotograf.

Mirosława Szott

Ur. w 1989 r., doktorantka na Uniwersytecie Zielonogórskim, członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów w Zielonej Górze.

Joanna Wawryk

Ukończyła filologię polską oraz podyplomowe studia w zakresie informacji naukowej i bibliotekoznawstwa na Uniwersytecie Zielonogórskim. Tytuł doktora nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa uzyskała na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Śląskiego. Autorka książki *Wokół Leśmianowskich baśni dla dzieci*.

Cena 10,50 zł
(w tym 5% VAT)

ISSN 1642-5995

12



9 771642 599108

PRO
LIBRIS